

TOM · CCXLIII

ROK 61

SERYA 9

De. II. 1.

ZESZYT 727

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

LIPIEC.

1901.

TOM III — ZESZYT 1.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.

—
1901.

Treść zeszytu.

	Stron.
1. NIEZNANY DRAMAT ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO, — przez Adama Krasińskiego	1
2. WYCHODZTWO WŁOŚCIAN Z KRÓLESTWA NA ZAROBKI, — przez S. Krzeczковского	47
3. SPRAWA DOŁĘGI, powieść (dokończenie), — przez Józefa Weysenhoffa	59
4. „MANRU“. Opera Ignacego Józefa Paderewskiego, — przez Stanisława Niewiadomskiego	87
5. EPILOG STANÓW GALICYJSKICH. I. OSTATNIE SESYE SEJMU STANOWEGO, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego	105
6. POLEMIKA O WAWEL, — przez Stefana Fuchsa	137
7. ROZMAITOŚCI. NAD STAREMI DRUKAMI Z BIBLIOTEKI J. E. KS. BISKUPA HR. JERZEGO SZEMBEKA, — przez Mieczysława Offmańskiego	156
8. PIŚMIENICTWO:	
Maryan Dubiecki: „Karol Prozor. Monografia, oparta na podstawie źródeł archiwalnych“. Kraków, 1897;—Von Boguslawski „85 Jahre preussischer Regierungspolitik in Posen und Westpreussen von 1815 bis 1900“. „Geschichtliche Skizze“, 1901, — przez A. R.	168
Emde: Symfonia „Do niej“. Warszawa, 1900,—przez A. Drogoszewskiego	178
9. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
„Ateneum“.—Kolonie letnie półpłatne i brak do nich kandydatów. — Rozestetyczone społeczeństwo a estetyka —Uzdrowotnienie miast małych. — Nowy szpital Dzieciątka Jezus i Dom wychowawczy. — Sprostowanie	180
10. WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE	197

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 243.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.

Rok 1901. — Tom III.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: ulica Warecka Nr. 14.



De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 3 Июля 1901 года.

NIEZNANY DRAMAT

Zygmunta Krasińskiego.

Na rok przed śmiercią sędziwego Augusta Cieszkowskiego, byłem gościem w domu wierzeńkim. Gospodarz i dwaj synowie, nieżyjący już dziś Krzysztof i brat młodszy, August, ja czwarty — siedzieliśmy wieczorem w pokoju, zatopieni w dziejach i zdarzeniach, zasłuchani w ludziach z przed lat pięćdziesięciu. Wszystko wokoło przypominać się zdawało lata te pełne, wyraziste, gorące życiem myśli, ten wieku wiek męski, gdy po bohaterstwach napoleońskiej wiosny, po chmurnych przełomowych chwilach romantyzmu, nastąpiła doba pracą silna, poważna, ale natchnieniem jeszcze młodości niedaleka i młodością szumna.

Były to lata, w których nasi wielcy duchem, siłą przemawiali przemożną.

August Cieszkowski palił cygaro i, siedząc w czerwonym, głębokim fotelu, patrzył na nas młodych, uśmiechał się, patrzył i odpowiadał na tyle pytań i zadziwień. Błękitny dym wznosił się nad stołem i rozpląwał w pokoju, gdzie sztychy stare i meble z czasów Ludwika Filipa przysłuchiwały się jego mowie i naszej ciekawości, jak się przysłuchiwały dawniej gorącym słowom innych wierzeńkich gości.

A Zygmunt Krasiński bywał tu gościem nieraz i przebywał szczęśliwy przyjaźnią, która rozumiała, kochała i wesprzeć potrafiła w chwilach smutku.

Stary Pan August złożył cygaro w popielniczkę i, uśmiechając się, wstał, by podejść ku mnie. Wziął mnie za rękę i powiodł ku szafce żelaznej, pełnej pamiątek.

— Ja mam tu jeszcze jedną rzecz Zygmunta... niedokończona, ciekawa... Oto ją tobie daję... Tam, w szafie, spoczywała od chwili, gdy mi ją Zygmunt wręczył.

W ten sposób darem najmilszym dostałem „Wandę“ — rzecz „niedokończoną, ciekawą“ — dramat, którego narodziny przypadają po „Irydionie“, a przed czasem „Przedświtu“, a więc w lat odstępie między 1837 — 1839.

Pierwszy raz niedokończone to dzieło pojawia się dziś w druku. Są w niem braki i wady liczne, ale jest siła, i a chwilami myśli duże. Jest w niem to, co wiek już męski znaczy, i to, co jeszcze młodością przemawia, i jest dzieło z lat owych, gdy kruszec jeszcze żarem rozpalony świecił iskrami, a brał już kształty pod uderzeniami młota naglącego do wyraźnej i zwartej postaci.

ADAM KRASIŃSKI.

W A N D A.

Wanda leży w naszej ziemi,
bo nie chciała Niemca ¹⁾).

(Sala w zamku Rytygióra — przy pochodniach siedzą rycerze u stołu. Jeden Rytygiór tylko leży. Biskup na prawicy Rytygióra. W okóło koniuszowie, giermki, minstrele).

RYTYGIER.

Przynieść mi czaszkę Hakona, oprawną w stał, złoto i miedź, pić z niej będę dzisiaj zdrowie twoje, święty Biskupie, zawdzięczając ci, żeś raczył zamek ten nawiedzić i zasiąść do naszej biesiady. Kto z was tymczasem uderzy w stróny? Kto z was tymczasem uderzy w stróny? Kto opowie zgon siostry mojej i jakom wgniół w piasek, zagrzebał pod kopcem trupów ciało wroga Hakona?.. Do Harfy! do Harfy!

(Wstają rycerze).

PIERWSZY RYCERZ.

Ja.

DRUGI RYCERZ.

Nie ty, nie ty. Ja, książę!

¹⁾ Rękopis „Wandy“ (*autograf*) składa się po pierwsze: z karty tytułowej (naklejonej na szarym, moenym papierze), powtóre: z ośmnastu luźnych arkuszy papieru poźółkłego o znaku wodnym: J. WHATMAN TURKEY MILL 1837; te arkusze oznaczone są przez Zygmunta Krasińskiego liczbami na pierwszych stronicach na lewo u góry. Przez pomyłkę poeta napisał na arkuszu cztertnastym: 15, lecz związek treści dowodzi, że niezego nie brak między 13-tym a 15-tym arkuszem. Potrzebie: należy tu kawałek papieru z początkiem znaku wodnego: *Jez...* (to jest Jeziorna). Nadto „trzecia część“ na kawałku bladolihowego papieru bez wodnego znaku, o dwóch brzegach złożonych.

Pisownię oryginału zmieniamy o tyle na dzisiejszą, że wprowadzamy jotę, której Zygmunt Krasiński nigdy nie używał. Pisał on zawsze: „moiey“, „twóy“, „iey“ i t. p.

HAGEN.

Ja byłem przy boku twoim tej nocy. Obryzg krwi z piersi Hakona oczy mi zaćmił, kiedyś uderzał!

RYTYGIER.

Prawdę mówisz, Hagenie, głos twój mnie miłym będzie, podajcie mu harfę.

(Przynosi giermek czaszkę).

Zdrowie, ojcze Biskupie! Zdrowie Kościoła, Cesarza i Rzymu!

BISKUP.

Amen.

HAGEN.

Trzej posłowie króla Danów, chytrego jak morze, stanęli w progach wodza mężów — ojca Rytgiera i pięknej Gudruny. „Hakon, pan wysp i morskich wybrzeży słyszał, — rzekli, — o czarnobrewej Gudrunie. Ona śliczna nad ślicznymi — on zamożny nad zamożnymi. Oto kosztowne, burztynowe przynosim jej dary; niech dziewica dom opuści, niechaj pójdzie za nami swatami“. Król przyjął ich mile, trzy dni jedli i pili razem, a czwartego powierzył im córkę.

Hakon, czekając na oblubienicę, przechadzał się po żwirze morskiego brzegu, a gdy z statku wysiadła, on rzekł do niej wśród syczących wiatrów: „Gudruno, powiedz mi, gdzie leży sławny skarb ojca twego i brata, potem będziesz żoną Hakona“. Lecz dziewczyna spojrzała nań z pogardą: „Królu wiarołomny, prędzej morze wypowie ci przepaści swoje. Jam córka Sigmunda, wodza bohaterów“.

Zatoczył się Hakon wściekłym zdjęty gniewem: „Każe cię związać i rzucić pod kopyta klaczy dzikich na dziedzińcu pałacu mojego“. A ona mu rzekła: „Stary!“

Król odszedł i zgromadził srogich wojowników, potem stanął z niemi na krużganku — związana Gudruna u stóp ich leżała.

Przybiegły trzy klacze jak trzy wichry morskie, i stanęły, zarżały, zdeptać jej nie mogły — ona tak piękną była!

Król trzem posłom wsiąść każe, posłom, co przywieśli Gudrunę — pierwszy skoczył oklep sławny jeździec Eryk, drugi za nim rudobrody Hargaz i trzeci ponury Levenskiold o długim dzyrycie.

Znów od bram dziedzińca puścili się razem i przybiegli jak trzy wichry morskie, i przeszli, tratując po śnieżnej Gudrunie.

Wszyscy, co tam stali, wrzasnęli, śmiejąc się z Ojca i brata Gudruny, a u stóp Hakona kałuża krwi była i kosy rozplecione pływały w niej czarne.

CHÓR.

O biedna, biedna!

RYTYGIER.

Zemszczona! Dalej, Hagenie.

HAGEN.

Zorza północna buchała po niebie, kiedyśmy na łodzie siadali w milczeniu. Dwudziestu nas było i koń Rytgiera był z nami, koń Snafner, czarny cały z nastrzępioną grzywą, z iskrzącym u siodła toporem. Trzy słońca i trzy księżycy chmurami powlekła nam burza, ale wichur nam sprzyjał i wył w stronę Hakona, jak psy dniem przed śmiercią pana. Rankiem dnia czwartego wyspa Danów ukazała się nam!

Przed blizkim brzegiem nie dotrzymał na pokładzie pan wassalów, Rytgier o niechybnem cięciu. Skoczył na konia i konia rzucił z sobą w fale, my wszyscy za nim, stąd, zowąd, wokoło płyniem, wyteżając ramiona i podnosząc karki — okręt nasz za nami rozbijała skały!

Hakon w pałacu, otoczony rycerstwem, pił i szydził z zabitej Gudruny. Usłyszał tentent Snafnera, pił dalej i rzekł: „Szczęśliwym, szczęśliwym. Dziś księżę Rytgier przybywa mi w goście, spętam go łuku cięciwą i strącę w podziemne lochy węzom na pokarm.

W pałacu wałą się stoły, pałą się kobierce, puhary toczą się we krwi z jękiem bohaterów odlatują dusze. Rytgier, syn Sigmunda, woła: „Szczęśliwym, szczęśliwym, Hakonie, bo dłonie ci obie uciąłem i rzucam w ogień twój domowy; szczęśliwym, że teraz mieczem długim przebijam ci piersi, a tobie, Eryku, niech służy ta strzała, tobie, Levenskiold, pugiłań mój w sercu zostawiam na wieki — Hargaz, deptam po tobie na pamiątkę Gudruny!“

I na stosach ciał, na gruzach i zgliszczach przy bladym księżycu dzieliliśmy łupy. Rytgier nam wszystkie odstąpił. Wziął tylko sobie głowę króla Hakona i wrócił do domu.

CHÓR.

Niech żyje Rytgier, pan śmiertelnego cięcia!

RYTYGIER.

Dzięki wam, moi. Teraz, Hagenie, odwilż usta w czarze pośmiertnej wroga, i ten łańcuch złoty schwyć w powietrzu.

(Rzuca mu łańcuch).

Co za chrapliwe dźwięki — czy słyszycie?

HAGEN.

Na takim rogu dąć musi upiór myśliwiec, kiedy nocą przelatuje bory.

(Wchodzi wódz straży).

RYTYGIER.

Co słyhać?

WÓDZ STRAŻY.

Rycerz nieznamy stoi u bramy zamkowej, z nielicznym pocztem, o ile się nam wydało przy świetle latarni, — na hełmie smok obrzydliwy, a twarz jego z za przyłbicy pali się węglami dwoma. Czy go wpuścić, księżę i panie mój?

RYTYGIER.

Niech wjedzie, niech zasiądzie do biesiady mężów.

(Wódz straży wychodzi).

BISKUP.

Zważ, synu, noc bardzo czarna, w takowych nocach nieraz warowne zamki widziałem zdobywane zdradą — a wiem, że w tych okolicach teraz błąka się pełno dzikich barbarzyńców, nieochrzczonych Lachów. Strzeżcie się zdrady.

RYTYGIER.

Nie lękam się zdrady.

BISKUP.

I ja też prócz Jezusa Chrystusa nie lękam się nikogo. Radę tylko roztropną ci dałem.

CHÓR.

Niechaj lis się zjawi, tu jest lwów czterdziestu!

(Każdy rycerz dobywa pugi nał i kładzie go na stole).

BISKUP

(dobywając pugnatu z pod szaty i kładąc go na stole).

Amen.

(Hamder wchodzi)

RYTYGIER.

Czyś chrześcjanin, czyś poganin?

HAMDER.

Wyznaję Chrystusa.

RYTYGIER.

Jakiegoż rodu witam w tobie gościa? Nie wiem, na jakim posadzić cię miejscu?

HAMDER.

Na miejscu bohaterów, a ród mój książęcy.

RYTYGIER.

Imię?

HAMDER.

Hamder od dni już wielu i nie wiem, na jak długo jeszcze!

RYTYGIER.

A twarz twoja?

HAMDER

(podnosząc przyłbicę).

Masz ją!

CHÓR.

Jezus, Maryal

RYTYGIER.

Siadaj przy mnie. Wina, miodu, mięsiwa! Przynieść roztruhan ojca mojego — choćbyś był złym duchem, ścisnę ci rękę.

HAMDER.

Spróbuj, czyja silniejsza.

RYTYGIER.

Bramy zamków kute żelazem, pękają, kiedy w nie uderzę. Ha! i od twojej dłoni wylecą — spróbujmy raz jeszcze.

HAMDER.

A co?

RYTYGIER.

Równi jesteśmy. Pierwszy raz śmiertelny człowiek dotrzymał mi w sile. Od tej chwili tyś bratem moim!

HAMDER.

Zgoda, bo oddawna tej chwili pragnąłem. Tak! Pragnąłem, jej od kiedy chwała twoich przewalczonych bojów opadła mnie zewsząd. Szczęśliwy Rytygierze! Gdziekolwiek szedłem, mówili o tobie pany, niewiasty, śpiewaki, rycerze, a dziś, gdy stanąłem u mostu zamkowego, nim zatrąbiłem, doszły mnie odgłosy wrzawy zamkowej — wszak wy śpiewali o czarnobrewej Gudrunie?

RYTYGIER.

Poznałeś pieśń — czyś kiedy pierwej ją słyszał?

HAMDER.

O! wiele pieśni słyszałem i rozmów wiele. Włosy od nich mi nie pobielały, ale za to twarz mi wyschła jak u tych, co nasłuchali się przez życie całe, a teraz nic już nie słyszą!

Wszak prawda, lica moje podobne do czaszki, z której pijesz? Ale ja nie Hakon, ja brat, ja przyjaciel Rytygiera.

RYTYGIER.

Owszem, ja twarz twoją lubię; taką mieli niegdyś w Walhalli towarzysze Odyna. Zostań w zamku moim, Hamderze. Będziemy razem ścigać niedźwiedzie na łowach, razem chrzcic pogan, lub dumnie bić chrześcijańskie pany.

HAMDER.

Zgoda! O, znam nieprzejrzone morza traw i zbożów, i bory głucho szumiące, wielkie bory sosien. Tam przechadzają się tury i żubry koło świątyni bogów starych, a na równinach lud czeka objawienia bohaterów, by się im poddać.

Szlachetne rycerze! Widzę migi, slysze szepty wasze, ale ja na pozór tylko chudy, niezdrowy, umarły; kiedy przyjdzie pora, poznać mnie lepiej—waszemu panu zwycięstwo i sławę, wam skarby i hoże dziewoje rozdam może kiedyś. I wy też na harfie wtedy zabrząkniecie o mnie!

A Tobie, księżu Biskupie, tysiąc karków nagnę do chrzcielnicy. Będziesz musiał stanąć ty i kapłani twoi nad rzeką szeroką, bo w kościele nie zmieszczą się przygnane trzody—dary moje! Ja wiem, księżu Biskupie, że i ty będziesz mnie kochał!

RYTYGIER.

Nieraz śniło mi się o takiej nietkniętej ziemi. Ten, który mi ją zwiastuje, ze wszystkich u mnie jest najlepszy ludzi. Hamder, zamieńmy się na oręż. Weź miecz Rytygiera. Tę rękojeść wykuł mi Horwat Niger, najslawniejszy złotnik wśród plemion saksońskich, a sześciu wodzów, z koni zwalonych, kopią do ziemi przybitych, dałem mu na nią od piersi łańcuchy.

HAGEN (*do Biskupa*).

Taką klingę cudzoziemcowi!

HAMDER.

Tę szablę sam papież błogosławił w Rzymie — niech ci służy, bracie.

BISKUP.

Wracasz z Rzymu?

RYTYGIER.

Byłeś w Rzymie?

HAMDER.

Gdzież ja nie byłem? Mowy wszystkich ludów drzemią w głowie mojej; kiedy mi potrzeba, budzę jaką z nich. Naprzemian wody i lądy zchodziły mi z drogi, jak znużone straż. Ja jeden szedłem nieznużony dalej! Ile barw na niebie dzieli jasność południa od ciemności nocy, tyle barw na ciałach ludzkich widziałem i znałem, wreszcie takich, którzy jak noc czarni!

RYTYGIER.

Wina, wina jeszcze! Bierz, gościu mój, pij, jedz i opowiadaj dzieje dni twoich, bo kiedy mówisz, rozwidnia mi się w oczach.

CHÓR.

O, mów, prosimy cię, gościu, i niech noc przeleci na słowach twoich.

HAMDER.

Noc — nie, o nie, połowa nocy do mnie należy, rycerze. Ślubem strasznym związałem się niegdyś i sam jeden być muszę, kiedy gwiazdom na niebie mdło być zaczyna. Ale jeszcze czas, jeszcze mówić mogę — kiedy umilknę, wyjdziecie wszyscy, a ja modlić się zacznę. Czy obiecujecie?

RYTYGIER.

Co tylko zażadasz, czynić będą w zamku moim.

HAMDER.

Dzięki ci, królewski Rytygierze. Teraz przyjaciele, powiedzcie mi, skąd zacząć? W pamięci mojej zmartwychwstają widziane strony, oglądane twarze, stoczone walki, i cisną się tłumem, jak w dzień sądu umarli. Kogóż zatrzymam? Któremuż z nich ścisnę skrzepłą rękę? Oni przechodzą, mijają — a wy chcecie powieści. Ah! Dajcie mi harfę!

CHÓR.

Nie spojrzal, tknął tylko, a rozplakały się stróny.

HAMDER.

Na smutną pieśń się zanosi — spróbuję losu raz jeszcze.

CHÓR.

Teraz jak gdyby przekleństwo zagrzmiało.

HAMDER.

Czy to ty się prosisz, jęcząc pod mojemu palcami, okrutna Marzanno, śmiertelnemi uwieczniona maki, lub ty może Łado, strojna w róże głógów, ty, co sypiesz na synów Lecha błędne ogniki miłości? Daremno, daremno. Jak gwiazdy nocy letniej, tak wy opadniecie z niebios. I nie kto inny was strąci, jedno syn wasz, jedno smutny wygnaniec.

Słuchajcie, rycerze. Teraz wam ziemię wskażę obiecaną, rumianą jagodę, byście ją zgnetli żelaznemi stopy.

Kraków, gród był wielki, nad brzegami wartkiej i czystej bogini! Polany czczą ją pod Wisły imieniem — nie jeden z was dotarł aż tam, gdzie ona ginie w morzu, jak dusza w wieczności.

CHÓR.

Polany, pogany! Jest u nas ogień i żelazo dla nich!

HAMDER.

Tam Krakus, ojciec ludu, król Polan, dwóch miał synów z żony Świetlany i czarnobrewą jedną, wyrosłą wśród białogłowych rówiennic, jak jodła nad blademi brzozy — urodziwą, hardą, w brzęku cięciw zakochaną Wandę!

Starszym był mu Ziemowit, młodszym Leszko synem, oba w potężnych wyuczeni czarach, jako przystało na synów książęcego rodu: ale każdy z nich inną w gwiazdach przyszłość czytał ludowi swojemu. Ziemowit Boga Chrystusa widział cień już nadchodzący, Leszko kłaniał się bałwanom wraz z siostrą Wandą i z gniewu tupał lekkimi nogi na wspomnienie Niemców.

Stąd waśń między braćmi się wszczęła. Ziemowit był orłem, co odrazu gromi i zatapia szpony, potem znowu w pokoju kładzie się na błękitach — takim był, nim go długie przerobiły lata! Leszko nie ufał tyle swej śnieżnej prawicy i włókł się cichym krokiem nakształt lisa, co uchodzi z kniei, gdyby lis zdołał być i zmiją razem.

Wtem lud jął uciekać — tysiące zbladły, jako jeden blednie! Padali wokoło króla, wołając: „Ratuj nas, ojczel“, a skąd biegli, od strony zachodu, ciągnął nad wzgórzami smok, jak burza czarny, w paszczy trzymając ludzkie i bydlęce ciała za włosy i rogi, potem zapadł, grmiąc łuskami skrzydeł i legł nad rzeką w jaskini.

Lecz kiedy noc nadeszła, wzbil się na nowo w powietrze, naprzemian wił się z góry na dół, i podbiwszy się, krążył w górze. Księżyc raz znika, to znów błysnie z poza jego kłębów, a pożartych niedojadłe kości spadają na głowę żyjącym. Tętniące stada koni wlatują do grodu. Trzody wałają się i ryczą. Król milczał i siedział jeden niewzruszony wśród tłumów. Nad rankiem powstał Ziemowit i rzekł, „Jutro o świcie tak jak dzisiaj potwór zaśnie w nadwiślańskiej pieczarze. Ojczel! by lud zbawić, ja tam pójdę sam“. I lud usłyszał i krzyknął: „Za to kiedyś będziesz królem naszym“. I powstał Krakus i bogom ofiarę w świątyni zapalił — a Ziemowit wierne psy zwołał, i drażnił, i głodził dzień cały — sześć oszczepów wziął i obosieczny miecz — a matka, drąc włosy, żegnała go z płaczem!

RYTYGIER.

Chwała Lechickiemu Ziemowitowi — on był bohaterem!

CHÓR.

On był bohaterem!

HAMDER.

On był młody i nadludzkiej siły — on poszedł — on miał za to zostać królem kiedyś — a rankiem otoczyły go wyziewy i szedł w mgłę, lud zostawiwszy na wzgórzach.

I rzuciły się psy do pieczary. On chwilę stał jeszcze u wuijścia lecz kiedy nie usłyszał ni szczekania, ni skomlenia, sam wstąpił, w obu dłoniach trzęsąc śmiertelne żelaza. On był pewnym zwycięstwa — on miał królem zostać.

Przekleństwo! Kolo smoka bez życia pokładły się brytany i liżą ręce młodszego brata. On z jasną lampą w dłoni siedzi na grzbiecie potwora i śmieje się z wolna, posępnie, zwycięsko. Lecz krwi nigdzie nie widać, i broni żadnej niema w ręku jego.

Ziemowit struchlał pierwszy raz w życiu. Leszko róg do ust przyłożył — mgła w tej chwili pęknie, słońce wschodzące hańbę Bohatyra oświeci. Lud zewsząd zbiega się, wołając: „Niech żyje Ziemowit!“, a Leszko, stanąwszy na trupie: „Ja, — krzyczy, — ja zabiłem,“ i zabrząkły pod jego stopy martwych skrzydeł luski.

Potem prawi dalej: „Sztuką, bogom tylko znaną, ognistemi skórę byka wypchałem jadami. Smok połknął drzemiące płomienie — chodźcie, dotknijcie się, on się już nie ruszy“. A motłoch zawołał: „Tyś lud zbawił, ty będziesz królem naszym!“, i porywają go, i hucając, niosą przed starszego ojca, a inni, padłszy na ziemię, czczą go, jak Boga. On śmiał się przedłużonem echem.

Ziemowit sam jeden został wśród psów skowyczących, potem porwał się, jak błyskawica. Gwizdnął oszczep i u stóp Krakusa wwiercił się w Leszkowe serce. Ojciec, rozdzierając szaty, przeklął starszego syna i każe go chwycić. Lecz Ziemowit tłum rozpiął na prawo i lewo, broniąc się, mordował ludzi, aż wszedł w gaje, poświęcone bogom. Tam go już ścigać nie śmieli Polanie.

CHÓR.

Czemu nie kończysz? czemu jedną po drugiej zrywasz struny harfy?

HAMDER.

Skończyłem — wam się reszty domysleć, wam sięść na koń i lecieć. Ziemowit, ten, co by was odparł, daleko gdzieś na wygnaniu. Starego Krakusa w popielnicy spoczywają prochy — niewiasta dziś panuje Polanom, siostra Leszka, Wanda! a więc...

HAGEN.

Zważaj, księżu biskupie, na tego człowieka.

BISKUP.

Nie spuszczam go z oka.

RYTYGIER.

Bracie, pokrzep siły.

CHÓR.

Zrzuc pancierz, nadgardlnik rozerwij żelazny!

HAMDER.

Nic mi nie jest, nic—jedno nadchodzi godzina modlitwy.—Do-
trzymajcie przyrzeczenia, wstańcie i odejdźcie!

RYTYGIER.

Lennicy, skończona biesiada! do jutra!

CHÓR.

Dobrej nocy, gościu!

(wychodzą).

RYTYGIER.

Oprzyj się na mnie, ledwo ustać możesz.

HAMDER.

Precz—precz! nie mnie nie jest—mnie tak zawsze w tym dniu,
o tej porze. Ha! ranek się zbliża i na białych chmurach cią-
gnie nieprzyjaciół mój!

BISKUP.

Krzyż ten z relikwiami weź w ręce, człowieczel

HAMDER.

I ty także się ociągasz? precz, precz odemnie!

RYTYGIER.

Twoja ręka przed chwilą żelazna, teraz jak wosk topnieje zim-
nym potem w mojej!

HAMDER.

Daj, coś obiecał—daj mi spokój mój!

BISKUP.

Palec Boży na czole twojem pisze słowo zatracenia. Tyś brata zabił. Tyś Ziemowit książę!

HAMDER.

Może myślisz, żeś mnie zdruzgotał tym słowem, może myślisz żeś pierwszy mi je powiedział na ziemi?! — Śmieję się z ciebie, książę. (*pada na siedzenie Rytygiera*). Dniem i nocą to samo powtarzały mi wiatry — milczenie głuchych pustyń wołało na mnie: „Bratobójca“ i człowiek każdy wyczytał to na licu mojem, a nie dotąd nie zdołało duszy z pod pancerza mi wyrwać. Ja miałem być i ja będę królem!

GŁOS.

Nigdy, nigdy, nigdy!

RYTYGIER.

Czyś ty przemówił, ojcze biskupie?

BISKUP.

Przez imię Boga wcielonego—to nie ja.

HAMDER.

Uciekajcie! (*porywa się*) Gdzie miecz, gdzie włócznia moja, zdrajcy?

RYTYGIER.

Co ty widzisz? na kogo się zamierzasz? — Weź go za drugą rękę, ojcze biskupie.

GŁOS.

Czemuś mnie strącił tak młodym do piekła? o bracie! o bracie!

RYTYGIER.

Teraz ja ciebie wyzywam, duchu — Objaw się i spróbuj się ze mną!

HAMDER.

Dajcie mi go przebić.

GŁOS.

Dni twoje policzone.

HAMDER.

Niecierpiany na ziemi i w grobie, po comnie trapisz? Kto cię otoczył płomieniem i ranę, którym ci zadał tak świeżą po latach tyłu, zostawił na piersiach?

Ty, coś miecza nie dźwigał nigdy, ręce tylko śnieżne mył u krwi ofiar na ołtarzu Marzanny, tyś chciał królem zostać!? Czyż nie byłem godniejszy od ciebie? Czyżbym ludu mojego nie był wyniósł nad wszystkie postronne plemiona? Wstrząsaj głową, groź rękoma—nie lękam się ciebie. Tyś mnie wypchnął na bezdroża świata, rzuciłeś mnie w objęcia Niemców i krzyż niemiecki zatknę na bałwanach, któreś ty tak kochał niegdyś! Oh! przeklinam ciebie — precz ztąd — mi ja twoja godzina — precz!

GŁOS.

Za rok o tej samej godzinie będę przy tobie!

HAMDER.

Rozstąpcie się (*odpycha Rytygiera i Biskupa*).

RYTYGIER.

Znów mi siłą dorównałeś, książe!

HAMDER (*zrzucając pancierz*)

Bo jutrzienka świta, bo jej rumiane promienie spadły na piers moją. Witaj mi światło, w której od lat dziesięciu po tej nocnej męczarni, nowe piję życie. Jak dobrze oddychać świeżem powietrzem! jak dobrze z piekła się wydzierać i wracać na ziemię!

BISKUP.

Zniż czoło i módlmy się razem.

HAMDER.

Nie—ku słońcu wschodzącemu wzniesioną trzymać muszę głowę—nie—my tylko polanów chrzcic będziemy razem. O, księżo, ja wracam z Rzymu, w Lateranu kościele papież słuchoł spowiedzi mojej—Cóż ty możesz po nim?

BISKUP.

Jakąż ci Ojciec święty pokutę naznaczył?

HAMDER.

Przybyłem do was, bym jej dopełnił. On mi kazał nie spocząć, aż dziesięciu tobie podobnych osadzę na Lechitów ziemi. Lecz teraz może opuścisz mnie, książę — ściganemu przez nadziemskie potęgi cofniesz dane imię brata?

RYTYGIER.

Sam cofnij, coś wyrzekł, lub dobądź miecza, boś pierwszy na ziemi zwątpił o sławie Rytygiera — przez duszę Gudruny! gdybym ci wprzód nie ślubował przyjaźni, teraz bym cię do piersi przycisnął z sił wszystkich!

Przez starego Odyna! widziałem bohaterów, alem nigdy nie spotkał równego tobie — oni umieli tylko śmiertelnym ludziom kroku dotrzymać! przez wszystkich świętych! sam koronę włożę ci na czoło wśród miasta Krakowa!

HAMDER.

Nieskłamaly języki ludzi — Jakim cię słyszałem, takim jesteś, Rytygierze! Każ więc flagi wojny z wież zamku rozpuścić — niech się zbiorą lennicy i poddani twoi!

RYTYGIER.

Jutro puścim się w pole.

BISKUP.

Książęta! niech pomiędzy waszemi skwapliwemi rady zostanie dość miejsca dla głosu mojego.

HAMDER.

Czego żądasz?

BISKUP.

Posłuszeństwa kościołowi.

RYTYGIER.

Co znaczą te słowa?

BISKUP.

Książęta! odebrałem zlecenia papieskie i cesarskie względem bałwochwalców.

RYTYGIER.

Cóż dalej?

BISKUP.

Dobrze i roztropnie mówił gość twój, kiedy ci radził zgromadzić Lenników. Wybierzemy się z licznym i świetnym rycerstwem, ale przybywszy do pogan stańmy obozem i zacznijmy od słów łagodnych. Jeśli odrzucą nasze przełożenia, wtedy dopiero miecz twój świecki dokona wyroku Matki Duchownej!

HAMDER.

Marna strata czasu, księże Biskupie! Bo któryż lud wam się poddał waszą rozczuloną wymową?

By starych Bogów wyrzucić z serca ludzi, trzeba tych serc tyśiące przeorać bojów lemieszem. Czy pamiętasz Saxonów? O Witykindzie czyś zapomniął, ojcze? Ale dwa, trzy dni odstąpić możemy obrzędowi kościoła rzymskiego. Po tych dniach kilku, tak pewno, jak że to słońce świeci, tak pewno, jak, że mnie losy przekłęły, przysięgnę, że nam wojnę wypowiedzą pogany! Znam Lechitów!

RYTYGIER.

Ułóż się z Biskupem!

Wojna mnie pali — wojnę czuję w powietrzu — w uszach mi się przemykają chrzęsty — boskie chrzęsty bitew (*zdejmuje róg z muru i znak daje*).

HAMDER.

Przystając, Ojcze Biskupie — pamiętaj, żeś mi dłużny teraz.
(*wpadają rycerze*).

RYTYGIER.

Wojna! wojna! — Ten człowiek to Ziemowit, syn Krakusa — kto mi służy i lęka się mnie, niech mu służy i lęka się jego. Ślubowałem Bogu i sobie: wydarte państwo mu przywrócić. Jutro pod noc zamek opuścimy.

Teraz uczcijcie króla Polanów, a potem za mną do wieży północnej po nietknięte zbroje!

CHÓR.

Niech wyskoczą z naszych pochw ostrza,
Jak błyskawice lecące do burzy,
Wszystkie, jak piorun co pada w jezioro,
Niech po rękojeść w morzu krwi utoną,
Szczęścia i chwały życzymy ci, Królul

HAMDER.

Oh! po długich latach przywitali mnie nareszcie króla imieniem! naprzód, naprzód, rycerze!

2.

Kopiec graniczny — po jednej stronie szopa, w jej głębi ołtarz, przed ołtarzem kapłani i rycerze. Biskup w ornacie na stopniach. Naokoło szopy zbrojni Niemcy, konno i pieszo — po drugiej stronie równina i wzgórza okryte ludem — z boku las sosnowy.

BISKUP.

Introibo ad altare Dei.

CHÓR NIEMCÓW.

Ad Deum qui laetificat iuventutem meam.

PIERWSZY Z LUDU.

Jakże dobra ziemia stęknęła od ich żelaznych padających kolan!

DRUGI.

Druhu! cóż to za człowiek przybity do krzyża w chmurze tak wonnego dymu, że aż tu go słyhać?

PIERWSZY.

A toć Bóg ich być musi fałszywy, niemiecki.

INNY.

Mówcie lepiej, gospodarze, po co nas zwołały, gdyby na żer-twę jaką, wojewody nasze?

PIERWSZY.

A Strzeżka zapytaj, alboć my wiemy?

GÓRAL.

Ja wam powiem—cudzoziemcy rozhovor chcą mieć z niemi—oto właśnie idę z boru a w gęstwinie pasując się z gałęziami w prawo i w lewo machałem toporem. Wtem, gdy ciąłem z sił wszystkich, ujrzałem jedną razą tam daleko, daleko na karczach spalonych siedzące wojewody, a pośrodku nich stała królowa w białych szatach, Wanda!

KILKA GŁOSÓW.

Wanda tak blisko?

GÓRAL.

Ona sama, przez ogniany i wiatrany znamci ją dobrze—przecież już jeden syn mojego wojewody zapatrzył się na nią i odtąd skacze i śpiewa jakby mu słonko w sam upał żniw czaszkę przepaliło— a drugi, Hardymir, dzielny wódz nasz, znać tego samego pragnie, bo i teraz jeszcze przechodząc spojrzę, aż tu on siedzi cały ku niej podany, z wyteżonemi oczyma, z wyciągniętą szyją. Nie mówię, gdyby przynajmniej twarz jej mógł był widzieć—ale nie—bo ona pod długą zasłoną się kryła i głos jej tylko zdaleka powiewał.

INNY Z LUDU.

Mało ludzi twarz jej oglądało.

BISKUP.

Dominus vobiscum.

CHÓR RYCERZY.

Et cum spiritu tuo.

(Rytygier i Hamder ze spuszczonemi przyłbicami wychodzą z szopy).

RYTYGIER.

Niecierpliwość na czarny węgiel spali krew moją — tyś taki spokojny, Hamderze?

HAMDER.

Skończyło się długie tułactwo, stoję wobec ludu mego. Kiedy koronę włożę na skronie, jak ptak lekkim się stanę; a gdyby wprzód śmiertelność, gdyby... to jeszcze lekszym, bracie. Zatem, dobrze mi jest!

RYTYGIER.

Jak się ruszają tysiące i ciekawie spoglądają na nas. Jak myślisz? Czyżbym takich kos dwadzieścia odrazu nie skruszył cięciem długiego miecza na odlew?

HAMDER.

Wzrostem i ryszunkiem przenosimy ich, ale zważ na ich gibkie ciała, na ogień, co im pryska z oczu; oni umieją rozbić się i skupić nazad, pod konia się rzucić i rozkładać mu wnętrzności, kamieniem wybić oko jeźdźcy, toporem, którym na wyżynach mordują niedźwiedzi, głowę rycerzowi zdjąć z karku, lub najchyźszego rumaka zbić z nóg wszystkich czterech. Rozpędzisz ich pod wieczór, a o świcie nazajutrz, nucąc pieśń zasiewu, lub dożyneków, oni ci wrócą do boju!

RYTYGIER.

Tem lepiej, bo po łatwych zwycięstwach niema czem zbudzić zaspanych strón harfy. Patrz! Oto mi rysy, jakby z nieba wzięte—to jakiś bohater być musi, orzeł takimi w słońce spoziera oczyma. Czemuż żadnej broni nie nosi? wszyscy się rozstępują i kłaniają—on zwiesił głowę jakby szyszak mu ciężał, a tylko włosy jasne spływają mu na barki. — Czy to wódz jaki?

HAMDER.

Urodził się na wodza, ale nim nigdy nie będzie.

LUDGARD.

Ja detynka małeńkaja,
Moja niżka boseńkaja,
Wyneste koladnik!

RYTYGIER.

Głos smutny z tak ogromnych piersi! wszysecy odwrócili głowy teraz.

HAMDER.

Nie śmia w oczy mu spojrzeć, bo wierzą, że on rozmawia z potężnymi Bogi, a on tylko oszalał urzeknięty Wandy spojrzeniem.

RYTYGIER.

Jakto?—mów prędko—on tu się zbliża.

HAMDER.

Ojciec jego Żelisław, wojewoda gór, niegdyś Czechy z ludem swoim zrabował i pyszny z powodzeń chciał zrzucić Krakusa — mój rodzic zgniótl go u bram Krakowa. Kiedy Wandę obrano, przysłał stary wojewoda starszego syna z hołdem i podarunkami—Ludgard odtąd, jakem slyszal, do gór swoich nie zajrzał ni razu, i znikczemniał z rozpaczy, bo Wanda śmieje się z bogini miłości.

RYTYGIER.

Chciałbym ujrzeć niewiastrę, która tak męskie przechyliła czoło. Ha! spętać ją w łańcuchy z bławatów i kazać jej prząść na kądzieli.

LUDGARD.

Ja detynka małeńkaja,
Moja niżka boseńkaja,
Wyneste koladnik!

HAMDER.

Prosi o upominek.

RYTYGIER.

(kilka srebrnych pierścieni kolczugi ucina sztyletem).

Masz, nieboże!

LUDGARD.

Znam was.

HAMDER.

Mnie?

LUDGARD.

Obu was widziałem.

RYTYGIER.

Gdzie?

LUDGARD.

Na kolanach u Boga Pogwizda, nim przyleciał powiew z dolnych jarów i zaniósł was na ziemię, gdyby ziaren dwoje — wtedy i mnie lepiej działa się niż teraz. Lecz nie troszczcie się — wkrótce znów będziemy razem.

HAMDER.

Gdzie?

LUDGARD.

Zrzucę rękawicę, a powiem ci przyszłość twoją!

HAMDER.

A co?

LUDGARD.

I ten drugi niech da rękę.

RYTYGIER.

Nuż, przepowiadaj!

LUDGARD.

Ciebie pierwszego i ciebie drugiego, śmierć zawczesna, gdyby sama chciała, minąć nie potrafi.

RYTYGIER.

Kawko!

LUDGARD.

Mój wojewodo, mój kniaziu, jeszcze się tobie coś w naddatku przed zgonem należy.

RYTYGIER.

Cóż, puszczyku?

LUDGARD.

Dłoń twoja goreje, jako moja niegdyś — Szalenstwo!
(*odchodzi*).

BISKUP.

Ite, missa est.

CHÓR RYCERZY.

Amen.

HAMDER.

Co tak za nim ciągniesz oczyma? teraz spojrzysz lepiej w tę stronę, bracie. Czy widzisz pomiędzy ostatnimi jałowcami boru tych dwunastu idących powoli — a przed każdym plug i dwa woły białe, jak mleko. To wojewody!

RYTYGIER.

A Wanda, gdzie Wanda?

HAMDER.

Niema jej dotąd — Boże! nie się nie odmienił potężny Żeliszaw, do dziś dnia tenże sam chód pyszny i twardy, ta sama czerwona przepaska na białych włosach — ale czemuż wiodą go pod ręce? wszak starzec, który idzie przodem ich wszystkich, sam nie prowadzi plugu?

RYTYGIER.

Młodzieniec jakiś z kolczanem na plecach i toporem u boku, woły starca pogania.

HAMDER.

Oślepl, oślepl wojewoda gór, a Hardymirowi oddał oręż dni dawnych. Ah! dobrze się stało, bo wzrok jego byłby się wwiercił pod przyłbicę i poznał rysy moje. Ot! Brzetysław z szramą na czole, co mnie w nocy zegnał na tej samej granicy i ślubował wiernym mi być, jeśli wrócę kiedy. Kolpak Knieźnieńskiego Barnima, jak dawniej, strusiemii powiewa pióry, zdartemi gdzieś z Niemców.

Patrz! oto wróg mój, dawny przyjaciel Leszka, z temi bursztykami na piersiach, Sterdza o słodkim głosie, o roztropnych radach. Stań przedemną, bracie!

RYTYGIER.

Żaden z nich nie patrzy na nas, wszystkich oczy obróciły się ku Biskupowi i kapłanom jego.

(Wojewodowie nadchodzą i każdy siada pod kopcem na plugu swoim, miecz wetknawszy w ziemię).

CHÓR LUDU.

Witajcie, witajcie, Hospodyny mile, a jeśli się godzi, prosim was poważnych i mężnych zapytajcie tych ludzi, po co przybyli i czego żądają?

ŻELISŁA W.

Na to zeszła nas córa Krakusa, miła Bogom Wanda, bądźcie spokojni!

HARDYMIR.

Uczście się! Alboż nie widzicie, że starzec kapiący od złota wznosił krzyż oburącz i o posłuchanie prosi?

RYTYGIER.

Gdyby człowiek jeden umilkli na równinie, po widnokrąg umilkli na wzgórzach!

HAMDER.

Jak tysiące ozwą się od widnokręgu, kiedy Biskup skończy!

BISKUP.

Mężę słowiańskiego plemienia, wybrane wojewody z narodu Polanów, słuchajcie słów moich jako przystało na was głośnych między postronnymi z mądrej rady i opatrnej myśli nad ludem waszym!

Przybyliśmy od zachodu, by wam przywieść dobrą nowinę, by wam opowiedzieć słowo miłości i zbawienia!

ŻELISŁA W.

Starcowi ja, starzec starców narodu mojego, odpowiem. Twarzy twojej widzieć nie mogę, bo od dni już wielu słońce mi nie weszło i księżyc wiecznym stał się dla mnie nowiem, ale każde drganie głosu twojego rozważam, siedząc w ciemnościach! Jeśli prawdę wyrzeczysz, któkolwiek jesteś, obsypiem cię najbujującymi kłosami zniw polańskich. Lecz jeśli pod lśniącą pajęczyną słów twoich kryje się jama zdrady, biada ci, cudzoziemcze, bo naprzód kałasz siebie samego, i powtóre biada ci, cudzoziemcze, bo mój lud się zemści!

BISKUP.

Na świadka czystych chęci, wzywam Boga, który mnie przysłał, bym wam Imię Jego obwieścił. Wszystko, na coś patrzył dawniej, ziemię, gwiazdy, wody, zwierzęta nikt inny jedno Bóg ten jeden stworzył dla chwały swojej i człowieka z prochu ziemi stworzył, a natchnął w Jego oblicze duch żywota — nasadził też był Pan Bóg sad rozkoszny w Eden na wschód słońca i postawił tam człowieka, któremu przydał niewiastę za współniczkę szczęścia; oboje mieli być nieśmiertelni, ale Duch kłamstwa i złości, któremu kłaniacie się dotąd pod

postacią fałszywych Bogów waszych, wczółgał się, przybrawszy kształt węża, do rozkosznych gajów i podmówił niewiastę, by zerwała jabłko z drzewa wiadomości, które Bóg jeść był zakazał—posłuchali i wraz z mężem jedli oboje, a Bóg ich przeklął, i ich i dzieci ich śmiertelnemi uczynił!

ŻELISŁAW.

Nasze litościwsze!

BISKUP.

Nie bluźń, boś zrodzon w niewiadomości prawdy, a my przyszli ci ją objawić.

ŻELISŁAW.

Któryż człowiek na szerokiej ziemi może takie słowo wyrzec do drugiego człowieka? Czy ty nieśmiertelny? czy nie ląkniesz, jak ja, napoju i jadła? czy lata, przechodząc nad twoją głową, nie przypruszyły jej śniegiem?

Hardy język i czcze myśli twoje—chyba zwiedli mnie towarzysze, kiedy rzekli: „Starzec siwy stoi przed tobą“. Ty młodym być musisz!

BISKUP.

Obląkany! ty mi raczej odpowiedz, czy wiesz skąd i dokąd idziesz, dniem po dniu, jak skrzydłami niesiony do śmierci? kto duszę twoją, której ni płomień stosu spalić, ni skorupa popielnicy zamknąć nie zdoła, sądzi za grobem?

ŻELISŁAW.

Pamiętam, nieraz, kiedy siedzimy wespół, ja i towarzysze, porą zimową przy dzbanach, opowiadając sobie łowy i boje, otoczeni miłym sereu smolnych luczyw trzaskiem, a na dworze za drzącymi ścianami czarno i wietrzno—pamiętam, nieraz wleci ptaszek obumarły w kuszulce ze szronu i padnie na stoły, lecz go wraz ciepło i światło ożywią, otrząśnie piórka i, ponad głowami wojowników krążąc, zaśpiewa o wiosnie, potem zmylony, myśląc, że to już wiosna na zawsze, znów wylatuje drugą stroną szopy! Takci i człowiek kaźden wśród dwóch ciemności, kilka dni na ziemi ocieplonej słońcem, zbożami umajonej przeżywa, a potem, gdzie znika, tego nikt nie dociekl, tego nikt nie powiel

BISKUP.

Mylisz się, wojewodo słowiański!—bo Bóg wszechmocny w miłosierdziu swoim zesłał syna Jednorodnego Jezusa Chrystusa, któ-

ry oblekł się w ciało ludzkie i słowem żywota te ciemności rozgarnął, a potem do Ojca powrócił i króluje w niebiesiech, aż znów zstąpi w dzień ostatni świata, by sądzić nas wszystkich!

ŻELISŁAW.

Co ty chcesz wmówić we mnie? Gdyby Jeden był wszystko stworzył i gdyby syn tego Jednego raz tylko stąpnął na ziemi, czyżby nie była się rozpadła od Wschodu na Zachód? czyżby gwiazdy, jak rój pszczoły nie były same zleciały zatknąć się w koronie nad Jego czołem?—i dotąd byśmy niebo porysowane widzieli!

BISKUP.

Na świecie był i świat jest uczynion przezeń, a świat go nie poznał. I na to był przyszedł, by wszystkie zbrodnie ludzkie wzięwszy na siebie, na tym krzyżu skonał. Nie był on królem ni wodzem, on tylko słowem nauczał o chwale Ojca swego, kazał ufać wiarą, spodziewać się nadzieją i kochać miłością — przebaczył wszystkim, byleby w skrusze żalowali za winy swoje. Jeśli pomiędzy wami jest zabójca, darowano mu, gdy uwierzy w Chrystusa—niechaj się nie lęka, niechaj przyjdzie do mnie. Jeśli między wami jest taki, coby ojca lub matki dźwigał przekleństwo, darowano mu będzie, jeśli uwierzy w Chrystusa. Jeśli jest niewiasta cudzołożna, darowano jej! Niechaj przystąpi! Jeśli jest pogardzony przez braci za podstęp lub zdradę, niech się zbliży i dotknie się ustami tych nóg gwoździemi przebitych, a odpuszczę jemu i on czystym się stanie i żyć będzie na wieki!

ŻELISŁAW.

Gdyby znalazł się taki, nimby złożył pocałunek na krzyżu twoim, syn-by go mój, syn ostatni, Hardymir, przeszył starą włócznią ojca!

BISKUP.

Nie tobie jednemu przyniosłem dobrą nowinę, ale wszystkim—nie do ciebie przemawiam, ale do ludu całego—w Imieniu namiestnika Chrystusa i w imieniu potężnego cesarza Zachodu nową wiarę wam ogłaszam. Kapłanów, którzy mię otaczają, rozeszłę po kraju waszym, a łaska Boża was przez nich oświeci!

ŻELISŁAW.

Ni ciebie, ni cesarza, ni Boga twego nie wzywaliśmy nigdy—Obcy jesteście—Niemcy jesteście. Droga, którąście przybyli, niech was odprowadzi nazad!

BISKUP.

Ludu się pytam, niech mi lud odpowie!

HARDYMIR (*zrywając się*).

Zaraz lud ci odpowie!

STERDZA.

Stój!—prócz królowej, nikt nie może stanąć na tym kopcu świętym i zapytać się całego ludu!

ZELISŁAW.

Zwyczaj ten wzięliśmy od przodków. Synu, prawdę rzekł wojewoda.

HARDYMIR.

Królowa czeka na nas w borze—zatem wązkie te smugi przebiegnę i opowiem jej, co się na równinie stało.

CHÓR LUDU.

Spieszaj, Hardymirze, synu gór, lotny orle skal!

BISKUP.

Tymczasem klękniście koło mnie, kapłani!—proście Ducha św. za temi tysiącami!

HAMDER (*do Rytygiera*).

Teraz bliska już wojny godzina!

LUDGARD (*śpiewa pomiędzy ludem*).

O tym Bogu, co na krzyżu, krótkie słowo, powiem wam.

Czy widzicie, jak się męczy?

Czy słyszycie, jak on jęczy?

A za co tak krwawy?

A za co tak łzawy?

Za to, że Niemców Bóg!

Za to, że Iachów wróg!

KILKA GŁOSÓW.

Wie co mówi—on z Duchami rozmawiał dziś nocą.

LUDGARD.

Kto z nas tu wszystkich Ładę kiedy widział na modrym obłoczku?

KILKA GŁOSÓW.

Nikt — nikt!

LUDGARD.

Kłamstwo — bo ja!

GŁOS JEDEN.

Jakże to było, wojewódzki synu?

LUDGARD.

Tęczą miała obwiązane skronie, a końce puściła z tyłu w powietrze i one ku mnie spadały, igrając z wiatrami — podmuchy wieczoru gnały ją ku wschodzącym gwiazdom. Krzyknął Ludgard: ona się zatrzyma — ona się odwróci i ukáže lica!

KILKA GŁOSÓW.

I cóż? — i cóż?

LUDGARD.

Ot! niech piorun rozbije na miazgę Ludgarda! Przysięgam, że Wanda piękniejsza. Lecz nie dajcie jej Niemcom, bo zbrzydnije wtedy!

GŁOSÓW KILKA.

Dobrze mówi, dobrze!

LUDGARD.

Holla! Hurra! Cztery konie czarne buchnęły z boru na zieloną łąkę. To ona! jak słup mgły srebrnej stoi na wozie! To ona!

RYTYGIER.

Hamderze, czy to królowa?

HAMDER.

Królowa? Nie — to tylko siostra moja, Wanda.

RYTYGIER.

Gibka i śmiała jej ręka! Jakżeż lejece puszcza na karki rumakom. Ominęła teraz głaz ten na polu, znów chyżej pełnęła się ku nam — to potok, to wieher, to piorun! to kobieta!

HAMDER.

Ha! pod tą śnieżną zasłoną wrą śmiertelne gniewy. Hardymir jej doniósł słowa Biskupa—patrz, jak dumnie skinęła głową na okrzyki ludu, jak teraz wyciągnęła ramię i dłonią rozprowadza milczenie nad niemi. Ani słucha wojewodów, ani odpowiada im, prosto na kopiec wstępuje—widzisz, zatrzymała się, patrzy na nas. Zgaduję jej pyszny uśmiech, jeśli oczyma krzyż wasz napotkała. To krew ojca mego, książę!

RYTYGIER.

O wietrze, stu zamków zdobytych na igraszkę rzucę ci popioły, byle-byś teraz z jej głowy zasłonę tę zerwał! Stała już na szczycie, wzniosła ręce ku niebu, przynajmniej głos jej usłyszemy!

WANDA.

Dobre i nieśmiertelne Bogi! Wy, coście nigdy nic nie odmawiały córce Krakusa, wysłuchajcie jej i dzisiaj jeszcze! Wszak nie skąpiłam wam najpełniejszych kłosów i najwonnejszego kwiecica, wszak postawiłam wam świątynie w głębi głuchych lasów i na wyspach jezior, wszak tobie, matko Wiślo, święty zapaliłam ogień w jaskini smoka, przy brata mogile!

Rzucicie, o rzucicie postrach na cudzych ludzi, którzy stanęli na naszej granicy w jasnych zbroicach! a od ich namowy zachowajcie tych, których kocham, tych, którym panuję, tych moich wszystkich. Słońce zachodzące! niech twój ostatni promień roztoczy się nademną, jak opieka Bogów—nim zejdziesz w złotą przepaść, niech wyrok Ludu zagrzmi w powietrzu. (*Obraca się ku ludowi*). Syny Słowian, czy chcecie być chrześcianami?

CHÓR LUDU.

Nie! nie!

WANDA.

Syny Słowian, czy chcecie być Niemcami?

RYTYGIER.

Lud cały jednym gardłem się rozśmiał! Przez św. Huberta! Samo powietrze się śmieje, i bór, i wzgórze. Będę ja deptał wasze śmiechy moją kutą stopą! Czyś osłabł pod temi rykami, że się na mnie opierasz? Hamder! Ty drżysz cały!

HAMDER.

I ja byłem Lachem kiedyś!

RYTYGIER.

Przez Gudrunę! Tegom się nie spodziewałem, że będę musiał stać niewzruszony, obwiany pogardą motłochu. Hamder! Hamder! czy słyszysz?

HAMDER.

Mścij się więc za siebie i za mnie!

RYTYGIER.

Księżę Biskupie, ojcie Biskupie, proszę cię, ustąp się. Królestwo słów przeminęło, na nic się nie zdało. (*Wysskakuje naprzód*). Królowo, dopiero jednej połowy poselstwa dopełnił ten starzec, druga zabrzmiała inaczej. (*Dobrywa miecza*). Oto jej pierwszy dźwięk! Cha, cha, cha! Czy ja na księdza lub dziewczę wyglądam, że mnie zastraszyć myślicie? Odwołajcie, Lachy, krzyki do piersi waszych, bo nawet słów moich zagłuszyć nie zdołacie. Kiedy grzmi na niebie, jeszcze mnie słyszeć.

ŻELISŁAW.

Synu, co to za człowiek, którego głos huczy ponad wrzaskami tysięcy?

HARDYMR.

Przyłbica twarz mi jego wydziera, ale pierś jego pod ciężkimi ogromami żelaza, jak żart wolna się zdaje, miecz olbrzymi, na którym dłonią się oparł, ugina się i drży cały. Inni wydają się przy nim, jak giermki chłopięta, prócz jednego tylko, co stoi z boku, z pochyloną głową—gdyby ją podniósł, mógł-by ją dorównać. Lecz słuchaj, ojcie, słuchaj teraz!

RYTYGIER.

Wandol Czy znasz brata? Lachy, znacie wy króla Ziemowita?

WANDA.

Jak ono słońce, co zaszło, znikł bratobójca. Jak te połyski, co bledną, ślady jego się rozwiały. Jak ta noc, co się zbliża, tak nad nim weszły ciemności Hańby!

CHÓR LUDU.

Królobójca, bratobójca, zapomnian na zawsze!

RYTYGIER.

A jednak on prędzej wróci, niż to słońce, córo Krakusa! Przyśięgam, że prawdę mówię, i ty mu ustąpisz, a wy go słyszeć będzie-

cie. Inaczej, Lachy, biada wam! bo wasz śmiech przerobię na jęk konających, bo z was jednego nie zostawię z wolnemi rękoma i wypuszczę spętanych na pole, jako bydło, i każę wołom, by was pasły, dawnych panów swoich.

WANDA.

Nie porywaj toporu, Hardymirze! Nie wstawaj, Barnimie! Zostańcie wszyscy przy pługach waszych — przez pięć dni i pięć nocy obiecaliśmy zgodę i pokój cudzoziemcom zachować. Dwie doby dopiero jak słowo nasze słyszały nieśmiertelne Bogi! (*Do Rytygiera*). A ty, choć ryczysz jak Lew zmartwychwstania na Flinsa ramieniu, nie straszny mi jesteś, bo kto zdrajcom pomaga, ten niedługo stąpa po miękkiej życia murawie. Cokolwiek knujesz, bezpiecznyś na tej ziemi naszej, póki chwile miru nie upłyną — wtedy wolno ci wrócić nazad, wolno ci bój z ludem moim rozpocząć. Łacnieś uczynił, żeś twarz od oczów dobrych ludzi oddzielił żelazem. Ja nie mam się czego ni lękać, ni wstydzić, a zatem weź na drogę pamiątkę po królowej Polanów. (*Odrzuca zasłone*). Weź to spojrzenie pogardy!

CHÓR LUDU.

Niech żyje krasopani nasza!

RYTYGIER.

Księża, czy to święta z niebios? Hagenie, czy to jedna z Walrych, o których mówią stare pieśni ojców?

HAMDER.

Odpowiedz-że dumnej! czy nie widzisz jak wojewody i lud i ona z nas się urągają? Czyś nie słyszał jej słowa ostatniego?

RYTYGIER.

Hagenie, podnieś mi przyłbicę, niech odetchnę wolno, niechaj spojrzę pełno — zerwij mi szyszak, Hagenie!

HAGEN.

Tę klamrę muszę rozerznąć sztyletem. Strzeż się tej czarownicy, panie!

CHÓR LUDU.

Czy to Lel młodzian, czy to Żnicz, pan światła błysnął wśród Niemców i spogląda na Wandę naszą?

RYTYGIER.

Nie odwracaj się, dziewico, tej zasłony nie zarzucaj nazad! Powiedz mi, jak się zowiesz, bo oni wszyscy kłamią, mówiąc, żeś córka śmiertelnego człowieka.

HAMDER.

Przez czarta! Milcz jak umarły, jeśliś poległ od jednego jej spojżenia — patrz i milcz, by dzieci Polan w piosnkach swoich nie osławiły ciebie — milcz! raz jeszcze mówię. (*Obejmuje go ramieniem i staje przed nim*). Wando, zatrzymaj się!

WANDA.

Kto przemówił teraz? Sterdzo, czyś tego głosu nie poznał? Wojewody, otoczcie mnie! Czy widzicie tę postać wysoką jak Czarnyboh, co przesłoniła boskie czoło tamtego wojownika, czy słyszycie, jak ona woła na mnie? Wiecie wy, kto to jest, wojewody? Patrzcie! Zbrojną podniosła rękę i grozi mnie. Tu na lewo, tu na prawo, bliżej jeszcze, bliżej stańcie tu przy mnie!

HAMDER.

Kryj się pośród służalców, Wando, i przepadnij wraz z niemi w łonie wiecznej nocy. — Ranek mój już świtać zaczyna! Długoś prządała spokojnie królewską kądziel przy umarłego mogile; kiedym wędrował w nędzy, przy gromnicach błyskawic, tyś chleb jadła miękki, tysiącem szczęśliwych otoczona bogów! Teraz ja wracam z jednym tylko Bogiem skrwawionym i ponurym, jako serce moje. Teraz brat mój, książę Rytygier, wypowiada ci wojnę, a z głębi Niemiec tłumy rycerzów śpieszą mu na pomoc. Za trzy dni, siostrzo, spotkamy się na polu bitwy!

WANDA (*do ludu*).

Rozejdźcie się do domów po orężę i konie, a za drugim świtem czekam was u ojca Krakusa mogiły. Idźcie i złożcie przed bojem należne ofiary Marzannie! (*Do Hamdera*). W imieniu ludu mego, wojnę przyjmuję, straszna wojnę dobrych przeciwko tobie, coś Bogów rodzinnych odstąpił i duszę zaprzedał wrogom ziemi twojej.

STERDZA.

Wojna, wojna! Bo dotąd zwłoki Leszka niezemszczone leżą.

HARDYMIR.

Wojna, wojna! Dzieckiem byłem, gdyś uciekał nocą. Teraz próbujesz, czym wyrósł na męża!

ZELISŁAW.

Jak przez mgłę zapamiętam jeszcze białą brodę pradziada twego, z dziadem twoim w głuchych borach nad ciałami pobitych turów

spijałem gęste roztruhany miodu. Ojcu twemu przysiągłem na przyjaźń pod murami Krakowa i żyłem z nim odtąd jak potężny starosta z kochanym od Peruna żupanem. Ciebierm piastował na rękę, kiedyś się urodził, potem topór ci kładłem w maleńkie dłonie i błogosławiłem twej główce dziecinniej, a dziś stary i ślepy przeklinam ciebie!

CHÓR LUDU.

Wraz z wojewodą gór i my wszyscy ciebie!

HAMDER.

Biorę wasze przekleństwo na głowę moją — tyleż ich w moich własnych piersiach leży! (*Do Biskupa*). Teraz z krzyżem, wzniesionym wśród jarzących gromnic, dotrzymaj mi obietnicy, ojciec—jam ci się z mojej wywiązał. Wszak lud ten za to, że odrzucił świętą wiarę chrześcian, oddajesz w ręce moje?

BISKUP.

Amen.

HAMDER.

I ta ziemia moją w imieniu Cesarza i Rzymu?

BISKUP.

Amen.

HAMDER.

Słyszeliście, towarzysze, dzielni Rytygiera wojownicy?

CHÓR RYCERZY.

Długiego życia królowi Polanów!

RYTYGIER.

Hagenie, czy to jej biała szata tam wśród ciżby bliska już lasu? Nie, nie, wszak to jej wóz i konie dotąd przy tym kopcu stoją? Hagen, Hamder, pomóżcie mi! Te zawistne cienie tak chyżo spadły, te tłumy tak błędnie się gmatwają, rozchodzą, nikną—gdzie ona? Gdzie ona? Wyrwijcie mnichom gromnice! dobądźcie szabel, by się w każdej jeden płomień odbił — światła, światła, światła!

HAMDER.

Jużbyś jej nie ujrzał, gdyby samo słońce wróciło—patrz! plugów ni wozu już niema—tylko snują się Polanie, jak burza, co się oddala —coraz pustszy widnokrąg—wojewodów kilku jeszcze radzi pod temi

sosnami, lecz i oni zabierają się w drogę — wracaj, Rytygierze, do zmysłów!

RYTYGIER.

Hagen! ty wiesz, żem dotąd na żadną nie spojrział niewiastę.— Urągałem się z rycerzy cesarskich, kiedy szli dobywać zamków, w których hoże panowały dziewice—mnie jedna tylko twarz niewieścia tkwiła w pamięci, twarz biednej Gudruny! a teraz drzę cały—te lasy i niebo kręcą się w koło, niedługo zwałą się razem i uduszą mnie! przeklęte słowo rycerskie! przeklęty mir, który mnie wiąże. Dziś bym jeszcze za niemi poskoczył, a rankiem wrócił i przyniósł Wandę na świtu promieniach... Hamder! chodź ze mną—mów do mnie—głos twój czasami do jej głosu podobny!

HAMDER.

Bracie, niedługo przybędę, ale teraz muszę tu na chwilę zostać. *(do giermka)*. Goń za tym człowiekiem, co się oddzielił od innych i sam stoi na moście—goń ile sił ci stanie, oddaj mu ten pierścień a kiedy go pozna, wskaż mu ręką szopę—nic więcej, tylko pierścień oddaj i wskaż ręką szopę.

(giermek odbiega).

RYTYGIER.

(odchodząc z rycerzami i Biskupem)

Hamderze, nie zwlekaj! Hamderze, czy słyszysz!?

HAMDER.

Przysięgam o północy być w namiocie twoim — *(do straży)* oddalcie się, wróćcie do obozu, zostawcie mnie samym *(wchodzi do szopy i siada na stopniach ołtarza)*.

Przyświecaj mi, chrześcijańska lampo, ty coś dostała mi się w zamian za stracone niw słowiańskich słońce! Ileż już nocy przemarzyłem w twych gorzkich promieniach! Dziś na zawsze połączyłem się z tobą i ty na królewskim grobie moim tleć będziesz, przeklęta od Polanów!—

Ah! gdybym był odzierzał po ojcu puściznę, tybyś daleko gdzieś w Rzymie lub nad brzegami Renu jaśniała teraz, ale nie tu—nie tu na tej ziemi mojej! *(schyla się i bierze trochę ziemi)* W tobie naddziadów moich prochy—ty mi nic nie winna, jedno oni, którzy zamieszkali łany twoje, zmusili mnie do boju bez odpoczynku, a może bez końca. Im zemsta! lecz tobie, droga, pocałunek syna!—Czyjeś kroki się zbliżają — gracko się sprawił giermek Rytygiera — to Brzetysław!

(wchodzi Brzetysław).

Witaj mi, druhu! kiedyś przebrany odwiedzał wczoraj dąbrowę Pelwita, u wejścia siedział stary twój gęślarz, Siemian, i poznał mnie i mówił, że dni kilka temu ci się śniło, że wracam na rodzinne pola. Sen twój jawem stał się, wojewodo!

BRZETYŚŁAW.

A dotąd jaw ten snem mi się wydaje! Jakżeś odmienny w tej niemieckiej zbroicy! Inaczej wyglądał wódz dni dawnych, co tak lekko i urodziwie Lechickie przebiegał równiny w białej czapce z burką błękitną szumiącą wichrami! Wtedy skrzydła orłów pobitych igrały ci zatknięte u ramion i kosa, tęcza bojów, jaśniała w ręku twojem! Lud patrząc wołał: Chyba to jeden z Bogów naszych. Ah! Ziemowicie! wtedy zacniej, wtedy lepiej był! Co za chrzęst się odezwał? Czy kto trzeci tu nas nie podsłuchuje, książę?

HAMDER.

Z przyjacielem nie lękaj się zdrady! to tylko wyschłe piersi mojej kości wzdrygnęły się w próżni pancerza—precz z tą słabością, starych wspomnień sługą! Na co wywoływać czas obalony, co już nie powstanie nigdy, kiedy żyjąca terażniejszość stoi przed nami—o niej pomówmy. Tu, przy mnie siadaj, wojewodo!

BRZETYŚŁAW.

Na tych czarnych stopniach?—pod tym cudzym Bogiem?

HAMDER.

Nic cudzego niema człowiekowi, który wzbic się umie po nad złudzeń codziennych pospolite szranki. Od lat dziesięciu nie spocząłem nigdzie: sto miast widziałem! pokotem spałem z niewolnikami, a nazajutrzem siadał do biesiady królów. Wszędziem jedną tylko prawdę znalazł! Imię jej potęga. O nią walczą ludzie, gdziekolwiek im się dostało przemijać na szerokiej ziemi, a kto jej nie dostąpił, żyje w nędzy i umiera w zapomnieniu; bo dni jego przeszły marnie, w niczem nie podobne do siły odwiecznej, co nas z góry tłoczy. Białymbohem-li ją nazwiesz, czy Bogiem Chrystusem! Siadaj przy mnie, wojewodo!

BRZETYŚŁAW.

Po tych słowach lepiej, niż po twojem pierścieniu, niż po twojej twarzy, poznaję ciebie! Wspólna nam oba ta żądza sławy! przysięgli-

śmy niegdyś na zgliszczach Peruna drzeć się oba do wielkości razem, ty jako król—ja jako wierny ci starosta! ale w tej przysiędze lat naszych młodych o cudzoziemcach mowy nie było—nie wahałbym się wśród wojny domowej wraz z tobą jednych braci stopy pędzić na drugich obalone karki. Lecz kiedyś obcym się powierzył, kiedy krzyż niemiecki przylgnął ci do serca, a miecz niemiecki zrosł z dłonią twoją, ni im, ni tobie. książę, nie mogę ja służyć!

HAMDER.

Czyż nie każda wojna domową, Brzetysławie? Czy nie wszyscy ludzie braćmi i wiecznymi wrogi zarazem? braćmi w kolebce i trumnie, wrogami przez ciąg cały życia? Niemiec, ażasz nie człowiek jako ty, skory do niewiasty, skarbów i rozboju, cichy, kiedy go zgnieciesz, hardy, kiedy mu się poddasz? A krzyż co? Godło wiary tajemniczej, która nad ziemią przelatuje tak samo, jak Bogi nasze, wędrowna od wschodu, tak samo niewidziana nigdy, a czczona jednak—tylko w tem od nich różna, że młoda—a one zgrzybiałe!

BRZETYSŁAW.

Wierzy jednak w te stare Bogi siostra twoja i lud im codzien na wzgórzach składa objaty. Lud ich bronić będzie i na potokach krwi własnej poczyni im wyspy schronienia!

HAMDER.

Słuchaj mniel—bom jedne po drugich rzucił na targ życia wszystkie zdrowia siły, bom rozbrałał się z snem, z urodą, z sumieniem, by kupić jedyną mądrość tej ziemi—kilka kropel jadu w czarce doświadczenia! I od goryczy tego piolunu wzrok mój dostał sił tyle, że spokojnie zdoła, świecąc pruchnem, rozgarniać cienie przyszłości! Wierz mi! przeznaczenie na czas długi krzyż wyniosło, by panował światu!

Widziałem, jak on naprzemian kruszył serca narodów żelazem, to namową i łzami—spotkałem tysiące nawróconych Słowian, pędzonych jak cicha trzoda przez starców kilku. Stałem na pobojowisku, kędy leżały dzikich bałwochwalców trupy, a ich dzieci kłęczące, po chrześcijańsku już się modliły za dusze ojców pobitych. Gdziekolwiek szedł, lub zatrzymał się, krzyż mijał przedemną, na prawo, na lewo, w górze na wieżach i w dole na grobach. Weześniej czy później oni owdładnie wami. Dzieckiem, kto odkłada do jutra i znów na drugie i na trzecie jutro, to co stać się musi. Mąż konieczność gdy uzna, brata się z nią dzisiaj — wtedy jej żelazne ramiona stają się ramionami męża! Wojewodo! kiedyś sami Niemcy przybędą, a mnie już nie bę-

dzie z niemi. Wtedy dola Polanów nie odwrócona, odwleczona tylko, ażasz tysiąc razy sroższą się nie stanie? Przecież ja wzrosłem u was, przecież mnie matka lechickimi karmiła piersiami! Ja waszej mowy nie wytępię, waszych obyczajów nie zdeptam, bo one młodości mojej pamiątką! Sąsiadów, przybyłych ze mną, zdołam odprawić do domu. Cień tylko krzyża, nie on sam, wzorem dębu twardego jak w innych krainach świata, spadnie z mojej ręki na was. Pomyśl, synu Mścisława! Lepiej nam obu zyskać na zmianie, niż żeby na mogiłach naszych ktoś inny, ktoś cudzy zasiadł w pysze i urągał się z nas pomarłych w milczeniu, kiedyśmy żyć mogli potężnie i głośno! Czas krótki do namysłu... Kiedy ta noc upłynie, ze mnie jeszcze król być może, z ciebie już nic, Brzetysławie!

BRZETYSŁAW.

Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, książę? Za kilka dni Lechia rozdziwić się miała. Hardymir lada chwila chciał słać wróżbiarzy, swatów do siostry twojej, tuszając sobie w szale, że jemu Bogi przeznaczyły rozpleść jej warkocz nietknięty. Czemuś, czemuś sam jeden nie wrócił, Ziemowicie? Łukonośna Wanda byłaby dziewosłębów zimnym zbyła słowem. Ztąd bunt Hardymira, bo czego raz zapragnie, tego dopiąć musi lub zginąć. Tymczasem ty ukryty czekasz, aż ich oręż się stępią, aż lud znękany zacznie sarkać obojgu—krewni i służebni moi zbierają się koło ciebie... Na ich czele występujesz w porę, bo zapomniany już, a zatem świeży i miły ciekawości ludzkiej... Kto by się nam oparł? Ah! czemuś nie zaufał wierze mojej? Czemuś samotny nie przyszedł zakołatać nocą do wrót moich? Byłbyś zasiadł w cieniu zielonych kłosów mojego domowego potrympa!

HAMDER.

Czyż to, co być mogło, godne słów tyłu wobec tego, co jest i będzie? Księżycy nie nagniesz do matni w jeziorze? co się stało, stało się, człowiecze!

BRZETYSŁAW.

Wiem ci ja, wiem i dla tegoć narzekam. Bo muszę, jeśli teraz zwiążę się z tobą, wyzucić się czci Bogów i wstydu ludzkiego — patrz! włosy te ciemne muszę okryć hańbą, a jeśli kiedy siwych się doczekam, powiedzą Słowianie: „nie ze starości, ale od śliny plwań naszych zbielały mu włosy“. I córa Lubhosta, którą pojął za żonę, płakać będzie po wszystkie dni swoje; aż nici kądzieli od łez zgniją jej w dłoniach i dzieciom dzieci moich, kiedy zapytają się „kto był dziad

nasz? przecz nigdy jego imienia nie słyszym“? odpowiedzą ludzie: „na imię było mu: Zdrajca“! O, biada, biada mi, książę!

HAMDER.

Mylisz się—bo jeśli przegramy, zginiem oba razem, gdzie na polu bitwy. Wtedy wszystko ci jedno, jakie gwary żyjących zostawisz po sobie. Lecz jeśli zwyciężym... Czy ty rozumiesz, co zawiera w swoich przepaściach to słowo: *Zwycięstwo*? Patrz na te łąny milczące i ciemne—na wzór nich leżą zwyciężeni pod nogami bohatera. Teraz spojrzuj w górę na gwiazd tych krocie! Kiedy miną zapasy walki, on tyle dobrodziejstw rozda tym, co mu wierni byli—i tym, którzy mu się poddadzą, przebaczy i lud, który mu się powierzy, wyniesie ponad wszystkie inne, aż imię jego, zrazu niecierpiane, wreszcie w chwałospiewach przebrzmi do przyszłości...

Druhu! ty możesz takim zostać, a wahasz się. Nie zmuszam ciebie... Los nie prosi się u nikogo, jedno ludzie proszą się u Losu. To jedno wiem, że mi dwunastu wojewodów nie potrzeba wcale. Jako król jeden, tak i jeden na tych niwach będzie wojewoda: namiestnik mój, szafarz życia i śmierci. I to drugie jeszcze wiem, iż z Niemcami wiecznego nie szukałem miru, i że kiedyś ich ziemię, jeśli tchu mi stanie, polskich rumaków stratuję, nawiedzę kopyty.

Teraz wolno ci odejść i raz ostatni pożegnać Ziemowita!

BRZETYSŁAW.

Przeklęty niechaj będzie wabny twój głos, królu! przeklęta godzina, o której tu stanąłem! Jak otchłań, w dół i w szerz roztwierasz się przedemną i porywasz mnie! Tak Czarnobogi, w nocy po żalnikach płacząc się kołem, odbierają rozum młodzieńcom, a kiedy zorza wschodzi, zostawują ich nędznych i ślepych na wieki! Ciesz się—dziękuj Bogom, ty co zgnębić chcesz Polan, żeś znalazł jednego Polana—ty coś brata zabił, żeś znalazł jednego człowieka, który dłoń swoją z twoją wiąże, kusicielu! Oto ręka Brzetysława, jedno przysięgnij na to, coś wyrzekł!

HAMDER.

Ze kiedyś Niemcom damy się we znaki?

BRZETYSŁAW.

I że w Polsce całej będzie tylko jeden wojewoda!

HAMDER.

Przez co mam przysiądz? zbiegłem ziemię od zachodu na wschód, a żadnych imion świętych ni kochanych niema dla mnie na niej!—Oddaj mi mój pierścień z głową potrójną Peruna!

BRZETYSŁAW.

Masz go.

HAMDER.

I krzyż ten mi podaj! — przecz się lękasz? — to drewno i toczne kamienie — nic więcej!

BRZETYSŁAW.

Masz!

HAMDER.

Przez starego Okkopirna i przez nowego Chrystusa przysięgam dotrzymać ci obietnicy mojej! Teraz leżcie pospołu! (*Rzuca krzyż i pierścień*).

BRZETYSŁAW.

O czym się zamyślasz? co tak patrzysz ponuro? wychodźmy stąd.

HAMDER.

Cha, cha, cha! Oni leżą obok siebie w zgodzie i milczeniu, a za trzy dni o nich bić się będziemy. Chodź, wojewodo, przechowam cię w namiocie do jutrzejszej nocy; będziemy mieli czas rozmówić się wolno, cierpliwie, ostatecznie! Tędy droga, tędy wojewodo!

Koniec 1-szej części

DRUGA CZĘŚĆ.

(*Szczyt wzgórza, z kąd widuć podhalańską okolicę o wschodzie słońca. Żelisław na ogromnym glazie siedzi — u stóp jego leży Ludgard — z drugiej strony nieco opodal stoi Hardymir — w bliskiej dąbrowie widuć orszak kapłanów, schylających się pod drzewami i zatrudnionych objąką. Zbrojni górale*).

ŻELISŁAW.

Wzywajcie Jessena pieniem świętecznym wróżbiarze i czarno-księżnicy! — a wy ludzie plemienia mojego, Chroboty o niezłomnych toporach, stuletniemu starcowi, który widzieć was nie może, odezwijcie się krzykiem! On waszych ojców i dziadów niegdys prowadził do boju!

CHÓR GÓRALI.

Haleśmy opuścili — z drap ¹⁾ stromych na twój rozkaz spłynęliśmy, jak potoki wiosny, i teraz czekamy błogosławieństwa twego, by odejść na boje, zstąpić na Krakowską równinę.

ŻELISŁAW.

Dzięki wam, dzieci! Dopóki niebo błękitniało nademną, dopóty sam stąpał na czele pokolenia mojego — dziś nieskończona ciemność północ i południe, wschód i zachód mi zaległa. Dziś ja się powlokę za wami oparty na rękę syna, Ludgarda, a przodem iść będzie syn mój, Hardymir! Bądźcie mu posłuszni i za Wandę panią, i za Polanów braci bijcie Niemców do tchu ostatniego!

CHÓR GÓRALI.

Niech żyje Hardymir, niech przepadną Niemcy!

ŻELISŁAW ²⁾.

Dzięki wam, dzieci! Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie wszyscy ojcowie moi składali Bogom ofiary i sądzili sprawy ludu — a kiedy wojna zawrzała na równinach, oni ztąd waszym naddziadom obiecywali zwycięstwo i kazali bez trwogi umierać! Na tym sa-

¹⁾ Drapa, po góralsku: bok góry. (*Przypisek Zygmunta Krasin-skiego*).

²⁾ W autografie mamy w tem miejscu dziewiętnaście wierszy przekreślonych, które tu podajemy:

ŻELISŁAW.

Dzięki wam, dzieci! (*Wstają*). Z tego samego głazu ofiary, na którym ojciec mój..... (*zamazane atramentem i nieczytelne*), wszyscy ojcowie moi siadali, by nieśmiertelnych Bogów błagać o zwycięstwo i ludu serca zagrzewać — na tym samym głazie siadał ojciec mój i sprawy ludu rozsądzał. Wszyscy ojcowie jego zwykli na tym samym głazie ofiary Bogów prosić o zwycięstwa. Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie, wszyscy ojcowie moi składali bogom ofiary i serca ludzi (ludu) zagrzewali — sądzili sprawy ludu. Ztąd waszym naddziadom, nim przeszli na równiny (zeszli na ziemię), przepowiadali zwycięstwo. Na tym samym wzgórzu, na tym samym głazie, naddziadom waszym, ilekroć zgromadzili waszych... Ja wam błogosławię teraz, słyszę, słyszę dzieci moje, żeście schylili czoła, żeście upadli na ziemię. Tak naddziady wasze zawdy przed mojemu zwykli czynić, kiedy godzina walki uderzyła i wielu z nich przyszło umierać.

mym wzgórz, na tym samym głazie i ja was błogosławić będę. (*W staje*). Słyszę, słyszę dzieci moje, żeście zniżyli głowy, żeście przy-
padli do ziemi... Niech siła piorunu, co tam drzemie w górze, spłynie
mi do rąk, a z nich zleje się w piersi wasze. Hardymirze, synu, przy-
stąp, niech moje dłonie, jak dwa gromy spoczną na głowie twojej.

LUDGARD.

Hardymirze!

ŻELISŁAW.

Gdzież twój brat, Ludgardzie?

LUDGARD.

Zadumany patrzy na dąbrowę, na kapłanów, a mówią, że nic
nie widzi i że nic nie słyszy, prócz myśli swych! Dzisiajem z nim
w jednej spał szopie, on w nocy jak się porwie i stękać zacznie i cho-
dzić... Ojczy, ojczy! jem się chce tego, na czym ja się rozbiłem. I cho-
dził posepniejszy od nocy, a gdym się spytał: „Czego jęczysz, młodszy
mój”? On skoczył zgrzytając i uciekł — Halele Lele! ¹⁾. Hardymirze,
czy słyszysz? Hardymirze, chodź do ojca twego!

HARDYMIR.

Ojczy, wszak ród nasz od bogów pochodzi?

ŻELISŁAW.

Czemu się pytasz? Ażalim cię nie uczył od kolebki, że krew nie-
bieska w twoich żyłach płynie?

HARDYMIR.

A zatem czoło moje godne Lechickiej korony?

ŻELISŁAW.

Zkąd w takiej chwili przyszło ci na myśl budzić we mnie dawne
wspomnienia i starą pokusę. Marzyć nie przystało, kiedy działać
trzeba. Obcy najezdnic grozi Lechii, a góry te mnie przyrzekły, że
się schylać będą, ile razy krakowska równina krzyknie im: „na po-
moc!”. Jej głos słyszałeś zawczoraj — z doborem więc synów skal
śpieszaj do Wandy, pani twojej!

¹⁾ Wykrzyknik przy pogrzebach w Polsce pogańskiej używany. (*Przy-
pisek Z. Krasińskiego*).

HARDYMIR.

Zaprawdę, ona panią Hardymira, bo gdziekolwiek spojrzę, postać jej widzę, a kiedy oczy zamknę, ona mi się przyśnić musi. Tysiąc córek Krakusa chadza przedemną i za mną, na prawo i w lewo. Wiatr zaszumi po borze, a ja wołam: „Wando, co każesz?"; gdzieś potop zdaleka huczy, a ja biegnę, krzyżąc: „Tu jestem, tu, o Wando!“, w ryku wilków, w krzyku orłów jeszcze głos jej słyszę ¹⁾. I wszędzie jej pełno, i nigdzie jej niema. Dopókim mógł, znosiłem męczarnię, teraz nie służę już dalej! Dziś niechaj się losy Hardymira rozstrzygną!

LUDGARD.

Halele Lele!

HARDYMIR.

Precz mi z tym krzykiem pogrzebów!

LUDGARD.

Twój dziś się zaczyna, jako mój począł się już oddawna, o podobnej godzinie!

Halele Lele!

HARDYMIR.

Ojczy, błagam ciebie, poszlij kapłanów do Krakowa z świętym śnieżnobursztynowym naszego rodu puharem, niech go podadzą królowej Polanów, niech ją proszą, by nietknięte na jego brzegach odwilżyła usta. Ojczy, patrz, jeszcze trzy dni spokojnych nam pozostało przed miru upłynieniem, teraz dopiero co weszło słońce, a nim ono zajdzie, dziewczostęby tu z powrotem być mogą. Ojczy, proszę cię, poszlij ich!

ŻELISŁAW.

A jeśli nie zechce królowa dotknąć się puharu Chrobotów, jeśli wzgardzi młodszym, jako starszym wzgardziła już bratem, co ty poczujesz wtedy?

¹⁾ Wszędzie jej pełno, a gdy chcę przystąpić, ujrzyć ją, dotknąć się jej, nigdzie jej niema — nawet kiedy stanę obok niej, niema jej jeszcze, bo nie śmiem oczu podnieść i przemówić do niej. Długom znosił tę męczarnię, teraz nie służę już dalej. Dziś niechaj się losy Hardymira rozstrzygną! (*Dopisane w autografie z lewego brzegu na ostatniej stronie 17-go arkusza*).

HARDYMIR.

Nie, nie, przez Boga piorunu, tego nie będzie! Ilem razy na łowach cisnął pod jej stopy obalonego niedźwiedzia, lub przebił włócznią tura, odrzucając na chwilę zasłonę z nad czoła, chwaliła mnie wobec radnych panów i zdarte z dzikich zwierząt skóry nieść kazala do jaskini smoka. Tam one leżą miękkie przy Łeszka mogile! Jeszcze wczoraj, gdy¹⁾ straszną twarzą bratobójcy zchodziła z świętego kopca, rzekła do mnie: „podaj mi lejce, wojewódzki synu!“ i znikła wśród sosien, z wozu żegnając mnie ręką! Kto drugi w Lechii całej pochwalić się może, że go kiedy Wanda białą witała lub żegnała dłonią?

ŻELISŁAW.

Marne twoje słowa!

HARDYMIR.

Niedość na tem, ojcze! Zważ, że teraz właśnie pora uderzyć w jej dziewicze serce i zmiękczyć je na wieki. Kto jej będzie śmiały radzić w takim niebezpieczeństwie, by prośby mojej nie wysłuchala? Któż jej sierdzistszych mężów przywiedzie odemnie? Czy Mestwin z nad bagien gnieźnieńskich? Czy Brzetysław, dawny Ziemowita służebnik, z nad piasków, porosłych sosnami? Ona wie dobrze, kto ja i chłopcy moje! Nim innych wojewodów nadciągną posiłki, Niemcy Kraków zdobyć mogą. Dopóty Kraków, dopóki góry z nim. Rytygier i Ziemowit wyglądają na bohaterów. Ta wojna spadła nagle jak obryw skały, i Wanda nad przepaścią stoi! Ojcze, szlij swatów do niej! Wczoraj może-by ich była wywołała z kraju, lecz dziś ich przyjmie laskawie, a jutro, jutro Hardymir twój będzie również królem!

LUDGARD.

Halele Lele!

ŻELISŁAW.

Teraz dopiero coś na kształt prawdy wyrzekłeś. Jednak w córce Krakusa nie spodziewaj się nigdy strachu, ni zwątpienia. Duch ojca zawrócił z mogiły i wstąpił w jej ciało. Jeszcze widzę pole, na którym mnie wielki król Polanów pokonał u bram Krakowa, kiedym chciał panem całej Lechii zostać, jako godziło się mnie, potomkowi

¹⁾ Mały wyraz nieczytelny, naksztalt: *przed*.

nieśmiertelnych bogów. Może ci się dzisiaj szczęśliwie powiedzie. Lecz raz jeszcze pytam się ciebie, co poczniesz, jeśli odrzuci miłość twoją Łukonośna Wanda?

HARDYMIR.

Co pocznę, ojcze i panie mój? Ja? Pytasz mi się? Jeśli ona... Ojczy, ja nie wiem! Ojczy!

ŻELISŁAW.

Ale ja wiem. Natychmiast ruszysz do królowej na czele ludzi naszych, i jeśli tak łośy opatrzą, zginiesz za nią wraz z niemi wszystkimi, bo jej ojcu ja, ojciec twój, przysiągłem na wieczny hołd i stateczną wierność. Teraz podaj mi rękę i zaprowadź do świętego gaju. Tam zbiorę kapłanów i wyprawię ich do krakowskiego grodu.

(Ochodzi).

LUDGARD.

Hej! Bracia górale, czego kłęczycie? wstańcie, nie widzicież, że wódz wasz o zapoinach nie o bitwie duma. Zejdźcie na łąkę, połóżcie się przy ruczaju. Dobra woda, chłodny wietrzyk, owsiane placki macie jedzcie, pijcie od południa do wieczora, chyba w nocy zacnie się pochód wasz! Halele Lele! Słuchaj, młodszy mój, tymczasem ja także się wybiorę i pójdę dziewosłębić ci do jaskini smoka. Patrz! z ruty już wianeczek plotę, rośną kwiatów namaszcę włosy, zwabię dwa krogulce z wyżyn powietrza i na barkach mi siądą. Halele Lele! Gwiazd osiem uszczknę na niebie i zaniosę Wandzie i powiem: „Bierz, Hardyimir ci je przysyła! gwiazd osiem—czy słyszysz? Wtedy ona będzie twoją — raz, dwa, trzy, cztery... cha, cha, cha! nie prowadź ojca tak szparko — pięć, sześć, siedem — a gdzie ósma—Nie zdążę za wami — ósmej potrzeba. Dostać jeszcze jednej z błękitów? Halele Lele! Halele! Wtedy będziesz królem możnym, będziesz mężem Wandy! Wszak i ojciec mnie błogosławił, wszak i za mnie stał druhów do Krakowa. Alboż ja Wandy mężem? A kochałem ją, kochałem. Boże piorunu! Zniszcz te góry! Przekleństwo wam, wam, wam, wszystkim wam i jeszcze wam, a wam!

(Znika w dąbrowie).

Jaskinia smoka. Leszka mogiła i żyrowiec palący się na niej; z obu stron przed mogiłą kamienne katedry dla wojewodów, pośrodku ich siedzenie Wandy—po ścianach jaskini rozwieszono skóry, łuki, strzały, miecze—kilka wydrżeń na lewo i w prawo, za któremi widać ciągnące się przejście w skale wykute. Wanda, siedząca przed mogiłą — Starzec — Giermek, trzymający harfę. Straż zbrojnych.

(Na kawalku papieru odmiennego, zę znakiem wodnym Jez[ierna], rzucił Poeta pośpiesznie następujący plan dalszego ciągu części drugiej):

2-ga część. 1. Hardymir o wschodzie słońca w dąbrowie radzi się ojca Żelysława i kapłanów—kapłani objatę Bogom czynią—niczego się z lotu ptaka ni ofiar dowiedzieć nie mogą—Hardymir szle wróżbitów, dziewosłębów do Wandy.

2. Rytygier przebrany za starca przybywa do Jaskini Smoka, kędy Wanda wśród niewiast gotuje się do wojny—Mogiła Leszka w głębi i przy niej granitowe kute stolice, wojewodów radne siedzenia—Starzec mądrością i pieśniami ją zajmuje—o Rytygiera ona się pyta cudzoziemca—Wtem wchodzą wojewody—za niemi posły Hardymira z puhaem ślubnym.—Wanda ich wysłuchiwa—każe im się oddalić, wojewodom, by zdanie swe ogłosili—Sterdza, Barmin, Swiatopełk radzą, by wzięła Hardymira za męża, lękając się buntu jego w takiej chwili—Starzec przyzwany do rady jeden się sprzeciwia—Wanda ich odprawia—sama się zostaje. Jej niepewność—monolog—wtem wraca starzec—zdiera brodę, kołpak—to Rytygier—Ona uderza o tarcz młotem—wpadają wojewody—każe im zasiąść i radzić—Tymczasem, podczas ich sądu, Rytygier siada na przodzie jaskini i gra na harfie pieśń dumna bohatyrską Skandynawów—Wstają wojewody—wyrok ich: by go strącić do ciemnic—On dobywa miecza—Wanda mu grozi, że każe jaskinię płomieniem otoczyć—on się śmieje z groźby — Wtedy ona nagle wspomina, że godzina miru nie upłynęła i puszcza go wolno—Sama idzie do świątyni Wisły i na dziewicę Bogini się poświęca—powrót posłów do Hardymira z tem doniesieniem; on rozpacza, ale się nie buntuje, postanawia nie opuszczać królowej i z swojemi wyrusza na walkę.

Koniec 2-giej części.

TRZECIA CZĘŚĆ.

Chór starców od trzech dni już na wzgórzu, skąd widać bitwę—Żelisław ślepy pośrodku objatą zawiaduje—Zrazu ziola rzuca Bogom—potem, gdy się Polanom nieszczęście zaczyna, bić każe kozły i czerwone jałówki—podczas ofiar chór wciąż opowiada ślepemu bitwę—kiedy Polanie przed Niemcami zaczynają ku wieczorowi ustępować—niewolnika, rycerza niemieckiego, przyprowadzonego do wzgórza, Żelisław Bogom piekła i wojny zabijać każe. Pod noc Wanda i Hardymir znikają z pola bitwy—Niemcy i Hamder zwyciężyli.

— Dom Żelysława—siedzi Rytygier na jego stolicy, nad ogniem domowym i sądzi go—Osądziwszy, zstępuje z stolicy—Hamder na niej siada i jako król wyrok śmierci daje—Żelysława na śmierć prowadzą—Wpada Światopełk wojewoda, prosząc za synem—Hamder mu przebacza i daruje—zatrzymuje go przy sobie!

Koniec 3-ciej części.

Wychodztwo włościan z Królestwa na zarobki.

Kwestya wychodztwa włościan, podnoszona i roztrząsana wielokrotnie przez wszelkich odcieni organy prasy naszej, ciągle jeszcze stoi na porządku i długo nie przestanie być przedmiotem troskliwych dociekań i namiętnych sporów. Ma ona swoją literaturę, na którą złożyły się tak siły publicystyczne, jak i ludzie praktyki. Nie zbrakło nawet usiłowań i ze strony administracyi uchylenia rąbka tajemnicy tego żywiołowego ruchu mas włościaństwa bezrolnego. Zdawałoby się, że podjęta i roztrząsana z tak różnych stanowisk kwestya wychodztwa została dostatecznie wyswietlona i w zupełności straciła charakter zagadkowego zjawiska w społeczeństwie naszym; że nie tylko najskrytsze i najgłębsze jej tajniki przestały być tajnikami, ale że i środki zaradcze, jeżeli nie zastosowano ich jeszcze w życiu, to przynajmniej jasno wskazano je i żadnych wątpliwości pod tym względem, jaką drogą kroczyć należy, niema i być nie może. Niestety, w całej powodzi rozpraw i ulotnych artykułów dziennikarskich podnoszono i mniej lub więcej udatnie wyjaśniano to tę, to ową stronę tego zjawiska społecznego, lecz nigdzie nie spotkaliśmy się z traktatem, który-by wyswietlił je przynajmniej w zasadniczych rysach, jeśli nie w całej rozciągłości. Tem mniej może być mowa o wskazaniu środków zaradczych, które, z natury rzeczy, pod wpływem stronnicych zapatrywań lub interesu stanu czasem bywały ordynowane bezwzględnie, t.j. z pominięciem lub, co gorsza, z rozmyślnem zapoznaniem istotnych potrzeb ogółu.

Ta dysproporcya dobrych chęci publicystyki i osiągniętych rezultatów dziwić nie powinna, jeśli nie wszystkich, to przynajmniej ogółu, świadomego ogromu komplikacyi każdego objawu życia społecznego. Bez uprzednich badań można na ten temat wspaniale fantazyować, lecz dojść do wniosków pozytywnych niepodobna, chociażby w wielotomowych traktatach, gdyż bezpośrednio badanie objawów życia społecznego przechodzi zakres sił i możności jednostek, chociażby najbardziej uposażonych umysłowo i materyalnie. Nieodzownie

musi je poprzedzić skrzętne i świadome celu gromadzenie dat statystycznych, co może być udziałem jedynie tylko administracji lub odnośnych instytucji, przy zachowaniu niezbędnego warunku powołania do czynnego współdziałania w pracy kompetentnych sfer społeczeństwa. Zaznaczyliśmy już wprawdzie, że kwestya wychodźstwa włościan była przedmiotem badań rządu, lecz zastrzegamy się, że badania te żadną miarą nie mogą być uważane za coś więcej, nad p zedwstępne sondowanie gruntu. Brak im systematu, ciągłości, a nade wszystko zainteresowania w tej sprawie i pociągnięcia do współdziałania w pracy społeczeństwa. Powtarzamy, iż jedynie rząd lub szeroko rozgałęzione instytucje rozporządzają całym arsenalem środków, niezbędnych do gruntownego badania przejawów życia społecznego, ale nawet i te środki nie są i nie mogą być wszystkim. Nie zastąpią one nigdy ożywionego dobremi chęciami współdziałania społeczeństwa, którego wykluczenie mogło-by przyprowadzić do tak smutnych rezultatów, jakie osiągnęliśmy już w statystyce produkcji rolnej, która jest żywym i naocznym przykładem, czem właściwie statystyka być nie powinna.

Po zaznaczeniu trudności, związanych z rozpatrywaną przez nas kwestyą, zbytecznym zdaje się zastrzeżenie, że nie kusimy się o wszechstronne wyjaśnienie jej, a tem mniej o wskazanie środków zaradczych. Takie zadanie przechodzi nasze siły, a co więcej, nie rozporządzamy obecnie nawet dostatecznym materiałem statystycznym. Celem naszym jest zestawienie rezultatów dotychczasowych dociekań, o ile uznajemy je za racjonalne, z dodatkiem paru spostrzeżeń od siebie czysto przedmiotowej natury, jako wpływających z rozważania tylko dat statystycznych.

Przedewszystkiem uderzyć musi każdego, iż nikt dotychczas w tej powodzi rozpraw nie kusił się o wyświetlenie kwestyi naczelnej, jaką jest, zdaniem naszym, pytanie: Czemu warunkuje się wychodźstwo za granicę naszego włościanstwa? Przynajmniej, o ile wiemy, nikt pytania tego nie roztrząsał w świetle cyfr, chociaż cyfry te istnieją i to dość dokładne.

Emigracya, czy stała, czy też czasowa, warunkuje się przede wszystkim szybkim powiększeniem ludności, oraz brakiem dla nadmiaru sił roboczych odpowiedniego zatrudnienia. Warunki te istnieją przeważnie w społeczeństwach przemysłowych, których produkcya rolna nie wystarcza na własne potrzeby lub też w takich, które przy szybkim wzroście zaludnienia z tych lub innych przyczyn nie są w stanie równomiernie rozwinąć swej wytwórczości w przemyśle i rolnictwie.

Pomimo osławionego rozwoju przemysłu, jesteśmy dotychczas krajem wybitnie rolniczym. Społeczeństwo, w którym na każdą setkę ogólnego zaludnienia ludność miejska wynosi zaledwie 21.74 głów, żadną miarą nie może nosić miana przemysłowego. Ludność miejska w społeczeństwach zachodniej Europy, zbliżonych do nas pod względem gęstości ogólnego zaludnienia, procentowo stanowi: we Francyi 37.4, a w Niemczech 47%. To też my przy najslabszem ogólnem zaludnieniu (Królestwo 61.4, Francya 71.8, a Niemcy 96.5 głów na kilom. kw.), posiadamy gęściej rozsiadłą ludność wiejską, niż Francya i nie wiele różnimy się od Niemiec: Francya posiada na kilom. kw. ludności wiejskiej 45 głów, Królestwo 48 i Niemcy 51. Tak więc, ze względu na ogólną gęstość zaludnienia, zajmujemy w stosunku do Zachodu najpośledniejsze miejsce, pod względem zaś ludności wiejskiej stoimy prawie że na czele. Taki anormalny stosunek jest prostym skutkiem nadzwyczaj szybkiego pomnażania się ludności Królestwa przy niemożności pomieszczenia znacznej części ogólnego przyrostu w miastach, czyli w przemyśle.

Rozpatrując statystykę zaludnienia Niemiec, znajdujemy, że w okresie czasu od r. 1871 do 1890, przy ogólnym rocznym przyroście 1.07%, ludność miejska podniosła się z 14,790,789 do 23,243,229 głów, gdy wiejska nawet spadła z 26,219,352 do 26,185,241. We Francyi w r. 1846 procentowy stosunek ludności miejskiej do wiejskiej stanowił 24.42 i 75.58, w ciągu zaś 50 lat stosunek ten zmienił się znacznie i w r. 1896 wyraża się już cyframi 37.4 i 62.6. Tak we Francyi, jak i w Niemczech cały przyrost ludności znalazł nawet z pewnym nadmiarem pomieszczenie w miastach, pomimo, że w Niemczech ogólny przyrost ludności w okresie 1871 do 1890 r. pizeniósł 24%. U nas dzieje się wprost przeciwnie. Jesteśmy społeczeństwem o najszybszym współczynniku wzrostu—1.57% rocznie (Cesarstwo 1.27, Holandya 1.17, Wielka Brytania 1.10, Niemcy 1.07, Węgry 1.04, a reszta Europy poniżej 1%). Wskutek tak szybkiego wzrostu ludność Królestwa w ciągu 25-letniego okresu 1872 do 1897 roku pomnożyła się z 6,528,017 do 9,455,943, tak, że ogólny przyrost uczynił 2,927,926 głów. Jednocześnie ludność miast podniosła się z 1,057,936 do 2,055,895, dając absolutny przyrost 997,956. Tak więc niesłychanie szybki wzrost ogółu ludności sprawił, że pomimo jeszcze prędszego wzrostu ludności miejskiej, przeważna część ogólnego przyrostu, t. j. około 1,930,000 głów nie znalazła możności pomieszczenia się w miastach, jak to miało miejsce we Francyi i w Niemczech, lecz pozostała na roli.

Nie możemy się łudzić ani na chwilę, żeby nadmiar ludności wiejskiej w blizkiej przyszłości znalazł ujście dla swych sił wytwórczych

w przemyśle. Na pozór zdawało-by się, że twierdzenie nasze zatracą pesymizmem. Niestety, cyfry aż nadto dosadnie przekonają o prawdziwości słów naszych. Licząc na 1,930,000 ogólnego przyrostu ludności wiejskiej tylko trzecią część zdolnych do pracy, otrzymamy przeszło 600 tys. Wspomnijmy nawiasem, że stosunek, przyjęty przez nas, jest znacznie niższy, niż we wszystkich państwach europejskich. Otóż stoimy wobec zagadnienia, czy owe 600 tys., a nawet połowa tej cyfry, t. j. 300 tys., może liczyć na pracę w niedalekiej przyszłości w przemyśle. Daty statystyczne dają nam stanowczo przeczącą odpowiedź. Bezsprzecznie nasz przemysł fabryczny ostatnimi czasy olbrzymio wzrósł, gdyż liczba robotników, zatrudnionych w różnych gałęziach w r. 1871 stanowiąca 75,616, wzmagając się stale, doszła w r. 1897 aż do 243,733. Pomimo to, a nawet właśnie przytoczone przez nas cyfry przekonują o niemożności zatrudnienia w krótkim okresie czasu nadmiaru ludności wiejskiej. Zdwoić, a nawet potroić liczbę sił roboczych w początkowych stadyach rozwoju przemysłu stosunkowo bardzo łatwo. Inaczej się jednak dzieje, gdy mowa jest nie o początkowym stadyum, lecz o dalszym rozwoju. Tempo takiego rozwoju jest znacznie słabsze. Gdybyśmy stali wobec możliwości zdwojenia obecnej naszej produkcji przemysłowej w ciągu dajmy na to 10-letnia, to według wszelkiego prawdopodobieństwa musielibyśmy zapatrywać się na taką perspektywę jako na prawdziwe nieszczęście społeczne. Stanęlibyśmy wobec nadprodukcji ze wszelkimi jej skutkami, w postaci zastoju, a nawet krachu przemysłowego. Mamy niepłodną nadzieję, że nie ustaniemy w dalszym rozwoju ojczystego przemysłu, lecz, nie oddając się złudzeniom, wypowiadamy to przekonanie i silnie akcentujemy, że przemysł nasz w niedalekim czasie zapewni ujście tylko dla małej części nadmiaru ludności wiejskiej.

Kilkakrotnie przyrost ludności wiejskiej nazwaliśmy nadmiarem. Pragniemy usprawiedliwić się z tej nazwy, która, zdaje się, zgóry przesądza o położeniu sprawy. W tym celu poddajmy pobieżnemu przeglądowi warunki naszej produkcji rolnej.

Proste zestawienie wysokości produkcji zbożowej z 1 hektara krajów o intensywnej kulturze:

W. Brytania	31.1 hl.
Belgia	30.2 „
Holandya	28.5 „
Francya	18.1 „

przekonywa nas, że stoimy pod tym względem bez porównania niżej. Przeciętnych cyfr zbiorów naszych nie przytaczamy, gdyż te, mając swój początek w kancelaryach gminnych, nie zasługują na wiarę. Wszystkim jednak rolnikom naszym wiadomo jest aż nadto dobrze, że pod względem wysokości produkcji zbożowej stoimy daleko niżej

nawet od Francyi, której średnia produkcya odpowiada $7\frac{1}{2}$ korca z mor. (300 pretowego). Stoimy niżej bez porównania od sąsiednich i najbardziej pod względem klimatycznym zbliżonych do warunków naszych — Niemiec. Na pozór zdawało-by się więc, że przyrost ludności wiejskiej powinien, jeżeli nie w całości, to przynajmniej w znacznej mierze, znaleźć ujście w produkcji rolnej, która, stając się coraz bardziej intensywną, wymagać będzie stosownego zwiększenia rąk roboczych. Chodzi tylko o to, czy jesteśmy w stanie doprowadzić naszą produkcję chociażby do tego stopnia, na jakim znajduje się ona obecnie w Niemczech. Pomijając liczne, a niezmiernie ważne czynniki, wpływające na mniejszy lub większy stopień intensywności gospodarstwa wiejskiego, zastanówmy się nad jednym kardynalnym warunkiem, jakim jest bezsprzecznie gęstość zaludnienia. Zestawienie średniej produkcji zbożowej z 1 ha. z ilością ludności na klm. kwadratowy daje następujące daty:

	na klm. kw. głów	kl. z 1 ha hl.
W. Brytania	126	31.1
Belgia	220	30.2
Holandya	149	28.5
Francya	72	18.1

Z powyższego porównania łatwo wyprowadzić wniosek, że ceteris paribus intensywność produkcji jest w ścisłej zależności od gęstości zaludnienia i że nam brak przedewszystkiem tego niezbędnego czynnika. Przytoczone kraje wskutek gęstości zaludnienia są krajami importującymi zboże, my zaś nawet przy obecnej produkcji jesteśmy dotychczas krajem eksportu. Tylko czterech powiatów, a mianowicie: Warszawskiego, Łódzkiego, Częstochowskiego i Będzińskiego produkcya nie wystarcza na miejscowe potrzeby. Na całej pozostałej przestrzeni kraju obecnie cieszymy się większym lub mniejszym nadmiarem. Stoimy w pewnej sprzeczności z niedawno ogłoszonymi rezultatami badań statystyki kolejowej, według których mamy być już obecnie krajem importu zbożowego. Nie wdając się w szersze roztrząsanie kwestyi, zaznaczamy, że powyżej wzmiankowana praca, dokonana z iście benedyktyńską cierpliwością, nie obejmuje naszego wywozu Wisłą, oraz kołowego. Jeżeli uprzytomnimy sobie, że cały pas Królestwa pograniczny z Prusami pozbawiony jest kolei żel. i że do granicy naszej biegną liczne koleje pruskie, to wniosek stąd łatwy, do jakich rezultatów musiało doprowadzić pominięcie wywozu kołowego, zwłaszcza, że Suwalska, Płocka i Kaliska gubernie, według najskromniejszych obliczeń, posiadają nadprodukcję zbożową około

18 mil. pudów, t. j. więcej, niż cały nasz domniemany niedobór zbożowy. Wobec tego z całą stanowczością twierdzimy, że w obecnej dobie jesteśmy jeszcze krajem eksportu. Marzyć zaś o intensywnej kulturze z celem eksportu—niepodobieństwo. Koszty produkcji zboża wzrastają w miarę podniesienia kultury i opłacają się mniej lub więcej jedynie przy zapewnieniu bezpośrednich rynków zbytu. Pomimo udoskonalonych środków komunikacji, wywóz produktów rolnych w pierwotnej ich postaci dostępny jest tylko dla krajów o niskiej kulturze, wymagającej minimum nakładów. Nadto, jeśli weźmiemy pod uwagę silną konkurencyę na wszechświatowych rynkach zbytu, znacznie obniżającą ceny płodów rolnych, to o szybkim podniesieniu kultury u nas zwątpić należy, przynajmniej o takim podniesieniu, które-by zapewniło zajęcie dla poważnej większości ludu bezrolnego.

Z przyczyn naturalnych, t. j. głównie dla niekorzystnego stosunku ludności miejskiej do wiejskiej, czyli braku miejscowych rynków zbytu, kraj nasz nie posiada warunków intensywnej produkcji zbożowej, przynajmniej obecnie i w niedalekiej przyszłości. Prócz braku naturalnych warunków ekonomicznych występują nadto inne hamujące czynniki, że tak powiem, czynniki sztuczne, a między nimi niewątpliwie naczelné miejsce zajmuje konkurencya na główniejszych naszych rynkach krajowych, z produkcją rolną Wschodn. Wschód bije nas taniością produkcji, co jest nierozłącznie związane z pierwotną kulturą, a właściwie brakiem jej; ale ta konkurencya z powodu olbrzymich odległości drogą lądową od rynków zbytu, nie istniała-by wcale, lub, co najwyżej, sprowadziła-by się do skromnych rozmiarów, gdyby nie sztuczne podniety, które w postaci niesłychanie niskich taryf kolejowych, podtrzymują ją, a nawet wprost stwarzają.

Wskutek tego rynki nasze prawie zawsze przeładowane są zapasami, co stale utrzymuje ceny zboża i mlewa na poziomie zbyt niskim, zgoła nieustosunkowanym z kosztami produkcji krajowej. W tych warunkach ani marzyć możemy o szybkim podniesieniu kultury rolnej zbożowej, a zatem o znacznem zwiększeniu zapotrzebowania pracy ludzkiej w tym kierunku.

Rozważając warunki przedewszystkiem produkcji zbożowej, mieliśmy na względzie, że ona nietylko u nas, ale nawet i w krajach o najbardziej intensywnej kulturze rolnej, przestrzeniowo zajmuje naczelné miejsce. Wprawdzie stopień intensywności identycznym jest ze zwiększeniem produkcji roślin okopowych i sporym popytem na siły robocze, lecz dla naszych stosunków i pod tym względem stawiać pomyslnych horoskopów żadną miarą nie jesteśmy w stanie. Zwłaszcza dotyczy to pogranicznego pasu Królestwa, objętego wychodztwem, który przeważnie posiada ziemie lżejsze. Naturalną rośliną

okopową takich okolic jest kartofel, a najpoważniejszym konsumentem gorzelnictwo. Dość przytoczyć tylko parę cyfr, żeby nabrać przekonania, że ta ważna gałąź przemysłu rolnego w ciągu 25-letniego okresu nie tylko że nie rozwinęła się, lecz stała dążyć do coraz większego upadku:

	Ilość gorzelnii	Produkcya tys. rb.	Liczba robotników
roku 1871 . .	1027	11,810	5,127
„ 1880 . .	463	14,775	2,874
„ 1897 . .	340	3,161	2,048

Wprawdzie cukrownictwo, a zatem i uprawa buraków w tymże czasie rozwinęły się znacznie, lecz jest to przemysł właściwy glebie cięższej, a zatem nie może być uważany jako czynnik wyrównujący braki, powstałe z upadkiem gorzelnictwa.

Pomimo tak niekorzystnych warunków, których całokształtu nie mamy możności przedstawić na tem miejscu, nie należy zapoznać faktu, że rolnictwo nasze, acz powoli, pomnaża i ulepsza swoją produkcję prawie we wszystkich gałęziach. Jednak takie podniesienie kultury nie zawsze stwarza korzystniejsze warunki pracy i odpowiednie zwiększenie jej zapotrzebowania. Szczególniej ma to miejsce w produkcji zbożowej, w której zastosowanie ulepszonych narzędzi do uprawy roli, a zwłaszcza zamiana sierpa na kosę i tej ostatniej na żniwiarkę, żadną miarą nie prowadzi do zwiększenia popytu na pracę. Jeszcze gorsze skutki miała zamiana cepa na młóckę konną, a następnie parową, która, skracając znacznie sezon roboczy, w wielu wypadkach musi być uważana za czynnik fatalny, jako warunkujący wyludnienie wsi i deprecjację zboża, rzucając je odrazu w wielkim nadmiarze na rynki, zamiast stopniowego dopływu.

Wielokrotnie wskazywano, jako najskuteczniejszy środek zapobiegawczy przeciw wychodztwu, zapewnienie bezrolnemu ludowi wiejskiemu posiadania własnego zagona. Jest to myśl w zasadzie zdrowa, lecz wykonalna tylko w stosunkowo szczupłym zakresie, nigdy zaś nie może objąć w prędkim czasie całości ludu bezrolnego. Kardynalną przeszkodę stanowią przede wszystkim warunki materialne. Obecnie ludność bezrolna w Królestwie wynosi przeszło 1 mil., a licząc nawet 5 głów (według urzędowej statystyki 4.2) na rodzinę, otrzymamy 200 tys. rodzin. Stworzenie takiej ilości gospodarstw samodzielnych, z których każde wymaga nakładu co najmniej 1½ tysiąca rub., może być dokonane kosztem około 300 mil. rub. Trzecią przynajmniej część tego kapitału winni-by wnieść sami aspiranci do tytułu własności. Stanowiło-by to ni mniej ni więcej tylko 100

mil. rub. Przypuszczać posiadanie tak znacznego kapitału przez nasz proletaryat bezrolny niema żadnej podstawy, stwarzać zaś gospodarstwa o obdłużeniu, przenoszącem $\frac{2}{3}$ ich wartości, jest to stwarzać jednostki gospodarcze o zbyt chwiejnych podstawach, a właściwie pozbawione tych podstaw, i jako takie, nie licujące z zasadami ekonomiki, czyli pozbawione racji bytu. Pozwolimy sobie wskazać na praktykę banku włościańskiego, który przekonał się dosadnie, że kredyt, zbyt hojnie udzielany, ma wcale niepożądane skutki, jak np. opuszczanie w Płockiem przez nowonabywców zagród, powstałych z parcelacyi, lub też przymusowe sprzedaże, które miały miejsce w Lubelskiem.

Analizując w pobieżnym zarysie warunki rozwoju naszego przemysłu i rolnictwa, doszliśmy do wniosku, że nadmiar ludności wiejskiej, jaki u nas niewątpliwie istnieje, nie ma widoków zużytkowania swych sił ani obecnie, ani w najbliższej przyszłości tak w produkcji przemysłowej, jak i rolnej, czy to w postaci siły roboczej, czy też w charakterze drobnych właścicieli rolnych. W tych warunkach naturalnych powstała i rozwijała się nasza emigracja ludowa stała i czasowe wychodźtwa. Jest to ruch mas, partych przez konieczność ekonomiczną, a nie przez ciekawość zwiedzenia krajów obcych, jak chcą mieć niektórzy nasi ekonomiści. Zapewne, nie brak i takich odosobnionych wypadków, lecz żadną miarą nie należy ich uogólniać, biorąc pars pro toto. Żywiołowemu ruchowi ludu naszego, jak i każdemu ruchowi mas, nie można stawiać, ani nawet myśleć o stawianiu żadnych poważnych przeszkód. Naturalne potrzeby mas muszą w tej lub owej formie znaleźć swe zadośćuczynienie. Nie pomogą tu żadne, chociażby najsurowsze represalia. Wcale inaczej przedstawia się sprawa, gdy weźmiemy pod uwagę nie możność zniweczenia ruchu, lecz ujęcia go w pewne karby, celem zapewnienia maximum korzyści dla wychodźtwa pod względem materyalnym, przy jednoczesnem uwzględnieniu potrzeb moralnych, oraz ogólnych potrzeb ekonomicznych kraju. Tego rodzaju działalność jest nietylko możliwa, lecz z wielu względów pożądana, a nawet stanowi społeczną i państwową konieczność. Czy pod tym względem zrobiono coś u nas dotychczas? Niestety, prawie że nie. Administracja kraju, widząc się bezsilną wobec ruchu mas, usiłowała, chcąc zapobiedz pogwałceniu przepisów paszportowych, możliwie je uprościć. Ale i te, czysto kancelaryjnej natury zabiegi, nie miały pożądanego skutku, gdyż lud nawet bezpłatnego paszportu w większości wypadków brać nie chce i nie bierze. Ostatniemi dopiero czasy konsulaty rossyjskie w Królewcu i Wrocławiu zaczęły zwracać uwagę na ruch i położenie naszego wychodźtwa na obczyźnie. Jedynym owocnym zabiegiem dotychczasowym jest wy-

jednanie u rzeszy niemieckiej zwolnienia naszego robotnika rolnego od potrąceń z zarobków na rzecz instytucji państwowego ubezpieczenia od nieszczęśliwych wypadków, instytucji zbawiennej dla krajowców, lecz dla wychodźców będącej jedynie ciężarem. Co do prasy naszej, to ta, o ile mogła, o tyle powinności swej usiłowała zadość uczynić, dzwoniąc na alarm. Dla wyświelenia jednak gruntownego sprawy brakło przedewszystkiem danych statystycznych. Statystyka zawodowa (Berufsstatistik) u nas tak dobrze, jak nie istnieje, statystyka zaś produkcji rolnej jest wytworem dobrego humoru pisarzy gminnych. Co się tyczy społeczeństwa, to stoi ono sztucznie tak daleko od ludu, że ani mowy być nie mogło o współdziałanie w systematycznym badaniu kwestyi. Brak mu możności zbliżenia się do ludu i brak wszelkiej organizacyi ekonomiczno-państwowej. Powstałe w ostatniej dobie towarzystwa rolnicze są pierwszym krokiem na tem polu, ale i one, chociaż ożywione jak najlepszymi chęciami, nie będą w stanie podjąć i przeprowadzić skutecznie zbadania kwestyi społecznej, tak doniosłego i rozległego znaczenia. Przedewszystkiem na przeszkodzie stanie brak niezbędnego, a stosunkowo bardzo kosztownego, aparatu administracyjnego.

Nie dziwnego, że w takim stanie rzeczy stoimy wobec wychodźstwa naszego, jak przed obliczem sfinksa. Co najwyżej wiemy, jakimi szlakami ono chadza i dokąd dąży, lecz jeśli tylko potrącimy o kwestye ilości i warunków, wpadamy w prawdziwy labirynt zagadek. Prócz sporadycznych faktów nie wiemy nic, a i te czerpiemy ze źródeł różnorodnych, najczęściej mało wiarogodnych, a zawsze niedokładnych. Stąd to pochodzi, że gdy jedni wychodźstwo nasze do Niemiec określają zaledwie na kilkadziesiąt tysięcy, inni podnoszą cyfrę aż do 300 tys. Co do warunków materialnych, to gdy jedni w optymistycznym zaślepieniu chcą widzieć w wychodźtwie nie tylko konieczność ekonomiczną, lecz i prawdziwą dźwignię, inni, wręcz przeciwnie, z tych lub owych względów odmawiają wychodźtwu wszelkiej racyi bytu i potępiają je sumarycznie.

W całej powodzi najsprzeczniejszych opinii i zdań nie trudno zbląkać się, co też niejednokrotnie miało miejsce, pomimo ożywienia ogółu najlepszymi chęciami. Osobiście staraliśmy się zająć stanowisko o ile można najbardziej obiektywne. Roztrząsanie dat statystycznych w zestawieniu z całokształtem obecnych stosunków naszych, przedstawionych tu ledwie w pobieżnym zarysie, doprowadziło nas do wniosku, że wychodźstwo nasze jest niezbędnym wynikiem warunków ekonomiczno-społecznych, w których obecnie znajduje się kraj nasz.

W kwestyi wychodźstwa naszego, jako ustalony fakt, uważać należy :

1) że zasobniejsza jego część w większości wypadków przekłada stałą emigrację do zamorskich krain celem wytworzenia sobie bytu niezależnego;

2) że przeważna część wychodźstwa, mniej zasobna w środki materialne, obrała sobie czasową emigrację do Niemiec, wracając do kraju po ukończeniu rocznego sezonu roboczego.

Emigracja właściwa, czyli na stałe, prawie zawsze zatracą w zupełności ekonomiczny łącznik z krajem i dlatego pozostawiamy ją na uboczu, traktując wychodźstwo przeważnie z punktu widzenia ekonomicznego.

Czasowe wychodźstwo ludu wiejskiego na zarobki szeroką ławą skierowało się do Niemiec, gdyż tam znalazło najlepszy rynek dla swej pracy. Powiedzieliśmy już, że na wychodźstwo czasowe składa się najmniej zasobna część ludności roboczej. W tych warunkach musiała ona obrać najbliższy rynek dla swej pracy, a takim niezaprzeczenie są Niemcy. Prócz podniety, wypływającej z bezpośredniego sąsiedztwa, Niemcy, jako kraj o intensywnym systemie rolnictwa, t. j. z uprawą okopowych na szeroką skalę, mają i tę wyższość nad innymi krajami, że potrzebują pracy na możliwie długi sezon roboczy. Dlatego-to projekty skierowania naszego wychodźstwa do cesarstwa są pozbawione racji bytu, gdyż nawet znaczna wysokość płacy nie byłaby w stanie wyrównać takich czynników, jak surowość klimatu i pierwotność kultury, które skracają sezon roboczy do minimum. Stąd-to podjęte w r. 1899 próby skierowania emigracji z Płockiego do gubernij Nadbałtyckich, zrobiły najzupełniejsze fiasco, wywoławszy wśród zainteresowanych tylko narzekania i rozgoryczenie.

W ulotnym szkicu naszym usiłowaliśmy wykazać żelazną konieczność wychodźstwa naszego ludu wiejskiego na zarobki poza granicę kraju i racjonalność obranego przez lud kierunku; pytania zaś, w jakiej mierze możemy zapobiedz wychodźstwu, jakie środki ku temu należało-by przedsiębrać, czy i co da się zrobić celem polepszenia warunków wychodźstwa, pozostawiliśmy nietkniętymi umyślnie. Są to wszystko kwestye, których rozwiązanie warunkuje się przedewszystkiem dokładną znajomością wszelkich najdrobniejszych na pozór przejawów wychodźstwa, kilkakrotnie zaś mieliśmy sposobność zaznaczyć, że, pomimo olbrzymiej doniosłości roztrząsanej przez nas kwestyi i jak najlepszych chęci społeczeństwa, stąpamy po omacku dla braku materiału faktycznego, nagromadzonego nie dorywczo, lecz na mocy poważnych badań, przeprowadzonych według z góry wytkniętego planu. Tylko tą drogą zdobyte daty będą posiadać dostateczną wagę i posłużą za wątek, z którego wychodząc, śmiało wysnuwać można wnioski, niepozbawione podstaw o zarysie odpowiednim wielkiej do-

niosłości rozpatrywanej kwestyi. Na dziś zaś, nie chcąc narazić się na słuszny zarzut lekkomyślnego traktowania zagadnień społecznych, poprzestajemy na zaznaczeniu tak olbrzymiej doniosłości wychodźstwa dla społeczeństwa naszego, jak i niesłuchanie pilnej potrzeby pracy nad zbadaniem jego we wszelkich przejawach z odpowiednią dozą skrupulatności i obiektywizmu.

Powtarzamy jeszcze raz, że ani usiłowania jednostkowe, ani zbiorowe towarzystw rolniczych, ani nawet administracyi kraju, nie podolają temu zadaniu, które znajdzie swe rozwiązanie tylko przy czynnem współdziałaniu odnośnych sfer społecznych, związanych w sposób legalny w odpowiednią organizację ekonomiczno - państwową. Nie naszym zadaniem jest wskazywać, jaką ma być ta organizacja, zaznaczamy tylko jej nieodzowną konieczność.

W tych warunkach podjęte i przeprowadzone badania dadzą obfity materiał statystyczny, i posłużą za punkt wyjścia dla akcji, celem ujęcia w pewne karby wychodźstwa na razie i wytworzenia w następstwie takich stosunków społeczno - ekonomicznych, które-by zapewniły korzystny rynek dla sił roboczych w kraju, unicestwiając stopniowo konieczność wędrówki na obczyznę nie przez system zakazów, lecz siłą i nieubłaganą logiką należytego ustosunkowania popytu na pracę i jej podaży.

Pod wieloma względami i badanie wychodźstwa, i akcyja mogą być podjęte równocześnie, przedewszystkiem zaś, gdy mowa jest o środkach ochronnych wychodźstwa, do jakich należą:

1) Ustanowienie legalnych biur pośrednicząco-informacyjnych, celem usunięcia szkodliwego pośrednictwa tajnego.

2) Wykluczenie zupełne wychodźstwa podrastającej młodzieży, dla której w większości wypadków wychodźstwo jest identycznym ze zdżyczeniem moralnem.

3) Rozciągnięcie poza granicami kraju legalnej opieki państwa nad wychodźstwem, celem ukrócenia często praktykowanego wyzysku.

Do środków zapobiegawczych liczymy przed innemi:

1) Uregulowanie agrarnych stosunków w kraju przez stopniowe usunięcie służebności na gruntach dworskich i kommasacyę gruntów.

2) Przystosowanie prawa spadkowego do stosunków zwyczajowo praktykowanych przez włościan.

3) Wytworzenie dla własności mniejszej kredytu długo i krótkoterminowego.

4) Obowiązkowe ubezpieczenie ruchomości od ognia, oraz inwentarza od upadku i ziemiopłodów od gradobicia na zasadach wzajemności.

5) Wytworzenie i popieranie przemysłu domowego w ścisłym zastosowaniu do warunków miejscowych.

6) Szerokie rozpowszechnienie wśród mas włościańskich wiadomości z zakresu gospodarstwa wiejskiego, zakładanie gospodarstw pokazowych, oraz stacyi inwentarza rozplodowego.

Nakoniec do pośrednich środków, a jednak największej wagi, należą:

1) Uregulowanie taryf kolejowych wywozowych i wewnętrznych, celem utrzymania cen zboża na poziomie, odpowiadającym stosunkom krajowym.

2) Usilne popieranie rozwoju przemysłu rolnego we wszystkich jego gałęziach.

3) Poprawa środków komunikacji lądowych i wodnych.

4) Wytworzenie kredytu melioracyjnego dla własności większej.

5) Popieranie przemysłu w kraju celem wytworzenia licznych rynków wewnętrznych zbytu dla płodów rolnych, oraz ognisk ujęcia dla nadmiaru sił roboczych wiejskich.

W najogólniejszym zarysie zakreślony przez nas program przechodzi siły i środki inicjatywy prywatnej, nawet zbiorowej. Nie też dziwnego. Kwestya wychodźstwa należy niezaprzeczenie do tych, którym imię — milion, tak ze względu na ilość, jak i doniosłość. W rozwiązaniu zaś tego rodzaju zagadnień społecznych inicjatywa prywatna, chociażby zbiorowa, wtedy tylko może mieć doniosłe znaczenie, gdy usiłowania jej znajdą podporę i czynne współdziałanie sfer rządowych, które w wielu razach powołane są nawet do inicjatywy w kwestiach społeczno - ekonomicznych. Zasada pozostawiania takich spraw swemu własnemu losowi i jedynie tylko inicjatywie prywatnej przebrzmiała i należy już do historii. Współdziałanie społeczeństwa i państwa w obecnej dobie pozyskało prawo obywatelstwa we wszystkich społeczeństwach cywilizowanych, kroczących szlakami zdrowego rozwoju ekonomicznego.

S. KRZECZKOWSKI.

Sprawa Dołęgi.¹⁾

XXXVIII.

Kilka dni przedtem Adam Szafraniec wyjeżdżał rozpromieniony z Waru; Halszka pożegnała go uprzejmie, a rodzice gorąco i z nietajoną radością. Czuł, że, oświadczając się, miał pomysł genialny, chociaż pomysł to był cudzy: Zbarazkich w porozumieniu ze Zbązkim. Halszka była pierwszą w kraju panną na wydaniu, a on miał siebie za pierwszego kawalera; związek ten był naturalny, prawie konieczny, a przytem tak ponętny i już upragniony, że Szafraniec dziwił się sobie, dlaczego wcześniej nie przyszło mu to do głowy. Ale właśnie była sama pora: Halszka skończyła lat dwadzieścia, on był o dwanaście lat starszy; ich dawna znajomość, pokrewieństwo, równość urodzenia i wychowania, wszystko pozwalało wróżyć o niezamąconem szczęściu w przyszłości. Hrabia Adam był zatem zupełnie zadowolony z losu, w zupełnej zgodzie z samym sobą, gdy opuszczał War i narzeczoną. Nie można było tego samego powiedzieć o księżniczce.

Halszka znalazła się nagle wobec szeregu ważnych zagadnień życiowych, wymagających osobistej odpowiedzi; bujne, rozbawione, dziecko, mając się przedzierzgnąć w kobietę, musiało odgadnąć i wybrać drogę swego przyszłego życia. Rady starszych nie były dla niej bezwzględny drogowskazem; nie posłuchała nawet rodziców, gdy przemawiali za Reckheimem, owszem sprzeciwiła się im stanowczo i ta odmowa oziębila na pewien czas stosunki jej z matką, niezbyt szczerze wogóle. Przy tej sposobności usłyszała wiele zimnych nauk, które, choć opornie, wsączyły się w jej młode serce. Dowiedziała się, że zapędy sercowe są cechą dzieciństwa i niedojrzałości,

¹⁾ Patrz zeszyt styczniowy, str. 68; — lutowy, str. 273; — marcowy, str. 445; — kwietniowy, str. 60; — majowy, str. 232; — czerwcowy, str. 418.

że pewne pozycje towarzyskie wymagają poświęceń uczuć, które to poświęcenia oplacają się sownie w późniejszym wieku; zastanowiło ją zdanie, że małżeństwo jest ostatecznie połączeniem dwóch interesów, kontraktem. A ona marzyła o połączeniu pragnień, o szerokim, nieznanem szczęściu.

Te rozmyślenia wypadły na czas zupełnej samotności. Ciotka Temira zasląbla, następnie, powróciwszy do zdrowia, wyjechała; zabrakło więc Halszce zwykłego komentarla do myśli i uczuć, których mnóstwo w niej wrzało. A Jan Dołęga, ten towarzyszy lepszych czasów, wyższych pragnień, nietylko był nieobecny, ale pogrążył się dla Halszki w zacięione głębie przeszłości. Jego postać, jego słowa zachowała głęboko w pamięci, ale nastrój z przed kilku miesięcy zwierzał, jak wrażenie czytanej niegdys powieści. Nowa filozofia zagłuszyła dawną poezję. Adam Szafraniec stał się nauczycielem tej zimnej i łatwej teorii samolubnej, która uchodzi u ludzi pospolitych za mądrość życiową. Znajomy Halszki od dzieciństwa, sprzymierzony z jej rodzicami, okazały zewnętrznie, przyzwoity pod każdym względem, niezły zresztą człowiek,—zdołał nakłonić ku sobie serce dziewczęcia, choć go nie pozyskał na własność. Dążył pewnym krokiem do celu i wydał się Halszce uosobieniem jej losu.

Ale natychmiast po wyjeździe narzeczonego księżniczka poczuła rzewną, palącą tęsknotę, niby chęć wypoczynku na wsi, nad rzeczką, po długiej podróży przez bogate miasta i banalne hotele. Ścisnęło się jej serce i poczęła myśleć o Janie.

Nie chciała jednak zerwać z Adamem: ten mąż był jej widocznie przeznaczony. Wobec Dołęgi zobowiązała się tak niewyraźnie, że nie potrzeba było nawet cofać się, ani żądać zwolnienia od przyrzeczeń. Czy nawet on o niej pamięta?... Na to nie miała dowodów, ale czuła, że tak jest. Szczerze pragnęła nie sprawiać bólu Janowi, a zarazem doszła do przekonania, że małżeństwo z Adamem jest poniekąd jej obowiązkiem. Rozstrzygnięcie tego dramatycznego zawikłania było nad siły dziewczęcia; dwoistość pragnień wyraziła się tylko w liście, który Halszka zaraz po wyjeździe narzeczonego zaczęła pisać do Jana. Niech przynajmniej dowie się o wszystkim od niej samej i osądzi stan jej duszy.

Obmyśliła prędko, jak list wysłać tajemnie, znalazła dobre pozory, aby się osamotnić, lecz gdy zasiadła już do pisania, przyszły jej pod pióro proste, zwyczajne słowa miłosne:

„Drogi mój Janie! Nie sądz mnie bardzo źle, gdy się dowiesz, że jestem zaręczona z kuzynem moim, Adamem Szafranem. Mój drogi! zrozumiej, że nie ja go sobie wybrałam, ale wszyscy razem, i wuj Karol, i rodzice doradzili mi go, a ja się zgodziłam nareszcie, bo my-

słę, że nie znajduje się szczęścia takiego, jakiego się chce, tylko bierze się to, które jest komu przeznaczone“.

Gdy napisała ten początek listu, wieczorem, zadumała się i odłożyła pisanie do jutra. Nazajutrz jednak te słowa wydały jej się niestosowne. Podarła arkusz i postanowiła zrezygnować, a mniej wyraźnie napisać do Jana; chciała, aby treść jej serca pozostała niezmienną, ale szukała innej formy i argumentacji. Z wczorajszego stylu pozostała tylko odezwa: „drogi mój Janie“—ale i tę, po namyśle, przekreśliła. Brała w niej górę rozważa, stawała przed oczyma wizya życia, niejasna, jednak trudna i twarda—z Janem, łatwa i odpowiednia do jej nawyknień—z Adamem. Stanowcze namowy rodziców i fakt już dokonany zaręczyn przechyliły chwiejną szalę.

— Tak już być musi—myślała—teraz tylko przed Nim się wyłómaczyć, bom mu to winna. On zrozumie.

Jej nabyty, świeży rozum szamotał się z gorącymi instynktami serca i wynikiem tego szamotania był list prosty i kręty, czuły i okrutny, który Dołęga odebrał w parę dni potem w Warszawie.

Wysłanie listu nie uspokoiło bynajmniej Halszki, owszem zwiększyło jej wewnętrzną rozterkę.

— Jeżeli on mnie kocha naprawdę... może lepiej, aby się dowiedział od innych o moich zaręczynach i pomyślał, że nie warta jego miłości... Jeżeli zaś zapomniał o mnie, poco mu tyle rzeczy mówić z mojej duszy?... On nie zapomniał.

Liczyła, kiedy list dojdzie -- i obliczyła trafnie dzień ciosu. W Warze był to dzień pochmurny, martwy, przeddeszczowy. Czerwieniejące liście dębów rozrzuceły rdzawe plamy po parku, powietrze nasiąkało smutną wonią jesieni, ładne kwiaty lata przekwitły, ptaki zaczynały już niepokoić się gromadnie i marzyć pod mętne niebem o niebach piękniejszych. Halszka dosiadła po południu swego czarnego konia i długo, wolno, bez zwykłej fantazyi jeździła po polach wyblakłych, gdzie pajęczyna snuła się na zdeptanych rżyskach, po łąkach mniej żywych, zastawionych stogami; zajechała też na groble, usypane niedawno pod kierunkiem Jana, i zdziwiła się, że już są stare, pokryte zielenią, jak długie mogiły. Pierwszy raz posłyszała żaloszny szmer uciekającej fali życia i ogarnął ją niepokój na myśl, że najpiękniejsze dni już są może poza nią.

Wróciwszy do domu, poszła jeszcze w amazonce do parku i do alei, w której zamieniła z Janem ostatnie, najgorętsze słowa. Zmierzch przychodził ukradkiem, zimny i bez wdzięku, po dniu bezsłonecznym; pod wielkimi drzewami blado było i coraz ciemniej. Aż wydało się Halszce, że, mimo zmroku, cień jej postępuje obok niej i miga po zwartych drzewach przy jej drodze. Zatrzymała się i cień zatrzymał

się w gęstwinie, o kilkanaście kroków. Choć ją przeszło mrowie, odwróciła się twarzą do przywidzenia i ująwszy mocno szpicrutę, odezwała się:

— Kto tam?

Nikt nie odpowiedział, bo nikogo nie było w tej części parku.

Halszka poszła miarowym krokiem ku domowi, chcąc dowieść samej sobie, że się nie boi.

Tego samego dnia i godziny, w Warszawie, Jan Dołęga, po przeczytaniu listu, poczuł śmiertelne znużenie — i zasnął.

XXXIX.

Ciężary jakieś, niezliczone, zawarte w tysiącach zwojów, foliów, worków, waliły się do pokoju Dołęgi, przeciągały nad jego łóżem, gniotąc mu pierś i gardło. On je musiał liczyć i spychać. Liczył je i spychał z piersi coraz prędzej, prędzej, ale im więcej zepchnął, tem więcej ich nadciągało. Rzucił się w tył, chcąc podnieść się na poduszkach, aż uderzał głową o drzewo łóżka. Ciężary waliły się ciągle niby z cichym zgrzytem, niby rozpalone, bo Janowi zęby cierpkły i suche usta szalenie pragnęły ochłody.

Poprosił o wodę.

Do pokoju wszedł ktoś i dał mu pić.

Ala nie był to służący. Jan, szeroko otwierając oczy, wpatrywał się w tę postać męską o jasnych włosach, która, nosząc na twarzy wielką boleść i troskę blizkiego, krewnego człowieka, stała przy jego łóżu...

Chwilę tylko miał przestachu, zaraz potem poczuł, że ten człowiek stojący nad nim przenika wszystkie jego myśli, a nawzajem on sam czyta wyraźnie w duszy tamtego. Znał tę twarz, jak swoją, znał to czoło, zfałdowane w podkowę, te głębokie oczy, te ruchy... nikogo w życiu tak podobnego do siebie nie spotkał.

— Rozumiem — rzekł — Ty jesteś mną, a ja Tobą.

I choć tamten nie rzekł ani słowa, Jan poczuł, że mu trzeba wstać, mimo niemocy, i pójść, gdzie On go woła, gdyż rozpoczynają się rzeczy ważne.

Gdy dotknął Jego ręki, prąd jakoby wielkiej ochoty przebiegł przez znękaną ciało i stał się Jan ogromnie silnym, gotowym do robot nadludzkich. Jednym pchnięciem prawicy odwalił gniotące go ciężary i, oddychając wolną piersią, szedł za przewodnikiem, który go prowadził przez sale, schody, coraz węższe, coraz bardziej strome, ciągle w górę, w górę...

Wy dostali się na galeryę, krążącą około baszty. Swieciło pyszne słońce.

Aa! to War, to baszta wschodnia! Jak niezmiernie wyniosła, jak wspaniale króluje nad szerokim, szerokim krajem!

Co się tu dzieje? co za święto? Tłum zalega podzamecze, tłum na podwórzach, w oknach, na galeryach, na dachach. Dawne, barwne szaty, bogate i ubogie, karmazynowe i szare. Oto w wielkim oknie przy bramie pełno niewiast, dygnitarskich widać żon i córek: panna Temira Ostykówna w swym stroju zakonnym, jak Anna Jagiellonka. Może to sama królowa Anna? Nie—bo przy niej Halszka ze splecioną kosą, we wzorzystych aksamitach!... To dawna, dobra Halszka...

Czekamy, czekamy! — wracają nasi z zabijackiego tańca i Bóg im poszczęścił. Już się było tatarstwo rozsiadło w ziemiach kresowych i owładnęło słabszemi zameczkami, głęboko w kraj puszczając zagony, mordując męża, niewiasty i dzieci, gdy książę Janusz, spadłszy jak błysk miecza na główną potęgę połańców, zniósł ją i wyparł z granic, zameczków dobył, a nabrawszy jeńca i łupu zacnego co niemiarą, wraca dzisiaj triumphans ad propria. Cześć Zbarazkim!

Moździerz zaryczał z pod bramy i okrzyk spadł od dachów na galeryę, dziedzińce, mosty, równiny—coraz szerszy.

Od lasu, gdzie droga wspina się na pagórek, wypływa pierwsza na wysokiem drzewcu czerwona chorągiew z białym krzyżem, wiedeńska chorągiew... wznosi się, wznosi, aż pod nią zabłyszczała i zakwitła konnica...

— Ojczel jacy oni piękni od tej zasłużonej dumy!—mówił Jan—dlaczego ja z nimi nie byłem?

Ale przewodnik położył rękę na piersi, na znak, że On tam był z nimi — a Jan zrozumiał i duma rycerzy napęłniła pierś jego synowską.

Na czele orszaku książę Janusz, w półpancerzu i delii, na bułanym koniu. Otaczają go same znajome twarze, ale jak poważne w tych rycerskich strojach, na których opończą najkosztowniejszą spoczywa kurz bojowy. To nie maskary karnawałowe—metal, co tu błyszczy, jest w walecznym ogniu hartowany, a w czerwieni barw więcej krwi, niż karmazynu.

Vivat nasz książę! Niech żyją Zbarazcy! Cześć, miłość nasza panom i ojcom naszym!

I Jan krzyczy wraz z innymi, a nie jest to krzyk nieporządny tłumu, nie są to łzy nerwowe niewiast, jeno taki odwet wdzięczny, jak rosa i zapach, które oddaje ziemia dobroczynnym promieniom słońca.

Dudnią już mosty, biją setne salwy i lud przypada do strzemion bohaterów.

Teraz im grajcie! Grajcie ze wszystkich trąb! niech im rodzinna pobudka popłynie nad głowami radośnie i dumnie, z błogosławieństwem ludu, z błogosławieństwem Mocy Niebieskich, z uśmiechem opiekuńczym Najświętszej Panny...

Gdzież trębacze?! Ha są! Nareszcie....

Marsz moje serce!
 W pobudkę biją —
 Strzelaj mordercę,
 A chwal Maryją;
 Boś u Maryi
 Towarzystwem w regimencie ..

Właśnie oni: chorągiew pancerna! Hej, ptaki, pogubiliście trochę piór ze skrzydeł, poszczerbiła wam czern hultajska szeregi... Ale jeszcze, jeszcze was dosyć, jeszcze z was piękne przedmurze Christianitatis. No, pójdźcie tu, niech raz przecie pierś moją o wasz pancerz ogrzeję...

A gdzie on? gdzie rotmistrz?... Jest, jest na swoim miejscu, przy prawem skrzydle, ze złocistym napierśnikiem, z prawą ręką obnażoną po łokieć... A co? dobrze ci z buzdycanem w ręce? O, tak mi zawsze wyglądaj... Co to masz na czole?... przewiązane? Andrzej!... Ja tu... Niech ci Bóg da zdrowie... Czyś ty ranny?... Andrzej!...

.

Wstrząśnienie—ciemność—znikło wszystko.

Dołęga poznał lekarza, przyjaciela.

— Proszę cię, nie krzycz, nie rzucaj się... wypij to zaraz — mówił lekarz.

— Gdzie oni? gdzie się zapadli?

— Niema tu ich, ani żadnego Andrzeja. Panuj nad sobą, jesteś poważnie chory.

— Chory?

— Tak, masz tyfus.

— Tyfus?... Niech ja tylko wrócę do Niego...

— Postaraj się myśleć porządnie. Patrz, jestem tu ja, jest Józef, jest pan Helle.

— Ja was wszystkich zabiorę tam...

Wskazał słabo ręką w górę; opadła na posłanie: Dołęga zaś po-
grzążył się znowu w sen głęboki.

*

*

*

— Ojczy, patrz, co oni zdziałali krajowi swemu na pożytek—
a ja nic? nic? — Czy nic nie mogę dla tego kraju? Jeżeli umrę, jak
tam mówili na dole, nie pozostanie-ż nic po mnie? Ojczy, co mam
czynić?

Odpowiedź poczuł niby tchnienie siły w piersi:

— Kochaj, a kochając czyni, co umiesz.

Z bardzo wysokiego stanowiska, na którym odnalazł przewodni-
ka, Jan rozglądał się szeroko na cztery strony świata. Był w Wa-
rze, czuł około siebie Zbarazkich i ich krewnych i wielu innych ludzi
możnych, z sobą sprzymierzonych. Ale okolica zamku rosła do nie-
skończoności.

Trakt Warski był tylko drobną podwójną linią, lasy Waru two-
rzyły ciemną plamkę na tym ogromnym kraju, który rozciągał się
w porannem słońcu wszędzie, gdzie okiem sięgnąć. Błękitniały na
nim rzeki kapryśnymi skrętami: większe, jak arterye, z cieńszymi do-
pływami, niby żyłkami pomocniczymi. Ciemno barwiły się lasy, zie-
leniały łąki błotniste i suche, odznaczając się barwą jaśniejszą. Sza-
rzały długie wsie, a nad miastami wznosiły się ratuszowe i kościelne
wieżycy. Na bładem tle pół—drogi kręte, kapryśne, jak rzeki;
przy nich na rozstajach, przy mostkach—krzyże. A tam daleko na
samym widnokręgu, smuga stalowego światła—to morze. Tkwią na
niem pochylone trójmasztowe okręty, jak na starych mapach.

— Jestem bardzo wysoko, dlatego to tak wygląda. Jak wybor-
nie widzę, jak obejmuję całe pole mojej pracy. Co za rozkosz czuć
w sobie dobrą moc, a naokoło siebie to powietrze czyste, lekkie,
przychylne memu działaniu.

Skinienie przewodnika dało mu znać, że pora zacząć.

— Pora! — zbudzili się ludzie około mnie i dążą do pracy w or-
dynku niby wojskowym.

Oto Zbarazcy prowadzą swoje zastępy w białych, brązowych
i siwych sukmanach; oto Helle prowadzi inne szeregi, w skórzanych
fartuchach, ze strzyżonymi wąsami, o twarzach okopconych dymem
warsztatów. Obok Hellego kto idzie, ze staroświecka przybrany,

z folialem w rękę? Oczywiście—to Jan Dekiert, jego powinowaty, poprzednik i doradca.

Naprzód, dobrzy ludzie! Wszystko przygotowane: na tej wielkiej roztoczonej przed wami karcie nowe drogi już wytknąłem. Patrzcie, jak zbiegają się do miast, jak zbliżają oddalenia, prostują kierunki. Te kanały, gdy osuszą błota, ile nowej bogatej ziemi! No, poczynajcie z Bogiem! Ja tu z przewodnikiem kieruję waszą robotą, mam plany, mam przedziwne narzędzia do porozumiewania się z wami, gdy się oddalicie na dziesiątki mil, idąc za waszą dzielną łopatą, za mocnym młotem. Wy sami wiecie zresztą co robić—spójrzycie tylko w serce wasze. Tak, zgodnie, ławą, naprzód!..

Ojcie! jacy my liczni, silni! Patrz, jak te drogi rosną za rzeszą robotników, jakby je siła wewnętrzna ziemi wyrzucała na wierzch i pchała w przeznaczonych kierunkach... jakby olbrzymie krety rozbiegły się po kraju... jakby rozumny piorun uderzył w serce krainy i potrzaskał ją w sieć dróg potrzebnych.

Te będą dla wozów prostych, na tamte już rzucają szyny.

Ho, ho! nie próżnują warsztaty pana Hellego! W czarnych paszczach, w łunie czerwonej sapie potężnie robocza para, jeżą się srodze wąsy robotników, radośnym rytmem grzmią młoty.

Praca wspólna, rozumna—i wszyscy przy niej.

Długo zdawało się Janowi, że jest środkiem i sercem ogromnie rozpędzonej, lecz ujętej w matematyczny system maszyny roboczej. Słyszał ostry zgrzyt szuflowanych żwirów, czuł gorący oddech pary i widział krzyżowanie się nieskończonych pasów, śmigających na wielkiej ilości kół rozpędowych, pośród kół zębatach, osi, tłoków... Poruszała to wszystko siła nowa, jego siła.

Poczuł nareszcie, że przychodzi kres dnia. Poczuł drżenie rąk własnych i rąk tych wszystkich, którzy czynni byli około niego, i chwianie się roboty i rozpaczliwe kołatanie wysiłonych transmisji.

— Pokój nam, odpoczynek! Już siła moja mdleje razem z siłami waszemi... Oto wieńce krwawego potu otaczają nam skronie — nasze ciche wieńce.... Niech nam noc da zdrowie i odżywi jutrzejszą siłę. Dobrej, spokojnej nocy...

Ciemności, ciemności, ciemności.

*

*

*

Zamiast odpoczynku noc stała się męczarnią. Ciężary nadciągnęły znowu nad łożo chorego: Spychał je znowu i rachował coraz trudniej, coraz rozpaczliwiej. Aż zawrzał gniewem na te zmary potwor-

ne, bezmyślne, przygniatające go bez celu, a nieuniknione takie i prze-
liczne, jak suche, gorące fale.

— Precz, precz ode mnie! Mnie tam wołają, na mnie czeka
Ojciec...

Ale ciężkie zmory zgrzytnęły, przewalając się, a te, które były
jeszcze nie weszły, wybuchły dalekim, szyderczym śmiechem, niby
błuzniąca tłuszczą:

— Ojciec... ojciec... gdzie ojciec?..

Jan zerwał się na łożku, zaciskając pięście, ale opadł bezsilnie.

— Prawda—chory jestem, szalony... To cień jego, nie on sam...
Czy na ciężki tyfus umarłeś, ojcie?

Zaświeciła mu jakaś niepewna trzeźwość; zakołowały w głowie
prawdziwe wspomnienia ostatnich dni i wspomnienia zamierzchłe,
może tylko odbicia snów dawnych. Zdawał sobie sprawę, że wszystko,
co kochał, czego pragnął, runęło w przepaść, w przeszłość nieodzow-
ną. Czuł, że sprzymierzeńcy oddalili się od niego i urągają jego śmia-
łym zamiarom. Zbarazcy, Zbązki, Szafraniec z Halszką są gdzie da-
leko, gotują się do jakichś zabaw, przyjęć, nie myślą nawet o nim,
który skazany jest tutaj na roboty podziemne w kanałach warszaw-
skich, gdzie tyfus czyha z zadusznych ciemnic.

Twórcza moc snu przeniosła go zaraz w te zohydzone kanały.
Szedł przez nie sam, przejęty dreszczem od zimnego potu ziemi, i błę-
dził po korytarzach zacieśniających się, strasznych... Jeżeli stąd nie
wyjdzie, w grób się żywcem położy.

— Boże, wybaw mnie! Boże! nie dokończyłem prac moich na
ziemi...

Przez górne lunety zamajaczyło światło dzienne i Jan wy dostał
się na smutne, wielkie pola. Jak zimno!

Dzień, krewny nocy, pod niskim, czarnem niebem. Pola, zdaje
się te same? Ale robotnicy czyfodbiegli prac rozpoczętych?.. Pusto.
Na stokach przekopów leży kilku ludzi uspiionych dziwnie: twarze
ich sine, ręce stęzale w rozpaczy... Tyfus.—Tam, tam przechodzą cie-
nie tragarzy, wynoszących trupy... Tak, nędza na wszystkich: tyfus!

Na zamku jest lepiej: są lekarze, urządzono środki bezpieczeń-
stwa. Kto się dostał do zamku, ocaleje... Oto gmach wypiętrzył się
w groźne niebo i opasał się wałami, i zabrał do wnętrza swego, któ-
rych uznał za godnych, i zamknął bramy.

— Może jeden głos kobiecy wyprosił-by miejsce dla mnie w tych
samolubnych murach?... Czy zawoła?... Ale, gdyby i zawołał, nie pój-
dę. Moje miejsce tutaj, na przekopach, przy tych, którzy polegli,
z tymi, którzy jeszcze żyją...

— Zwołać żyjących!..

Poczuł się naraz zwyciężonym: musiał położyć się na mokrej ziemi, choć chłód zabójczy wsiąkał mu w zbolale kości. Otulał się we wszystko, co mógł uchwycić dygocącemi rękoma. Konała w nim dzielność samoistna, drżało już tylko nędzne, szamoczące się w skulonem ciele życie. W głowie, zamiast myśli, poczuł szalony wir niezrozumiałych obrazów, twarzy, barw i szumów.

Jeszcze chciał się podnieść, dobyć się gdzieś wyżej, otulić się, zasłonić od nadchodzącej śmierci... Siłę swoją mdlejącą, maluczką, przygarniał do siebie oburącz, a przez zaciśnięte zęby wyrwały się jęki i modlitwy, poszarpane śmiertelnym dreszczem.

XI.

Przez dziesięć dni walczył Dołęga ze śmiercią, odzyskując czasem zaledwie pół przytomności, nie poznając osób otaczających go; a gdy je poznawał, miał do nich długie przemowy, wiążące się logicznie tylko z tym innym światem, którego nikt, oprócz niego nie był w stanie zrozumieć.

Znajomy i przyjazny lekarz, wezwany przez służącego zaraz po pierwszej nocy szalonej gorączki, sprowadził paru innych medyków i siostrę miłosierdzia do dozoru. Tę wyřęczała znowu żona służącego, Józefowa. Materyalna więc opieka nad chorym została dobrze urządzona. Ale Dołęgę zdawała się dręczyć moralna zmora, której niepodobna było ulżyć, zaledwie bowiem czasem zdołano nawpół go ocucić i zmusić do przyjęcia lekarstwa albo, chłodzącego napoju. Ile więc razy lekarz wchodził cichym swym krokiem do mieszkania Jana, jedna z kobiet, wpatrzonych frasośliwie w znękaną twarz chorego, szła od łoża na spotkanie lekarza i zdawała krótką relację:

— Ciągłe tak samo, panie doktorze; gada z kimś, modli się i woła ojca.

I kobiety modliły się ze współczucia, czasami zaś w nocy ze strachu, w tym półcieniu tajemniczym, gdzie ciszę przerywały tylko jęki i niewyraźne rozmowy z ojcem, o którym wiadano, że oddawna nie żyje.

Dziesiątego dopiero dnia Jan odezwał się do lekarza, patrząc mu w oczy bez obłądu:

— Czy długo już leżę?

— Dziesięć dni. Nie bój się, jesteśmy poza Rubikonem.

— Ja się nie boję.

Lekarz mówił prawdę: nastąpiło przesilenie i gorączka spadła w ciągu dnia znacznie. Noc była jeszcze niespokojna, lecz znowu

dzień nadszedł lepszy. Jan był już odtąd przytomny, tylko tak osłabiony, że ciągle spał, jak nowo narodzone dziecko. Trzeba było teraz z nadzwyczajnymi ostrożnościami odżywiać wycieńczony organizm.

Ponieważ Dołęga miał wielu przyjaciół i trochę dalszych krewnych, zjawiał się często ktoś u drzwi jego mieszkania, na których napisano: „proszę nie dzwonić“, i zapytał o zdrowie. Nikogo nie wpuszczano.

Po pewnym znowu przeciągu czasu nastąpiły pomyślniejsze objawy: chory odczuwał głód tak gwałtowny, że trzeba go było wstrzymać od jedzenia. Zaczynał też troszczyć się o sprawy swoje bieżące, o życie, do którego powracał. Raz zażądał, aby mu podano listy, które przyszły podczas jego choroby.

— Pan doktor zakazał podawać listy—odpowiedział służący nieśmiało, bo nawykł do bezwarunkowego posłuszeństwa.

Ale Dołęga nie zmarszczył się, rzekł tylko:

-- Dobrze.—Był tu kto u mnie od czasu, jak leżę?

— Bardzo wiele osób.

Służący poszedł do przedpokoju i przyniósł stamtąd tacę napełnioną biletami wizytowymi. Tych doktor nie zabronił pokazywać.

Dołęga przeglądał. Nad niektórymi zatrzymał się dłużej, czytając: „Arnold Helle“—„Janusz książę Zbarazki“.

— A młody książę Zbarazki nie był?

— Był już kilka razy.

Jan skinął głową z pewnem zadowoleniem. Przejierał dalek nazwiska i nagle zadziwił się: wziął do ręki bilet Adama Szafranca... Pottrzymał go przez chwilę i kazał służącemu zabrać tacę.

Ze stopniowym powrotem sił nie powracało jednak ożywienie na twarz Dołęgi; owszem, osiadła na niej pewna powaga nowa, rzecz można, filozoficzna. Mówił wolniej, mniej zapalczywie i, skazany na nieczynność, leżał przez długie godziny z otwartymi oczyma i zamysłonem czołem.

Świeże nieszczęścia nie były już stałym przedmiotem jego rozpamiętywań. Ból, którego doznał, straty moralne, które poniósł, osunęły się gdzieś na dno jego pamięci. Żal do niektórych osób, oburzenie na całe grupy ludzi odpychał od siebie, jako uczucia zdrożne i niezgodne z wyższem rozumowaniem. Zdawało mu się, że w tem ciężkiem spotkaniu ze śmiercią przemyślał i przekochał długie lata, w których zyskał dojrzałość, choć nie przytłumił, owszem podsycił i rozjaśnił ognisko swego serca.

Bardziej niż kiedykolwiek sprawy swoje osobiste miał za podrzędne szczegóły w szeregu zjawisk, niby przykłady tylko w życiu

i doli ogółu. Wziął do serca tak ogromną część publicznego losu i troski o publiczne dobro, że zyski społeczeństwa stawały się jego dobytkiem, a straty—jego boleścią.

Roztrząsając wypadki, w których brał sam przeważny udział, sąd swój opierał też bardziej na społecznych, niż na egoistycznych zasadach. Żał mu było własnej pracy zmarnowanej, ale bardziej jeszcze wstyd za Zbarazkich, Zbązkich i im podobnych. Bolał, i ciężko, nad straconą nadzieją otrzymania Halszki, ale bolały go srożej ujemne cechy otoczenia i wychowania, które okuły szlachetne serce dziewczyny w więzy prawie nierozzerwalne. Cierpiał tak podniosłą boleścią, że wynikiem jej była nie gorycz, nie oburzenie, nie pogarda, lecz tylko wielka litość dla osób, biorąca swe źródło w ogromnej miłości dla kraju. Czując w sobie ten skarb, tę siłę najdzielniejszą, z której urodziło się wszystko, co błogosławią ludy, nie potępiał ani klas, ani stronnictw, ani indywidualów, owszem, znając ich trudności, pokusy i błędy, widząc nawet dawne i nowe winy, miał dla nich tę dobroczynną rosę serc wielkich—litość.

— Muszą być marni ci, których dola marna. Każdy z nas powinien-by być olbrzymem, aby sprostać tylko normalnym swoim zadaniom.

I chory jeszcze, osłabiony tak, że nie mógł wstać z łóżka o własnej mocy, Dołęga odnajdywał już w sobie nowy zapas energii i wytrwałości.

Zdrowie powracało z każdym dniem i lekarz pozwolił Dołędze przejrzeć korespondencję, w której nie było nic nadzwyczajnego, a także widzieć się z przybywającymi gośćmi, byle nie dłużej niż kilka minut. Z tego pozwolenia skorzystał Jan, aby przyjąć Andrzeja, gdy ten znowu się zjawił.

Andrzej zbliżył się ostrożnie do łóżka i, ująwszy lekko, prawie po kobiecemu, rękę Jana, zatrzymał ją długo w swojej dłoni:

— Już dobrze? prawda? Mieliśmy codzien o tobie wiadomości. Aleś się wymizerował, biedaku.—I ta broda! Mam nadzieję, że ją zgolisz.

— Dziękuję wam—odpowiedział Dołęga tylko na część mowy przyjaciela.

— Podobnyś do ascetów Quattrocento—ciągnął Zbarazki.—Czy cały tak schudłeś? No pokaż piszczete.

Dołęga uśmiechnął się.

Choć Andrzej udawał swobodę, po oczach i po ruchach jego można było można zakłopotanie. Chciał jednak mówić dalej, więc rozejrzał się po pokoju i rzekł:

— Nie wygląda tu, jak u chorego: otwarte okna, pachną kwiaty. Od kogoż to, jeżeli wolno spytać?

— Naprawdę nie wiem; jakaś dobra dusza przysyła mi już drugi raz kwiaty.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której Jan namyślał się, czy ma postawić zapytanie, które wreszcie wypowiedział:

— Podobno siostra twoja wychodzi za Adama Szafranca?

Spojrzeli sobie w oczy, starając się obaj nie drgnąć powiekami.

— A! już ci powiedzieli?

— Tak, powiedzieli—widnę już trochę ludzi.

Andrzejowi spadł niby ciężar z ramion; odrazu przemówił swobodniej:

— Znowu myśl gienialna Karola Wielkiego... no i Adama naturalnie. Cóż chcesz mój drogi—u nas tak się wszystko dzieje. Naszą siłą jest tylko ciężar, ale i tak wiatr nas pcha zawsze w jednym kierunku. Jesteśmy samodzielni w drobiazgach, wogóle jednak poddajemy się naszej szlachetnej inercji.

— Szafraniec był u mnie—rzekł Dołęga—podziękuj mu, gdy go spotkasz, a przedewszystkiem twemu ojcu.

— Nie omieszkam—ale za wizytę, nie za sprawę szos—rzekł Zbarazki głosem szyderczym i mocniejszym—Razem ze swym sławnym dowódcą Zbązkim i adjutantem Hektorem, urządził ci sprawę, niema co mówić.

— Zaczniemy inną—odrzekł spokojnie Dołęga.

Andrzej spozrywał z podziwem na wynędzniałą twarz Jana, pełną już wewnętrznego ognia.

— Ty jednak jesteś nadzwyczajny!

— Nie powiodło się raz, powiedzie się drugi. Wszyscyśmy winni.

— Cóż ty winien, mój drogi?—mówił Zbarazki gorąco—tyś zawsze zapominał o sobie, a pracował dla innych, tyś wmawiał w ludzi swoją własną siłę i zapał—i ciągnęłeś podwójne ciężary, ażeś się rozchorował. To my do niczego, to nam-by trzeba jakiejś elektrycznej kuracyi, nie mówiąc już o zamianie mózgow na inne. Marni jesteśmy, marni, mój Janku.

Dołęga posłyszał niby echo swych wizyi i rozmyślań.

— Będziecie jeszcze inni, nasze pokolenie będzie inne. I ty sam... już ja cię zaprzęgnę, zobaczysz.

— Więc jeszcze wierzysz w nas?!

— Wierzę w przyszłość... no, i w Boga.

Słowa te wielkie nie zabrzmiały fałszywie w ustach dzielnego człowieka.

Andrzej wpatrzył się w Jana poważnie, starając się zgłębić szczerłość, podziwiając odwagę tej duszy; aż uścisnął serdecznie przyjaciela i wyszedł, silnie wzruszony.

XLI.

Dołęga chodził już po mieszkaniu, a nawet wyjechał parę razy powozem, korzystając z jasnych dni, któremi jeszcze uśmiechała się jesień. Powrót do zdrowia napelniał go fizycznym dobrobytem, kojącym nieco ciężkie moralne zawody. Wracała świeża ochota do życia i Jan ją witał prawie z takim olśnieniem, z jakim spotyka dojrzałość dorastający młodzieniec. Ale twarde doświadczenie przerabiało tę ochotę w przezorność, tę siłę w hamowaną dzielność. Oczy Jana błyszczały głębokim, zdrowym już ogniem w wychudłej twarzy. Już ubierał się starannie, zgolił brodę, która mu urosła podczas choroby, widywał ludzi i powrócił do niektórych zajęć.

Czytał dużo powieści, na co oddawna nie miał czasu. Zajmowały go głównie te opowiadania, które płynęły szaro, jak życie nasze, lecz, prześwietlone jasno, dawały wrażenie wielu barw, zlanych w jedną. Lubił współczesną historję, książki, mające na celu sens życia, a nie tylko jakąś nerwową rozkosz, lub zadziwiającą dysekcję pospolitych stanów duszy. Po staremu, szukał pożytku, nawet w belletrystyce; sądził, że budzenie uczuć altruistycznych, obywatelskich jest najszczytniejszem zadaniem piśmiennictwa,—o ile jednak łatwiejszem, niż wyznawanie tychże zasad, zachowanie tych uczuć w dziedzinie czynu! Pisarz, pracując wyobraźnią, dobiera sobie wypadki i oświetlenia; człowiek czynu wpleciony jest ściśle i zależnie w rozpęd maszyny życiowej ogólnej.

— Jam jest jednym z tych bezimiennych pisarzy, którzy krwią własną piszą dzieje wewnętrzne naszego pokolenia...

Poczuł w piersi ciepło swego miłowania, swego zapалу do działań pożytecznych — i uznał za dobre swe ciężkie rzemiosło.

Rozmyślał tak pewnego dnia po południu nad skończoną książką, gdy dzwonek z przedpokoju przerwał mu zadumę. Służący wszedł do pracowni i oznajmił:

— Jakaś młoda pani przyszła i kazała mi oddać tę kartkę.

Dołęga wziął złożony we dwoje kawałek papieru, na którym ołówkiem napisane były te słowa:

„Przyszłam. Proszę mnie przyjąć“.

Rzucił się do przedpokoju i po chwili powrócił do pracowni z Halszką, ciemno ubraną, zakwefioną. Prowadził ją za rękę, ciągnąc

niemal za sobą, do okna, jakby chciał dobitnie się przekonać, czy to prawda, czy nie powrót snu gorączkowego.

— Co pani uczyniła?!

— Przyszłam do pana.

— Sama?

— Sama. Musiałam przyjść.

Podniosła woalkę i ukazała twarz bardzo bladą, jednak oczy patrzyły prosto na Jana, pełne blasku i powagi.

— Moja najdroższa pani! Więć dla mnie tyle... niech-że pani siada.

Ale Halszka nie usiadła, tylko wyciągnęła ku Janowi obie ręce

— Czy pan już zdrow zupełnie, zupełnie? Myślałam, że zwaryuję, kiedym się dowiedziała o tym tyfusie.

— Moje dobre, najmilsze dziecko! — mówił Jan gwałtownie, całując ją po rękach, poczem uprosił ją, aby siadła na krześle przed biurkiem, a sam usiadł naprzeciwko, pochylony, zapatrzony. Świat niknął mu w pamięci od tego zjawiska tutaj, w jego mieszkaniu. Ile razy je przywoływał, napełniało go boleścią i uciekał od niego do swojej smutnej filozofii. Teraz siedziała przed nim ta Halszka żywa, bliska, szarpiąc rękawiczki i gotując jakąś trudną przemowę, która zdawała się więznąć w falującej piersi. Spuściła oczy i odezwała się:

— Proszę tak nie patrzeć na mnie... proszę mi powiedzieć...

— Przepraszam najmocniej; nie mogę jeszcze ocknąć się z powodu, że pani taka dobra dla mnie i zechciała przyjść aż tutaj.

— Jam gotowa... gotowam uczynić wszystko, co pan rozkaże.

Uśmiech nagły i gorący przeistoczył twarz księżniczki, roztulił usta, rozpromienił oczy niezmierną słodyczą i ponętą. Dołęga nie omylił się co do znaczenia słów tych; zrozumiał, że serce to proste nie szuka wykretów, oddaje się z zaufaniem jemu i pyta o los swój. Poczuł na razie wielką wdzięczność dla Halszki.

— Moja najdroższa pani! Ta chwila nagradza mi wszystkie cierpienia.

Ośmielona, zaczęła mówić wyraźniej:

— Jam nie rozumiała, co czynię, miesiąc temu. Nie było pana przy mnie — i nie rozumiałam. Ale kiedy mi powiedzieli, że pan taki chory, poczułam, że to moja wina. Prawda?.. Modliłam się za pana ciągle i obiecałam sobie, że jeżeli pan wyzdrowieje i pamięta o mnie, to ja... •

Zatrzymała się i zadrzały jej powieki. Jan przerwał:

— Już mnie Bóg ocalił, pewnie na prośbę pani. Już zdrow jestem i silny, i gotów pójść w drogę, która mi przeznaczona. Już nawet

szczęśliwy jestem, z łaski pani, boś mi powróciła wiarę, że są piękne dusze wśród ludzi — choćby jedna tylko.

— Pamiętał pan o mnie ciągle? I tak, jak dawniej?

— Pamiętać będę całe życie.

Halszka wstała i uroczystym wyrazem twarzy zniewoliła Jana powstać także. Zeszli się, a ona rzekła, oddając mu obie ręce:

— To jeżeli pan chce — ja zerwę moje zaręczyny.....

Dodała szeptem:

— I będę twoją żoną.

Ale, spojrzawszy na Jana, zdziwiła się. Błyskawica gniewu przeleciała w jej oczach, a na twarz wystąpił silny rumieniec. Jan stał sztywno, wpatrzony w ziemię, z czołem ściągniętem w podkowę, a lekkie drżenie rąk ujawniało jego wewnętrzną walkę. Większęźniczka Zbarazka wyprostowała się, cofnęła ręce i zdławionym głosem rzekła:

— Czekam.

— Słowa, które obowiązują na zawsze, wymawiają się powoli,— odpowiedział Dołęga.

Z łagodną przemocą ujął ją za ręce i posadził na fotelu, sam zaś usiadł blisko przy niej i przycisnął obie jej dłonie do swej piersi.

— Moja najukochańsza, jedyna! O większem szczęściu nie marzyłem nigdy, droższego daru nikt mi dać nie w stanie. Ale nie mogę przyjąć tej ofiary.

Halszka wyrwała ręce i twarz niemi zakryła. Łkanie wstrząsnęło nią i przez łzy odezwała się:

— To nie ofiara!

— Wiem, że szczerza, że nieprzymuszona, ale bezwiedna ofiara— mówił Jan.— Dziecko moje! Ja o tobie jedynie myślę w tej chwili; ja nie był-bym zdolny wymówić tego, com powiedział, gdybym dla ciebie nie pragnął szczęścia z całej duszy. Życie moje twarde jest i będzie, życie moje nie dla ciebie.

— Ale dlaczego? dlaczego?

— Bo chociaż jesteś najmilsza, najlepsza, zwykłaś się już z tą łatwością istnienia, w której wyrosłaś. I gdyby się stało to, czego chcesz dzisiaj, jutro było-by ci podwójnie ciężkie. Może-byś wytrzymała, ale w niepokoju, we łzach, w szamotaniu się samej z sobą. Ja tego nie chcę dla ciebie, ja się do tego nie przyczynię.

Oczy Halszki tak serdecznie patrzyły przez łzy, z takim zawodem wymawiały Janowi jego niewdzięczność...

— Dziwny, dziwny człowiek, — powtarzała.

— Nie dziwny, tylko inaczej rozumiejący... Boże mój! Jak to powiedzieć?! Dziękuję całym sercem za twą królewską łaskę, nie mogłem się nawet spodziewać. A jednak przyjąć mi nie wolno. Ja two-

jem życiem żyć nie będę, bo zadał-bym kłam wszystkiemu, czem jestem; ty mojem życiem żyć nie potrafisz.

— Dlaczego nie mogła-bym pójść za panem wszędzie?

— Nie pójdziesz, dziecko moje,—polecisz. Ale ustanieś w drodze. Zawoła cię twoja przeszłość, zawołają rodzice, krewni, wszyscy których kochałaś, z którymi zżyłaś się od lat dziecinnych. I cierpieć będziesz nad tem, że ja od nich odmienny, albo, jeżeli masz bohater-skie serce, zaboli cię ono od walki z tym światem, do którego krwią i duszą należysz. Twe serce stworzone do szczęścia, nie do walki.

A Halszka patrzyła ciągle zawiedzionemi oczyma.

— Ciebie nęci zabawa, szum życia, towarzystwo ludzi bez troski. Przypomnij nawet, coś pisała w liście.

— Tak było dawniej; zmieniłam się od czasu tej choroby. Ja sercem przechorowałam cały ten czas.

— Boś dobra, szlachetna, bo czułaś, żeś mi sprawiła ból, i teraz chcesz go nagrodzić. Nietylko spałony jestem, ale dłużny ci na zawsze. Jednak pójść razem przez życie nie możemy.

— Więc i pan był-by ze mną nieszczęśliwy?

— Najdroższa! W takich chwilach i wobec pani, która mi jesteś pierwszą istotą na ziemi, nie wolno ukrywać prawdy. Tyś jest rozkoszą, a ja ciężką pracą. I nawet zgoda między nami była-by dla obojga bolesna.

— To myśli pan, widzę, że go nie warta?

— Pani! Nie pognebiaj mię takimi słowami. Zrozumiej, co staram się powiedzieć. Dać szczęścia nie możesz skromnemu pracownikowi, boby go to szczęście zabiło.

— Więc chyba pan radzi, żebym wyszła za Adama?

Dołęga wstał i przeszedł się po pokoju.

— O tem nie mogę mieć zdania,—rzekł po chwili,—nie znam go dostatecznie.

— Ja wiem, pan go nie lubi.

— Nie chodzi tu o moje uczucie dla niego. Wydaje mi się uczciwym człowiekiem. Kobięca ręka może mu wskazać inny cel życia, niż samo zbieranie pieniędzy. O to chodzi. Więcej nie mogę powiedzieć.

I rzeczywiście poczuł niby fizyczny wstręt do słów swoich własnych.

Chwilę trwało milczenie, męczące dla obojga. Wtem Halszka powstała z fotelu i zapytała z niepokojem:

— Która godzina?

— Dochodzi czwarta.

— Ach! O czwartej muszę być u Kostków, gdzie i teraz niby jestem.

— Tak, trzeba koniecznie wrócić na czwartą i nie dać nic poznać po sobie.

Halszka obejrzała się dokoła, szukając lustra w pokoju, ale, że go nie było, przyłożyła chusteczkę do oczu, i zamiast zetrzeć z nich uprzednie różowe ślady, zapłakała nowemi łzami.

— Niech widzą, niech się dowiedzą... Wszystko mi jedno!

Jana chwycił taki żal, że stał przez chwilę bez ruchu z zaciętymi ustami. Ujął potem Halszkę za ręce.

— Dziecko moje... idź już... inaczej być nie może... idź już!

— Pójdę... więc już tak ma być?

A oczy jej poddane, niemiłosiernie piękne, mówiły:

— Więc nie chcesz mnie?..

— Zrozumiej mnie, pani. Walczę ostatnią siłą przeciw sobie — i tobie. Zmiłuj się nade mną!

Litość, pełna czaru, zakwitła na dobrych ustach dziewczęcia.

— Do widzenia więc, mój drogi, zawsze drogi!.. Wierzę ci... Ale tak smutno.

Jan podniósł ręce Halszki do ust, potem do skroni swych, do oczu — i rzekł:

— Dla nas obojga lepiej, abyśmy się pożegnali na długie lata.

— I to jeszcze?! — wybuchła Halszka. — Już prawie zaczynam wątpić, czy pan ma co w sercu dla mnie.

— Nowe pani obowiązki...

— Zawsze obowiązek! A zresztą nic mi nie mówi, że to źle widywać pana. Ja tego chcę i pan mi nie odmówi.

— Chyba, żeby się wszelkiego szczęścia nie wyrzec...

Błysk pociechy rozjaśnił twarz Halszki.

— Do widzenia!..

Przysunęła się, skłoniła głowę na ramię Jana, a on przytulił ją mocno do drżącego serca i przymknął oczy. Poczul, że to ostatnia chwila jego dobrej doli na ziemi. Już minęła. Nie wolno mu nawet pić dłużej zapachu tych włosów, ani dotknąć ustami białej, błękitniejącej skroni. Więc oderwał się od niej nagle, z rozpaczliwą odwagą.

— Najdroższa moja... czas już...

Zapuciła na twarz gęstą woalkę i wymowne jej oczy zagasły. Janowi się wydało, że on sam, nieprzymuszoną ręką, targnął i zarzucił na przyszłe swe życie czarną zasłonę.

Ale nie rzekł już nic, odprowadził Halszkę do przedpokoju, otworzył cicho drzwi i wyjrzał, czy nikogo niema na schodach. Pusto było. Zbiegła szybko na niższe piętro, obejrzała się jeszcze i znikła na zakręcie.

Gdy wypuścił tego rajskiego ptaka z mieszkania, Jan powrócił do pracowni i usiadł, ciężko dysząc, wycieńczony własną siłą. I pomyślał, że kochać nie znaczy: używać, ale poświęcić siebie i cierpieć dla umiłowania swego.

XLII.

Wiatr jesienny panował nad wielką ławicą drzew różnobarwnych, skłębionych, rwąc miryady liści i niosąc je przez jasne powietrze złocistą zamiecią. Z wyższego punktu, z którego patrzył Andrzej, park Warski wydawał się płynnym, spadającym przewalem jaskrawych fal, a wierzchołki świerków i modrzewi, leniwie chwiejne, — masztami zatopionych okrętów. Niebo, choć jasne, pełne było rozmięzionych, białych chmur; i tam panował wiatr przemożny, któremu wkrótce nie ostoi się piękna pora roku: wiatr zerwie tę krasę ogrodów, zabrudzi niebo, przejmie mrozem stężałą ziemię. Kiedyś znowu zwycięży wiosna, ale czy będzie równie młoda, jak dawniejsze?

Po szeleszczących liściach poszedł Andrzej niżej i głębiej między drzewa, aż do polanki osłoniętej od wiatru i usiadł na ławce, patrząc w górę na walkę i lament drzew. Nie próbował nigdy malować, ale miał rozwinięte poczucie kolorytu. Więc, patrząc na wierzbę płaczącą, której cienkie, szarozielone gałązki kładły się poziomo na wietrze poprzez rubinowe, pomarańczowe, szczerozłote, złoto-zielone liście klonu, myślał o takim gobelinie: na osnowie poprzecznej tych nitok wierzby jesienne bukiety klonu... Jakie bogactwo!

Tam, gdzie siedział, było dość cicho; zapachy silne, jędrne i tęskne napełniały powietrze. A wyżej wiatr grał ciągle na cienkich strunach wierzby, na basowych strunach pni pochyłonych — pieśń monotonną i pełną, rosnącą od mocy do zaciekłości, nieustanną. Suchy szept niższych krzewów odzywał się niby bojaźliwym podziwem o górnej pieśni. Oderwane zaś liście żyły jeszcze chwilę pędem w przestrzeni, błyskiem w słońcu, aż spotkawszy zaciszną polanę, spadały wirującą drogą i układały się cicho do śmierci.

Andrzej siedział długo ogarnięty rozegraną, wonną, barwną przyrodą i myśli o sprawach jego własnych rozpuszczały się w melodiach, w zapachach, w malowaniach.

Był sam i tylko przejazdem w Warze. Rodzice wyjechali z Halszką po wyprawę do Francji. On zaś, wybierając się na Wołyń na polowania konne, wstąpił do Waru, aby się przygotować i obejrzeć swe konie wierzchowe. Lubil te polowania, słynące ze świetności sportowej, z gościnnego przyjęcia i wesołego zjazdu dobrych jego

znajomych. Nieprzewidziany wypadek zatrzymał go w Warze i opóźnił wyjazd: choroba Marsowicza. I teraz troska o starego przyjaciela zawołała go ponownie do mieszkania burgrabiego.

W pierwszym pokoju, w „kancelaryi“, zastał paru oficyalistów, parę kobiet i miejscowego lekarza, zapijających herbatę, w najlepszym humorze. Gdy wszedł, powstali wszyscy, jakby schwytni na złym uczynku, ale Andrzej zwrócił się tylko do lekarza:

— Jakże tam staremu?

— Coraz gorzej, proszę księcia. Nie wiadomo, kiedy się to skończy; w każdym razie, gdy puchlina dojdzie do serca...

Andrzej już to znał, nie dosłuchał więc i przeszedł do trzeciego z rzędu pokoju, gdzie Marsowicz siedział w wielkim, starożytnym fotelu, z wysokim oparciem z tyłu i z boków, w jednym z tych wygodnych mebli, przeznaczonych do drzemki, a mogących służyć i do zaśnięcia na wieki. Starszek nie chciał się kłaść, wolał siedzieć, mówiąc, że, gdy leży, dusi się. Wypraszał się zaś od śmierci uporczywie. W lipcu, gdy zaniemógł, mawiał, że chciał-by jeszcze dożyć zaręczyn księżniczki. Gdy Halszka zaręczyła się, chciał jeszcze dożyć dnia jej ślubu. Ale nie było to już prawdopodobne.

Starzec miał nogi owinięte szalami, lewą rękę już bezwładną; prawa liczyła różaniec, a usta szeptały modlitwę. Zwrócony do okna, wypatrywał chciwie różowe blaski pogodnego zachodu, kładące się na widoczne stąd galerye podwórza.

Gdy spostrzegł Andrzeja, powitał go rytualnie, choć go już widział dzisiaj po raz drugi:

— Padam do nóg, padam do nóg.

Mógł wyrazić ten ukłon zaledwie przez zwrócenie głowy i wzniesienie ręki z różańcem.

Andrzej usiadł blisko przy Marsowiczu i rzekł:

— Piękna pogoda jesienna—prawdziwy czas myśliwski.

— A kiedy książę pan pojedzie na te polowania?...

— Kiedy ci będzie lepiej, panie Franciszku. Dlaczego mi nie mówisz po imieniu, jak zwykle?

— Jeden tylko jesteś przy mnie z moich panów, a już niedługo mi...

— Obiecałeś być na ślubie Halszki.

— Obiecał-bym ja doczekać i szóstego pokolenia, ale moc Boża...

Niech ci Bóg błogosławi, że nie opuszczasz starego sługi, choć masz inne zajęcia.

Andrzej dotychczas wahał się, czy pojechać na Wołyń wobec groźnego stanu Marsowicza. W tej chwili postanowił poświęcić polowania i uczuł nawet zadowolenie z tej ofiary.

— Nie mogę odjechać. Ten człowiek prawie do rodziny należy. Tak pomyślał, a odpowiedział głośno na inny przedmiot, poruszony przez Marsowicza:

— To dzieci Halszki, albo moje, były-by już szóstym naszym pokoleniem za twojej pamięci?

— A jakże! Książę wojewoda, świeć Panie nad jego duszą, skończył wiek swój w roku 1825, kiedy był wyrostkiem i jeszcze w domu rodziców moich. Zajechał raz do nas, bo był pan ludzki; pamiętam... Synem jego był książę Andrzej, pradziad twój. Z dziadem, księciem Hieronimem, byliśmy rówieśnikami; ojca i ciebie znam od dziecka. To pięć pokoleń. Szóstego już nie zobaczę...

— Pradziada mego znałeś dobrze, panie Franciszku?

— Czy znałem?—rzekł starszek, wyprężając żyły szyi, aby się zwrócić do ściany, na której wisiała poślódkła litografia. — Patrzyłem na tego świętego, tak jak tu na ciebie... To był pan!

— I jakże?—zapytał młody Zbarazki z uśmiechem—odnajdujesz w nas ducha księcia Andrzeja?

— Krew ta sama—odrzekł Marsowicz, spoglądając przez okno.

Chcąc złożyć w głowie cytate, ruszał przez chwilę wargami bez głosu, a potem wyrecytował:

— „Ten pan był większy od przodków swoich, bo mierzyć się może z nimi zasługą dla społeczeństwa, a czasy, w których żył, nie były urodzajne w wielkich obywateli, ani obfitowały w pola, do zasług sposobne...“ Tak pisał o księciu Andrzeju pan Bartoszewicz... I ten już nie żyje.

Marsowicz odsapnął po dłuższej przemowie.

— Bartoszewicz pisał o moim pradziadzie? Gdzież to drukowano?

— Nie drukowano wcale—a szkoda... Mam kopię manuskryptu; stoją tam spisane czyny jego.

— Czy mówisz, panie Franciszku, o jego zawodzie wojskowym?

— Nie tylko, nie tylko. O tem wszyscy wiedzą. Ale jaki on był u siebie, w domu!... Ojciec ludu i szlachty, ojciec prawdziwy...

— Słyszałem—rzekł Andrzej — że się bardzo zajmował ludem wiejskim.

— A szlachtą to nie?... Zawsze było na zamku kilkunastu z młodzieży szlacheckiej... Szkoła obywatelska, jak podówczas mówiono.

— Musiało być trochę nudno w Warze?—wtrącił Andrzej.

— Gdzie zaś?! Bawiono się jak nigdy. Zjeżdżało się państwo z odległych stron... Bale, kuligi, polowania... Tylko nie każdy mógł się dostać do zamku, ho, ho!

Andrzej zauważył, że mówienie mężczy dzisiaj starego, więc zamilkł, ale Marsowicz, po chwili odpoczynku, sam rozpoczął znowu:

— Ja wtedy byłem piwniczym. Nasłuchałem się pańskiej konwersacji... Jak niegdyś panowie mówili! I o jakich rzeczach... Kiedy się starszyzna zebrała, spisywać było, co kto prawi...

— Lepiej było dawniej, co, panie Franciszku?

— Niby, że stary tak zawsze narzeka?... Bo i doprawdy. Każdy czas ma swoich panów, ale czy czasy gorsze, czy ja już tak stępieiałem...

— Niema dziś panów; panują silni i bogaci.

Starzec spojrział surowo na młodego księcia:

— A to kto mówi?... Toby i Zawiejscy z ekonomów naszych byli panami?... I te eleganty, co to im cudze pachnie lepiej, niż swoje? I ci, co zapominają, gdzie się urodzili i wyrosli?... A, jak można tak nawet żartować!

Andrzej powstał i pocałował Marsowicza w białe włosy.

— Masz słusność, żartuję, przepraszam cię, panie Franciszku.

— Nie mnie, nie mnie, Jego przepraszaj — mówił Marsowicz, trzęsąc ręką ku portretowi pradziada — nosisz Jego imię, Andrzeju... I masz... i masz w sobie jego zacząć duszę, tylko dorosnij... Bo nawet Zbaraczy bywali mniejsi i więksi...

Rozrzewnił się i zamilkł.

Do pokoju służący wniósł lampę i wszedł lekarz. Stwierdził, że chory ma gorączkę i zalecił spokój.

— Już noc — westchnął Marsowicz. — Księżę pan teraz na obiad, a jeżeli łaska jeszcze potem odwiedzić starego... Ale czy mi się zdaje, że już po siódmej?

— Tak, już kwadrans po siódmej.

— A nie bębniiono dzisiaj na obiad?

Kazałem zaprzestać. Sam jestem w zamku, głos tego bębna rozlega się po pustych salach, jak alarm.

— Szkoda...

— Jutro każę zabębnić.

— Jutro?... Dziękuję za wszystko. Padam do nóg.

Andrzej poszedł do sali jadalnej, gdzie oczekiwał go Kordysz i administrator. Zaprosił ich na obiad, aby mieć towarzystwo przy stole. Pierwszy raz znajdował się zupełnie sam, w ogromnym zamku, podczas długich już wieczorów. Zamierzał wpaść tu na jeden dzień, a bawił około tygodnia. i świeżo postanowił nie wyjeżdżać aż się rozstrzygnie los Marsowicza. Póki jasno było, nie nudził się: gawędził ze starym, chodził po parku, strzelał trochę; ta kąpiel w samotności podobała mu się po gwarze wielkich miast, z których powracał. Ale

wieczory były ponure. Oprócz nielicznej służby, pozostałej na wsi, nikogo nie było w zamku. Łada dźwięk budził echa po salach, każdy szmer natęzał się w tej rozległej, oprawnej w wielkie mury, ciszy. Aż niepokój nerwowo ogarniał samotnego dziedzica na Warze.

Po obiedzie przeciągnął rozmowę z Kordyszem o myślistwie, ale trzeba było pożegnać łowczego, który miał wracać nocą parę mil do swego mieszkania we środku lasów.

Okolo dziewiątej poszedł znowu do Marsowicza. Lżej było choremu, choć gorączka się wzmogła; sam prosił, żeby go przeniesiono z fotelu na łóżko. Senny i mniej rozmowny, mówił pacierz szeptem, a czasem wybuchał głosem większym i żarliwszym. Andrzej siedział zamyślony, przy lampie, wpatrując się w twarz chorego.

— Nudno ci tak... może-byś wziął co do czytania... Znasz ten manuskrypt o księciu Andrzeju?

— Nie znam.

— To sięgnij do komody — górna szuflada na prawo — okładka zielona.

Andrzej wynalazł bez trudności rękopis i począł wertować po-
zółkłe karty. Zajął go niebawem ten portret, kreślony zwięźle, bez przesady panegirycznej, na dobrze malowanym tle epoki. Pogrążył się w czytanie.

Dowiedział się dokładnie o „chłopomanii“ swego pradziada, o której słyszał często. Ale pod piórem historyka ta mania wyglądała inaczej, dużo poważniej. Andrzej zamyślił się nad tem, że starzy włościanie Warscy pamiętali jeszcze tego pana, nazywając go niezmiennie „księciem ojcem“, jednak ci sami i ich potomkowie nie okazali wiele wdzięczności rodzinie książęcej przy zatargach o serwituty, przez nadużycia wszelkiego rodzaju. Ale przypomniał sobie i to, że okolica Waru odznacza się piękniejszemi chatami, często murowanemi, na które książę Andrzej dawał darmo cegłę, że są przy nich sady, że nawet istnieje przysłowie: „co chłop Warski, to łebski i dziarski“, a to z powodu, że wielu umie czytać, zna kunsztowne rzemiosła i lepiej się ubiera, niż okoliczni.

„Nie na wdzięczność on pracował, lecz na pożytek kraju“.

— O czem czytasz? — odezwał się Marsowicz.

Andrzej wzdrygnął się na ten głos starca, o którym był przez chwilę zapomniiał. Powtórzył mu przeczytane zdanie.

— Święte słowa — rzekł poważnie Marsowicz, — To był pan.

Urzędową historję swego pradziada Andrzej znał; mniej go więc zajmowały dokładne daty różnych fundacyi starego księcia, jego tytuły założycielskie, prezesowskie, których wiele było w życiorysie. Uderzało go bardziej ciepło nieklamanej czei, wiejące ze słów historyka;

szukał też szczegółów „jakim ksiązę Andrzej był u siebie w domu“, według wyrażenia Marsowicza. Tych szczegółów mniej się znajdowało w rękopisie. Jednak pisarz charakteryzował życie zamkowe za owych czasów, mówiąc, że nawet zjazdy i zabawy miały pewien styl i sens społeczny; skład towarzystwa nie był przypadkowy, owszem, powstawał z przemyślanego doboru. Census stosowano bez pedanterji i przesady, lecz census istniał wyraźnie; obok krewnych, obok głośnych nazwisk, spraszano do Waru ludzi odznaczających się ze wszystkich sfer towarzyskich, wyłączając starannie podejrzanych, wyuzdanych, pretensjonalnych próżniaków, kosmopolitów, samolubów wszystkich odmian. Ludzie, którzy często bywali w Warze, nabierali nie tylko poszanowania dla ksiązęcego domu, nie tylko nauki, poloru, nie tylko wdzięczności za różne dobrodziejstwa (bo ksiązę był hojny i lubił zobowiązywać przyjaciół), ale powoli wiązali się w grupę, w stronnictwo, wkładali „mundur przyjacielski“, który obowiązywał do wielu cnót i zalet, jak mundury sławnych i odznaczonych pułków. Stronnictwo Warskie liczyło w szeregach wielu obywateli zasłużonych, wtedy lub później; wywarło swój wpływ na wewnętrzne dzieje nasze i historję naszej cywilizacji. To także niemala spuścizna po tym człowieku jasnej głowy, zacnej ręki i gorącego serca. Tak pisał historyk.

— O czym czytasz? — odezwał się znowu Marsowicz.

— Czytam, jak się dobierało towarzystwo w zamku za czasów pradziada. Dobrze się dobierało.

— Tak... gałgana on przez próg nie puścił..

Rękopis wspominał dalej różne urzędy i upiększenia zaprowadzone w Warze przez księcia Andrzeja. Ten pan lubił rzeczy krajowe i trwale, przede wszystkim zaś urzędy na pożytek kilku pokoleń. Mawiał skromnie, że pracuje dla prawnuków, jednak budował gmachy, kreślił szerokie plany ogólniejszego użytku, z których nie tylko potomkowie jego, lecz potomstwo sąsiadów, sług, poddanych, znajomych i nieznajomych osiągać miało, albo i osiągnęło korzyść. Miłością swą rodzicielską ogarniał całe plemię; nie przestając być „pater familias“, pragnął zostać „pater patriae“. Naszym obowiązkiem przyznać mu to najzaszczytniejsze miano — pisał historyk.

Tak, na przykład, mniemając, że dobre drogi komunikacyjne są pierwszym warunkiem normalnego krążenia ożywych soków w organizmie społecznym, wydał znaczne pieniądze na poprawę traktów, na budowę mostów i promów. Chciał nawet prowadzić drogi przez cudze terytorya, zaczął układy w tym przedmiocie i pozostawił plany rozległej sieci dróg, których śmierć nie pozwoliła mu wykonać.

— Żeby to wiedział Dołęga! — pomyślał Andrzej, uderzając machinalnie palcami o kartę rękopisu.

Marsowicz coś dosłyszał i odezwał się, przerywając pacierz:

— Na co tam mój pan natrafił?... co go ucieszyło?

— Nie tak ucieszyło, jak zadziwiło. Pradziad pozostawił podobno jakieś plany budowy dróg. Gdzież one są?

— A są w bibliotece.

— Czemu wcześniej nie mówileś mi o tem, panie Franciszku?

— Nikt nie pytał.

Andrzej przerwał teraz czytanie i zamyślił się nad pokrewieństwem portretu swego pradziada z żywą i dobrze znaną postacią Jana Dołęgi.

— Te drogi, których tamten nie dokończył, a które dzisiaj ten chce prowadzić... Ten sam program przewodnictwa w pracy społecznej... To samo pojęcie arystokracji narodowej... Więc to nie mrzonka młodzieńcza — byliśmy niegdyś tacy. Kto z nas zachował tradycję „księcia ojca“? my, Zbarazcy, czy on, Dołęga? Kto wziął po starym księciu moralną spuściznę?

Zaprzagnął mówić jeszcze i jeszcze o tym sławnym przodku, którego przykład podnosił mu serce, a razem budził uczucie zbawiennego wstydu.

— Cóż o nas napisze historyk?...

Zwrócił się znowu do żyjącego jeszcze świadka owych czasów, ale nie postawił zamierzonego pytania, gdyż chory wydał mu się zatopiony w wizję jakąś i żarliwą modlitwę: oczy miał olśnione, bił się w piersi i zwykły pacierz mieszał z nowymi przemowami:

— Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Obok niego, Boże mój, po prawicy Twojej... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... miejsce dla sługi wiernego...

Andrzej zaniepokoił się i poszedł do sąsiedniego saloniku, gdzie drzemały w fotelach dwie niemłode kobiety, dozorcynie. Ocknęły się zaraz.

— Źle choremu. Może-by posłać po księdza?

— Był już rano, proszę księcia pana.

— Ksiądz proboszcz już go wysłuchał, proszę księcia pana.

Chory tymczasem modlił się ciągle, tylko oczy kleiły mu się powoli i słodki spokój rozlewał się po twarzy. Poznał Andrzeja, gdy ten pochylił się nad nim, bo zwrócił do niego spojrzenie pełne wymowy. Było w tem spojrzeniu coś z uśmiechu zasypiającego dziecka do niańki i z tęsknoty człowieka, odchodzącego w drogę niepowrotną. Zamknął powieki, pierś podnosiła się krótkimi falami: starzec zasnął.

Andrzej posłał po swego przybocznego strzelca i kazał zapalić wszystkie lampy w gabinecie ojca, dokąd poszedł przez podwórze,

przez galerye i ciemne pokoje. Noc czarna i wietrzna ogarniała stary gmach ponurym koncertem jęków; odgłos kroków po kamieniach znaczył w tej muzyce miarowe odstępy.

Andrzej rzekł do strzelcã, który go poprzedzał z latarnią:

— Oświetlić mi tu po drodze z gabinetu do mieszkania pana burgrabiego i trzymać światła aż do rana! Nogi można polamać w tych ciemnościach.

W istocie zaś dreszcz nerwowy przejmował go: ogromny zamek zdawał się tej nocy pełnym dziwów i tajemniczych zasadzek. Dopiero pokój ojca był weselszy z powodu lamp zapalonych i ognia na kominie. Andrzej usiadł na zwykłym miejscu księcia Janusza. Choć noc była późna, nie czuł się sennym, owszem podnieconym i nastrojonym uroczyście.

Po za murami jasnego pokoju, ponad nim, pod nim, naokoło grały głuche chóry, jak daleki głos organów, wyły gardła kominów, jęczały blaszane dachy: zamek rozgadał się na potęgę. W tej sferze dźwięczącej panował zgiełk i niepokój, niby walnej bitwy. Ale Andrzej miał dzisiaj w sercu dumne pragnienia i dobrze mu było pośród walki zamczyska z wichrem. Powstawały w nim same silne głosy, wołające go od wygodnego życia do nieznanych uciech czynu. I głosy te układały się harmonijnie, płynęły zewsząd, zlewały się w kategoriyczny nakaz. Tak chciał za niego Jan, tak mówił dogasający starzec, tak żył wielki pradziad...

Zaczął pisać gorąco, długi list do Jana Dołęgi.

Pisał długo. Noc upływała i cichła, wiatr się wydyszał i ledwo czasami ziewnął przeciągle, aż zasnął, pozostawiając i zamek we śnie głębokim. Andrzej słyszał dzwonki w uszach, skrzypienie pióra po papierze, osuwanie się gasnących węgla w kominie. Zapomniał gdzie się znajduje i pisał, pisał...

Zdanie jedno zaczęło mu się układać w rytm, którego nie pragnął zachować, jakiś rytm obcy, wkraczający przemocą, coraz natrączywiej... Przerwał pisanie, ale ów takt, bijący gdzieś około niego, trwał... Zaczął nasłuchiwać i uprzytomnił sobie nareszcie, gdzie jest i że zbliżają się do niego czyjeś kroki. Niby z góry?... Nie — zapewne przez galerye wewnętrzne?... Tak — szedł ktoś do niego, ale, jak długo, długo... Ileż kroków naliczyć można przez ten zamek?

Zzymnął się najprzód, że mu przeszkadzają — tak mu było dobrze z górnemi, nowemi myślami. — Potem, ponieważ krew mu kipiła w skroniach, przypuścił na chwilę, że ujrzy zjawisko nadprzyrodzone. Wszystko możliwe w tym zamku.

Oparł obie ręce na stole i wpatrzony we drzwi, do których zbliżały się kroki, czekał.

Skrzypnęły drzwi i ukazał się w nich strzelec błądy, milczący.

— No co? gadaj-że prędzej!

— Proszę księcia pana... pan Marsowicz skończył.

.

Starzec leżał niby uśpiony, z uśmiechem na ustach.

Do Andrzeja przypadły kobiety, płacząc, całując bez potrzeby po rękach i opowiadając gorącym szeptem:

— Jak święty, proszę księcia pana, jak święty... Ledwo mu śmierć zajrzała w oczy, już go nie było... Taki człowiek...

— Czekajcie... dajcie mi pokój. Dlaczego nie sprowadzono mnie natychmiast?

— Ledwo się obudził i jęknął, myśmy się spytały, co trzeba, a on tylko do księcia pana się odezwał...

— Do mnie?

— A tak, powiedział: „Czy nasz pan już odszedł“?—i skończył.

Andrzej ukląkł przy łożku i ujął starca za wierną rękę, już ziębnącą; wpatrzył się w twarz znajomą i kochaną od lat wielu; dzisiaj po raz pierwszy ta twarz wydała mu się dumną, uśmiechniętą z wysoka na wszystkie ziemskie zaszczyty. Skłonił głowę i długo pozostał na klęczkach przy zwłokach ostatniego świadka dawnej wielkości Zbarazkich.

Gdy wstał, zapragnął odetchnąć świeżem powietrzem.

Obfita chmura mgły spadła o świcie na zamek, prześwietlona już rosnącą jasnością. Szare pasma wisiały i włóczyły się leniwie po gzemsach podwórza, pod lukami głównej bramy. Andrzej wyszedł na zewnątrz czworoboku i zadziwił się, nie poznając rodzinnych murów. Mgła odziewała zamek w puszystą, srebrną delię—i stary gmach stał ogromniejszy, odosobniony od zasłoniętych okolic, rozparty samotnie na zamkowej górze, gubiący w niebie korony swych baszt i wyniosłą kیتę dzwonnicy. W nieokreślonej przestrzeni górował tylko on jeden, pyszny, niezwiązany pozornie z ziemią, która go nosiła.

Myśli i wzruszenia tej nocy, nurtujące duszę Andrzeja do głębi, doszły teraz do najwyższej potęgi. Dreszcz go przejmował, nie lękliwy, lecz rozkoszny dreszcz natężonych pragnień. Stał oparty o poręcz mostu, wpatrzony w zamek ojców swych, i zdawało mu się, że jest dzisiaj nowym człowiekiem: czuł, że trzeba, że chce godnie panować na Warze.

— Trudno, coraz trudniej...

— Coraz większa zasługa, coraz wyższa chluba, — odpowiadały przemożne głosy, zlane w kategoryczny nakaz.

Tymczasem dumny gmach tracił posepną grozę, bo mgła rzedła i stawała się lekką, błękitniejącą osłoną. Wystąpiły ozdoby krużganków na baszcie wschodniej, zarysowały się smukłe ostrołuki bramy, a na dachach blaszanych zakwitł zdrowy rumieniec pogody. Zamek uprzejmym uśmiechem witał okolicę.

Z góry zamkowej mgła uciekała spłoszona przez powiew ranny, odsłaniając czerwone dachy podzamcza, i zlewała się z wielką, białą doliną. Już ją i stamtąd wypędza gospodarny wietrzyk, już trakt Warski coraz dalej w świat zapuszcza swój rząd podwójny lip złotych, już widać długie wsie szare na białych polach, i srebrne oczy wód nabierają blasku coraz więcej.

Niema już mgły między zamkiem a krajem. Okolica odpowiada na uśmiech panujących murów: śmieją się białe chaty, murowane przez księcia Andrzeja, śmieją się jesienne, barwne sady.

Wtem na twarze chat białe, w jasne oczy wód wstąpił gorący blask, a na zamku wybuchnął jaskrawą purpurą.

— Witajcie pod jednym słońcem! — płynął głos poważny z góry.

— Witajcie pod jednym słońcem! — gwarnie odpowiadały niziny.

Andrzej, który dotychczas patrzył tylko na zamek, objął spojrzeniem rozpostartą szeroko krainę, i wyciągnął do niej kochające ramiona:

— Ziemię moją!

JÓZEF WEYSSENHOFF.

K O N I E C .

„MANRU“.

Opera Ignacego Józefa Paderewskiego.

Na operę polską czekamy. Czekamy od czasów Chopina, który zajął miejsce wśród wszechświatowych gieniuszów muzycznych, pierwszy wnosząc z sobą w tę duchową elitę typ odrębny, słowiański. Ale Chopin tworzył tylko w zakresie fortepianu, miejsce więc symfonisty i miejsce kompozytora operowego pozostało niezajęte. Ma muzyka nasza swego Grottgera, lecz niema Matejki, ani Siemiradzkiego. A tak gorąco pragnęli-byśmy, ażeby na tej wielkiej, szerokiej widowni świata zajaśniało obok tylu pierwszorzędnych wirtuozów naszych, także imię kompozytora opery, i ażeby razem z jakimś dziełem potężnym, epokowym, dorównało w trwałości i świetności imieniu Chopina. Myśl ta, nigdy szczerze i otwarcie niewypowiedziana, uderzała z ogromną siłą podczas pierwszego przedstawienia opery J. I. Paderewskiego „Manru“ we Lwowie — a właściwie podczas jednej wymownej chwili. Kiedy po zakończeniu pierwszego aktu, kompozytor, wywoływany oklaskami, nie wyszedł na scenę dziękować, tylko wychylił się ze swej łoży, tuż obok sceny położonej; cała publiczność, jak jeden mąż powstała. Toż samo uczynili członkowie orkiestry, a równocześnie wszyscy soliści wraz z chórem zbliżyli się całą falangą ku przodowi sceny zwróceniem półkołem ku łoży kompozytora. Potworzyły się olbrzymie kręgi, których on był osią, widok był po prostu imponujący. Nie było w teatrze ani jednej twarzy, niewpatrzonej w Paderewskiego, ani jednego ramienia, niewyciągniętego ku niemu, a cała ta masa, ogarnięta nieopisanym zapalem, bijąca szalone brawa, podniecona i wzruszona, zdawała się wołać do niego: Masz już połowę wielkiego imienia, dopełń ją tem dziełem na chwałę naszej sztuki tam, gdzie już zasłynąłeś jako wirtuoz!.. A w tem pragnieniu było, zaiste, coś więcej, niż pospolita próżność...

Mamy jednak „Halke“ i tyle oper Moniuszki, — powie ktoś niechybnie, — mamy trzy opery Żeleńskiego, cztery opery Jareckiego, jedną Noskowskiego, dalej Münchheimera, Grossmana i innych, wszak to poważna literatura muzyczna? Niezaprzeczenie. I nie tylko poważna, ale nawet droga nad wszelki wyraz. Tak genialny melodysta, jak Moniuszko, swojski mimo swych wyraźnych sympatyj do muzyki włoskiej, pozostanie na długie lata najpopularniejszym polskim kompozytorem, i zawsze grać będzie z całą swą prostotą na sercach naszych. A Żeleński? Wszak i jego dzieła, nie mówiąc już o złożonej w nich wielkiej wiedzy, są utworami inspiracyi i pracy, pełnej wysokiego smaku i najszlachetniejszej dążności, co zresztą z małemi zmianami, stopniując rozmaicie, można powiedzieć i o innych, wyżej wymienionych kompozytorach. W czym tedy leży przyczyna, że utwory ich, mimo usiłowań (prawdę rzekłszy, nie tak znowu energicznych), nie mogą się dostać poza granicę scen polskich? Pospolicie przypisujemy to stosunkom politycznym i niechęci obcych; niema też wątpliwości, że odgrywają one w tem pewną rolę. Nie tak wszakże znaczną, jak nawykliśmy twierdzić. Na scenach niemieckich, francuskich i włoskich, mimo obfitą produkcję w dziale operowym, zapotrzebowanie ciągle jest wielkie. Po Verdím i Wagnerze niema genialnych, są tylko genialne talenta. Prawda, że w uzyskaniu wstępu na wszelkie sceny całego świata lokalne względy wielką odgrywają rolę, w danym jednakże razie, dla wybitnego dzieła sztuki miejsce musiało-by się znaleźć. Jeszcze mniej słuszności widzę w twierdzeniu, dość często spotykanem, że sam typ słowiańskiej muzyki, podobnie, jak niebo nasze, razem z dworem, chatą, ich życiem i przeszłością, nie są dla obcych dość zajmujące. Otóż co do samego typu, to sędzę przeciwnie. Nowsza muzyka lubi melodye charakterystyczne i bez porównania łatwiej daje sobie z niemi radę, niż muzyka klasyczna. Środkowa Europa bardzo chętnie rozgląda się na cztery strony świata, dość tu tylko wskazać na orzeźwiający prąd, jaki powiał z północy w utworach Svendseua, Griega lub Sindinga, dość przytoczyć powodzenie Czajkowskiego w Niemczech, a o wiele innych podobnych przykładów nie trudno. Muzyka zużywa się stosunkowo bardzo prędko, zwłaszcza operowa. Stulecie XIX przedstawia olbrzymie w niej zmiany, a pomyśleć sobie aż przykro, że nawet ten ubóstwiany, wszechmocony Wagner, już nie we wszystkich dziełach zachował swą dawną siłę — wszak już dziś widzimy to dość wyraźnie, jak mityczny labędz niknie w sinych mgłach jeziora, unosząc z sobą „Lohengrina“ i inne opery, towarzyszyki jego z pierwszego okresu twórczości mistrza. Nastąpiła już właściwie era „Meistersingerów“, i ci przyświecają obecnie nowym

drogom muzyki operowej niemieckiej. To samo dzieje się we Włoszech i Francji: Włosi zaparli się po części swej melodyi, Francuzi swej tradycyjnej lekkości i przezroczystości stylu. Ruch szybki, gorączkowy, panuje wszędzie, czuć w nim wysiłek, brak tchu i obawę o przyszłość. Sztuka rozrosła się w drzewo wspaniałe, wysokie i rozgałęzione, spotrzebowuje też soków znacznie więcej, niż przed stu laty. Więc i żywioł słowiański jest dla niej pożądany, tak, jak każdy inny, jeżeli nie więcej, a to nietylko w tem znaczeniu, że może zasilić ją nową melodyką, rytmiką i harmonią, w głębi melodyi ukrytą, ale i w znaczeniu nowych sił intelektualnych, nowej fantazyi i w rezultacie nowych kształtów dla dzieł sztuki—do czego wreszcie wszystko dąży. Jeżeli więc mimo to nie zdołaliśmy się z zadną z naszych oper wydostać na międzynarodową widownię, to przyczyny nie należy szukać zasadniczo ani w słowiańskości utworów, ani w odrębnym charakterze naszych „łak i pól“, stanowiących ich tło dekoracyjne, ani nawet w naszych Jontkach, Stefanach, Halkach i Goplanach. Również daleki jestem od przypisywania tego brakowi talentów. Chodzi tu tylko, zdaniem mojem, o to, *jak* te twory fantazyi naszych kompozytorów mają muzyczną formę przybierać. Chodzi o pewien zasadniczy punkt wyjścia, o stopień doskonałości ich formy i o chwilę właściwą, w której dzieła mają się pojawiać. W odpowiedzi na te pytania leży rozwiązanie kwestyi, postawionej na wstępie, a łączącej się ściśle z operą Paderewskiego „Manru“, która pierwsza z polakich oper pojawiła się na scenie obcej ¹⁾, i to na scenie pierwszorzędnej.

Opery naszych kompozytorów nie powstawały w warunkach dość dla siebie korzystnych, ani w odpowiedniej chwili — tych warunków nie wytwarzają bowiem talenta choćby nawet genialne, tylko dzieje się przeciwnie. Moniuszko pracował dla Wilna i Warszawy, stojących, bądź co bądź, daleko od całego ruchu, jaki właśnie w owym czasie rozwijał się w najlepsze w Europie środkowej. Wystąpił z „Halką“, gdy „Lohengrin“ i „Tannhäuser“ już zdobyły sobie uznanie i zakreśliły dla całej muzyki dramatycznej zwrot ku innym ideałom. Warszawa holdowała wówczas w najlepsze muzyce włoskiej, w czem, jak sądzę, i dziś, ogólnie wzięwszy, nie zmieniła się wiele.

¹⁾ Nie liczę tu ani dawniejszych oper ks. Poniatowskiego, lub Mireckiego, dawanych we Włoszech, ani komicznych oper Dunieckiego, lub Grossmana, w Berlinie i Wiedniu, gdyż pierwsze nie miały ani odrobiny charakteru polskiego, a drugie, acz czysto i wdzięcznie pisane, nie rościły sobie pretensyi do wyżyn poważnej sztuki.

Ale w owym czasie muzyka włoska u siebie w domu zaczęła już zwolna ulegać wpływowi, idącym z Niemiec. Jeżeli tedy Moniuszko dla nas był zawsze na czasie, i zawsze sercom naszym miły, dzięki swojskości swojej, to dla za granicę spóźnił się o jakie dwadzieścia lat, wskutek czego styl jego oper i technika jego kompozytorska nie mogły-by tam znaleźć uznania, sama zaś jej słowiańskość bez tamtych warunków mogła już dla nas jedynie znaczenie swoje zachować. Inne talenta nie zastały w Warszawie ani we Lwowie warunków, odpowiednich do rozwijania się, a tem mniej w Krakowie, lub Poznaniu. W nowszych czasach nie daje się ono pomyśleć bez instytucji, pielęgnujących muzykę orkiestralną. Można mieć wykształcenie książkowe jak największe, można posiadać siłę wyobraźni niepospolitą, jednakże wszystko to nie zastąpi orkiestry i śpiewaków, bo żywy dźwięk i doświadczenia, robione nieustannie, są nietylko dla zdobycia techniki nieodzowne, ale nawet na fantazyę twórczą działają podniecająco. Mamy na to liczne dowody z historyi muzyki. U nas dopiero dziś zaczynają się stosunki te zmieniać na korzyść, czego nie trudno dopatrzeć się w założeniu takiej instytucji, jak Filharmonia warszawska, lub w rozwoju opery lwowskiej, która dopiero obecnie, dzięki dyrekcyi Tadeusza Pawlikowskiego, wzbila się do wyżyn, na jakich nigdy przedtem nie stała. Powinna tedy nastąpić niechybnie era nowa dla muzyki symfonicznej i operowej, a młodsze talenta nie natrafiają już w swym rozwoju na takie przeszkody, z jakimi dawniejsze musiały walczyć, i nie będą też zmuszone dopiero za granicą szukać korzystnych dla siebie warunków.

Swoją drogą, zamiłowani w naszym typie muzyki i obowiązani do pielęgnowania go, powinni-byśmy wystrzegać się pewnych skłonności, które gubią naszą muzykę u obcych, a dla nas samych nie przedstawiają również nic dodatniego. Muzyka jest sztuką, polegającą, jak wiadomo, przedewszystkiem na ruchu, i tego ruchu wymaga w znaczeniu jak najrozleglejszem. Spokój więc rozlany w bezniernych przestrzeniach stepów ukraińskich, w niebie jednostajnie szarem, lub w duszy smutnej, a w dodatku zrezygnowanej, to są przedmioty dla malarza i dla poety, lecz nie dla muzyka. Tamci mogą nadać swemu utworowi nastrój melancholijny o rozlicznych odcieniach; kompozytor, chcąc go wywołać, rozpoczyna od tego, iż odbiera muzyce najżywotniejszy jej czynnik, to jest ruch. Stwarza w ten sposób — jednostronność. Ten przeciągły ton, gdy się raz stanie zasadniczym w utworze na większe rozmiary, a zwłaszcza w operze, będzie dlań po prostu zabójczym. Więc co najwięcej, może on być traktowany epizodycznie, drugorzędnie, lub jako kontrast, byle nie tworzył tła, rzucającego na całość szary cień monotonii.

Podobnie należało-by się wystrzegać „gawędziarstwa“, którem błądzi Moniuszko (w kilku mniejszych swoich operach, a nawet miejscami w takim „Strasznym dworze“), a za nim inni. Rozumiem przez to rozwlekanie ustępów już w głównym pomysle nie wiele znaczących, wprowadzanie opowiadań, mało zajmujących treścią i muzyką, posługiwanie się środkami zbyt osłuchanemi, byle tylko załatwić się z tą lub ową sceną i t. d., i t. d. U Moniuszki daje się to wytlómaczyć epoką, w której powstawały te utwory, a więcej jeszcze tem, że często wprowadzał on żywioł drobnej szlachty, co jeżeli nie dla obcych, to dla nas przynajmniej mogło być zrozumiałe. Następcy Moniuszki jednakże nie mogą tego przytoczyć na swe usprawiedliwienie. I w tem-to wszystkim widzę przyczyny, dla których opera nasza dotychczasowa nie mogła się dostać na ową światową arenę. Wypowiedziałem je szczerze, pragnąc na kwestyę, postawioną na wstępie, odpowiedzieć, i zarazem stosunek Paderewskiego do sztuki ogólnej i do sztuki naszej określić. Nie umniejszam przez to wcale znaczenia dzieł, jakie dotychczas nasza sztuka wydała, ani zasług ich twórców, którym skądinąd tem więcej wdzięczności się za to należy, że tylko dla swoich pracowali. Nie da się jednak zaprzeczyć, iż dopiero ściernie się muzyki słowiańskiej z prądami ogólnymi i z publicznością inną może dla niej i dla sztuki ogólnej wielkie przynieść korzyści.

Paderewski zapewne przed laty jeszcze zdał sobie sprawę z tej kwestyi doskonale. To też genialnie pokierował swoim talentem. Wypielegnował go, jak dobry hodowca, który wie, jakich roślin warunków atmosferycznych wymaga, kiedy ją w cieniu ukrywać, kiedy promieniem słonecznym podniecić, kiedy pędzić gałęzie, a kiedy wreszcie wyprowadzić kwiat o barwach skombinowanych i z góry przewidzianych, a niepospolitych i szlachetnych. Nie „szczęściu“ też ślepemu zawdzięcza on swoje powodzenie, jak to twierdzi wielu kolegów jego, zwłaszcza wirtuozów, a tem mniej jakimś sztukom reklamy, która z pewnością od niego nie wyszła nigdy. Szczęście Paderewskiego leży chyba w tem, że natura, obdarzając go talentem, dała mu w dodatku umysł nadzwyczaj bystry, i może w tem jeszcze, że los zaraz na wstępie do życia dał mu gorzkie doświadczenia, dzięki którym dojrzał znacznie wcześniej, niż inni artyści. Nie błąkał się, tylko szedł prosto; nie oszczędzał sobie żadnej pracy i trudu, do celu trafiał na pewne, uzbrojony w talent, siłę woli i wysoko rozwinięty samokrytycyzm. Natura to bowiem wogóle niepospolita, a bardzo skomplikowana. Łączą się w niej zadziwiająco różne przeciwieństwa: wyobraźnia artysty i trzeźwy zmysł krytyka, tkliwość niemal kobieca z energią męską, chłód dyplomaty z serdecznością prostego dziec-

ka natury, formy wysoce światowego człowieka ze swobodą wesołego towarzysza... W utworach powtarza się to podobnie: poeta rzuca pomysł — pedant go wykonywa; obok zadumy pojawia się humor, nawet obok najwytworniejszej sztuki — prostota, tylko że zawsze wytworna, jak i tamta.

Działalność kompozytorska Paderewskiego przed wydaniem na świat opery „Manru“ pozostawała w cieniu. Cień ten rzucał wirtuoz na kompozytora, wirtuoz, kąpiący się, jak wiadomo, w blaskach sławy i złota. Ale kompozytor nie ustawał w pracy, on-to podszeptował nieustannie wirtuozowi, jak ma *odtwarzać* mistrzów, a w tem odtwarzaniu musiała się odezwać samodzielna dusza wykonawcy. Zresztą i dosłownie biorąc, pracował nad kompozycją nieustannie. Wszak przed rozpoczęciem świetnej kariery wirtuozowskiej, zajęty był głównie studjami nad kompozycją, a następnie tworzeniem; więc chyba tylko ktoś, co go nie znał z prac, lub z osoby jego artystycznej, mógł przypuszczać, że „karyera“ wystarczy mu i zapełni jego życie dostatecznie. Otóż niesłusznie było-by rzeczy jego oceniać bez należytej powagi i oddania im tego, na co zasługują; wszak ta okoliczność, że są to przeważnie utwory fortepianowe, nie umniejsza w niczem wartości ich artystycznej. Część ich zresztą tylko należy do rodzaju muzyki salonowej, lub koncertowej o drobniejszych formach, inne i w rozmiarach, i w treści, przedstawiają się bardzo poważnie, dość gdy wymienię tu tylko Waryacje a-moll, Thème varié a-dur, Sonatę skrzypcową, Koncert fortepianowy i Fantazyę polską, te dwie ostatnie kompozycje z towarzyszeniem orkiestry. Z drobniejszych utworów wiele cieszy się prawdziwą popularnością, jak naprzykład: Capriccio à la Scarlatti, lub Melodya z Chant du voyageur, jak Legenda (a-s-dur), Krakowiak (Cracovienne fantastique); lub wreszcie najbardziej znany Menuet. Do tej ostatniej kompozycji przywiązana jest anegdota (opowiedziana w broszurze: „J. I. Paderewski“ przez Nossiga), mająca świadczyć, że nowocześni kompozytorowie umieją w danym razie prostotę dawniejszych do złudzenia naśladować. Co do mnie, to sędzę, że jeżeli ktoś dał się zwieść Menuetowi, to tylko dla tego, że nie znał dobrze typu Mozartowskiego, bo Menuet prócz szóstego i siódmego taktu pierwszej melodyi nie ma nic, coby Mozarta dość wyraźnie przypominało. Ma natomiast charakterystycznie słowiańskie trio i pasaż fortepianowe wcale nowoczesne. Prostota zaś jest wogóle Paderewskiemu właściwą. Bo jeżeli on z jednej strony nieraz może „szuka“, gdyż do swej delikatnej jubilerskiej pracy woli wynaleźć mniejszy, ale szlachetniejszy kamień, niż brać pierwszy lepszy, chociażby efektowny i błyskotliwy; to z drugiej strony, naj-

wyraźniej stara się prosto i jasno powiedzieć to, co myśli i czuje. Więc i kontrapunkt jego, i harmonizacja są niekiedy nadzwyczaj proste, ale zawsze albo bardzo charakterystyczne, albo pełne poezji i wdzięku. Pod względem harmonizacji wzorem klasycznym jest temat waryacji a-moll op. 11, albo waryacja ostatnia przed fugą, pod względem znowu kontrapunktu—waryacja № 5 w Thème varié, ułożona w formie najściślejszego kanonu, a jednak śpiewna i naturalna. Co do budowy szerokich okresów muzycznych w wielkich liniach, to na pierwszym miejscu uznać należy jasność planu z góry założonego i logikę w układzie myśli, a następnie w ich przeprowadzeniu. Ogólny ton muzyki Paderewskiego ma dla mnie coś z poranka letniego: powietrze świeże, cokolwiek ostre, niebo czyste i jasne, zieleń skąpiana w rosie rysuje się wyraźnymi liniami, blaski słoneczne dyskretnie ją oświetlają, tu i owdzie lekkie mgły się snują... Bo jest w tem wszystkim swojskość, leżąca nie tylko w reminiscencyach muzyki ludowej, ale w ogólnym nastroju kompozycki.

Więc należało-by zwyczajem większej części krytyków zapytać teraz jeszcze: a czy w tej muzyce jest „nerw dramatyczny“, bo przecież do oceny opery przystępujemy. Wyznaję, iż za ważniejsze uważam w tem miejscu inne pytanie. Czy kompozytor rozporządza tak wielką techniką, czy jest dość obiektywny i czy na swej palecie posiada dostateczną ilość barw, ażeby cały wieczór zapełnić tylko swojemi myślami muzycznymi—bo przecież są to warunki opery każdej, równie dobrze nowoczesnej, jak dawniejszej? Oczywiście, że nie może to być liryk niezdolny do wydania z siebie ani jednego tonu charakterystycznego lub paru bodaj wykrzykników patetycznych—to się rozumie; ale ogromnej techniki przedewszystkiem potrzeba i oddechu wielkiego, ażeby w zajęciu utrzymać słuchacza, a do tego należy i umiejętność rozwinięcia wszystkich form muzycznych od najprostszej piosenki aż do najkunsztowniejszego ansamblu. Otóż do tworzenia opery Paderewski przystąpił dojrzały, przygotowany i zopatrzony we wszystko. Dla techniki jego niema przeszkód żadnych, orkiestrą posługuje się po mistrzowsku, wszystkie tajniki opery nowoczesnej zna na wylot. Mając już imię znane i tak głośne, mógł zapukać do każdych drzwi, żaden teatr nie ośmielił-by się odmówić *Paderewskiemu*; ale to mu przecież nie wystarczało: on musiał stanąć z dziełem, godnem swego imienia. Jeżeli dawniej kompozytor podniecał wirtuoza i w górę go posuwał, to teraz przyszła kolej rewanzu: wirtuoz dodawał energii kompozytorowi, tak, że wreszcie powstało dzieło wielkiego talentu, wielkiego wykształcenia, kwiat wyhodowany dzięki najszlachetniejszym porywom duszy, fantazji i inteli-

gencji: opera „Manru“. Wystawiono ją po raz pierwszy w Dreźnie dnia 29 maja, a następnie po polsku we Lwowie dnia 8 czerwca r. b.

Tajniki opery nowoczesnej!... Tak nazwałem ten rdzeń roboty w dziełach ostatniej epoki, tę całą tkankę kunsztowną tematów, na której się opera dzisiejsza opiera. Mówiąc szczerze, całe jej założenie uważam w znacznej części za rzecz złudzenia, któremu równie dobrze podlegał Wagner, jak i jego następcy. Dąży się stale do stworzenia *dramatu*, tymczasem jednak jeżeli w operze zabraknie *muzyki*, to rezultat bardzo smutno wygląda.

Bo zdanie La Harpa, wypowiedziane przed dwudziestu laty: *Quand je viens à l'opera c'est pour entendre la musique*, do dziś dnia utrzymuje się w pełni swojego znaczenia. Nie nagromadzenie więc masy motywów działa na słuchacza i nie ich głęboko ukryte znaczenie, lecz muzyka, w jaką się one układają. Na słuchacza muzyka *przedewszystkiem* wywiera wrażenie. Gorąca pieśń miłosna roznieca żar we krwi słuchacza i porusza silnie jego nerwami; równocześnie fantazyja rozkoszuje się jej zwrotami, dźwiękiem harmonii i zajmującymi splotami polifonii; ale refleksya dopiero po pewnym czasie przychodzi ze swojemi spostrzeżeniami i podszeptuje słuchaczowi, że motyw jeden i drugi tej pieśni słyszał już poprzednio w takiej a takiej sytuacji, że mają one pewne określone znaczenie, że rytm i harmonizacya melodyi zmienia się w pewien sposób, za pomocą czego kompozytor to lub owo wyraża. Odróżniamy tedy dwojaki kierunek działania tego rodzaju muzyki: działanie na fantazyę artystyczną i na umysł, niema jednak wątpliwości, że to pierwsze jest silniejsze i ważniejsze. Prawda, że Wagner nieraz ogromne wywołuje wrażenie za pomocą motywów; przypomnijmy sobie jednak taką znaną i prostą scenę, jak zakończenie 2-go aktu „Lohengrina“. Bez zaprzeczenia, motyw niewiary, zaszczeplonej przez Ortrudę w Elzie, jest silny i brzmi złowrogo; czy wrażenie jednak było-by tak wielkie, gdyby jego charakterystyczna molowa melodia nie stanowiła jaskrawego kontrastu z muzyką pochodzącego weselnego? Czy, biorąc rzecz muzycznie, motyw ten nie stanowi tu owego znanego już doskonale i poprzednikom Wagnera zwrotu, osłabiającego z umysłu wrażenie całości, aby tem silniej wystąpił potem ład i spokój zakończenia? W późniejszym okresie Wagner operuje motywami w sposób bardzo skomplikowany, żąda od słuchacza poprostu studyów przygotowawczych, wyteżenia umysłu i pamięci. Przytem wszystkiem jednak nie zapomina, że słuchaczowi należy się także owa absolutna muzyka dla muzyki i wówczas rzuca mu takie melodye, jak śpiew wiosenny Sigmunda w „Walkyryi“, duet miłosny w „Trystanie“, takie śpiewy zbiorowe, jak kwintet w „Meistersingerach“ lub olśniewające obrazy or-

kiestrowe, jak „Feuerzauber“, „Walkürenritt“ i t. p. W tych rzeczach analiza według metody wagnerystów nie da się już ściśle przeprowadzić: niejedna septyma nie będzie tam tęsknoty oznaczala i niejeden akord zmniejszony septymowy—zwątpienia. Że praca tematyczna przychodzi twórczości z pomocą, zwłaszcza tam, gdzie ona nie może z dramatu zaczerpnąć wątku do szerokiego lotu, to rzecz niezaprzeczona; że jednak z drugiej strony oddala muzykę od owej znamiennej „nieokreślności“, a nie zbliża do konkretności mowy, to także rzecz pewna. Nadto, uznawszy raz tę metodę, nie wypada się zadziwiać, że kompozytor schodzi się w myślach z drugim, od chwili bowiem, kiedy interwał staje się symbolem jednego i tego samego pojęcia dla każdego kompozytora, to już takie spotkanie jest prawie nieuniknione. I kto wie, czy nie w tem leży największe niebezpieczeństwo dla opery przyszłości, gdyby tego tylko kierunku trzymać się miała.

Paderewski w swem dziele nie mógł obrać innej drogi, niż wszyscy kompozytorowie nowocześni. Motyw odgrywa u niego wielką rolę, równie wielką jak koloryt orkiestry. Temi środkami tworzy przeważnie dramat swojej opery, t. j. maluje sytuacje sceniczne, naturę, tło lokalne, dwie rasy odmienne, charaktery, stan duszy osób działających i ich wzajemny stosunek. Rozwija tu dużą pomysłowość, chociaż nie wszystkie motywy, wzięte same dla siebie, przedstawiają się w równym stopniu zajmująco. Dla subtelnego umysłu Paderewskiego praca taka z góry już musiała mieć wielki urok; wykonał ją też z zamiłowaniem i krańcową starannością o każdy najdrobniejszy szczegół. I słuchacz, gdy pozna operę dokładnie, gdy się dopatrzy, jak misternie te włókna tematycznej pracy się toczą, gdy zrozumie myśl kompozytora, ukrytą w barwie nadanej motywowi lub w połączeniu go z innym, to odniesie niepospolite zadowolenie z pewnością. Pierwsze wrażenie tego rodzaju ustępów jest oczywiście mniejsze, niż następne, że jednak Paderewski-muzyk nie zapomina nigdy o płynności melodyi, chociaż powierza ją chętniej instrumentom, niż głosowi, śpiewającemu przeważnie frazy deklamacyjne; że przytem posiada nieoceniony przymiot jasności w formowaniu myśli muzycznej: przeto praca słuchacza wcale uciążliwą nie jest. Tyle o opisowo-dramatycznej stronie opery. Nie stanowi ona jednak esencjonalnej jej części, gdyż wagę główną posiadają ustępy, w których górę bierze swobodna, szeroką falą płynąca muzyka; w tych, zdaniem mojem, wypowiada się Paderewski daleko dobitniej i bardziej bezpośrednio. Przejdziemy po kolei wszystkie sceny opery, aby się przypatrzeć, jak i kiedy on to czyni, wszelako z góry zaznaczyć to należy, iż raz powziętej zasadzie nigdy się nie sprzeniewierza, gdyż nawet w szero-

kich liniach muzyki, t. j. w symfonicznych, na wielkie rozmiary traktowanych, wstępach, czy w chórach lub ansamblach, a nawet w pieśni, o ile jej forma samodzielnie mogła tu być zastosowaną, nieustannie utrzymuje łączność tematyczną. Wobec tego zarzut niejednorodności stylu, podniesiony w którejś z recenzji niemieckich, nie ma najmniejszej słuszności. Przecież sam fakt, że Paderewski daje muzykę „absolutną“, że nie wykluczył chórów i śpiewu zbiorowego (jak-że wdzięczni mu za to jesteśmy!), nie usprawiedliwia tego zarzutu.

Streścić operę „Manru“ można-by w czterowierszu:

„Ledwie księżyc w pełni wstał,
Już cygana bierze szal:
Rzuca żonę, dziecko rad,
Byle szybko pomknąć w świat!“

Walka wewnętrzna, jaką przechodzi Manru, związany węzłami rodzinnymi z rasą słowiańską, a ulegający w końcu niepokohowanemu popędowi swej cygańskiej natury, jest osią psychiczną dramatu. Rozgrywa się on właściwie w drugim akcie — pierwszy jest rodzajem ekspozycji, której za tło służy żywioł góralski; ostatni jest rozwiązaniem, katastrofą na tle fantastycznych postaci — bandy cygańskiej, przeciągającej nocą pośród skał, tuż w pobliżu Morskiego oka.

Opera rozpoczyna się nadzwyczaj krótką przegrywką, przynoszącą odrazu motyw słowiański, który przez cały akt pierwszy odzywać się będzie. Scena przedstawia łąkę wśród chat góralskich, w głębi Tatry. Smutna zwrotka starej Jadwigi, oplakującej utratę córki, którą, jak to nieco libretowym stylem opowiada: „wziął czarownik cyganem zwan“ — odzywa się pierwsza. Tymczasem dziewczęta wiejskie, zajęte przygotowaniem do dożyneków, wiją wiązki z zieleni i przyspiewują sobie wesoło, znanym już swojskim motywem (zaopatrzonym w trochę nieswojskie w tekście tra-la-la) — rozwija się on następnie we wdzięczny żeński chórek: „Gdy słonecznej tarczy blask“, powtórzony dwukrotnie. Ale spokojną tę scenę przerywa Urok, wpadający nagle na scenę. Jest to, jak libretto opisuje, szpetny, obdarty chłop z wielką rozczochraną głową i podstępniem głupowatym wejrzeniem. Dziewczęta przyjmują go gradem epitetów: sowa, zmija, łotryk, dyabeł sam etc. Pokazuje się jednak, że Urok przybywa w roli pojednawcy między Ulaną, żoną cygana Manru, a starą Jadwigą, jej matką. Lecz gdy matka okazuje się na razie nieprzejednaną, biorą go dziewczęta znowu w obroty i drwią dalej w najlepsze, przyczem znany nam już dobrze pierwszy motyw, wspólnie z dwoma motywami Uroka, dają ruchliwe tło orkiestralne, na którym cały rozhovor Uroka z dziewczętami się odbywa.

W scenie następnej ukazuje się Ulana, której motyw odezwał się już poprzednio, gdy Urok o jej niedoli opowiadał. Chór wita ją drwiącym okrzykiem: Cyganisze cześć! i w tym tonie dalej jej dokuca, aż wreszcie do kresu dochodzi piosnka: „Ledwie księżyc w pełni wstał“ etc. Od tej chwili motyw tej piosnki będzie symbolem porywów cygańskiej duszy, i wiele jeszcze, wiele razy ważną w operze odegra rolę. Urok tymczasem staje w obronie Ulany i nie bez skutku, bo dziewczęta w końcu opuszczają łękę i już zdala dochodzi ich żartobliwa śpiewka. Ulana pragnęła-by teraz matkę przebłagać, przedstawić jej niedolę swą, uprosić jej pomocy, puka więc do drzwi chaty rodzinnej, mimo, że Urok nie spodziewa się wcale niczego dobrego i co chwila złośliwymi uwagami radby ją wstrzymać od tego zamiaru. On wołał-by, aby jedynie jemu zaufała. Ale matka nietylko wyszła z chaty do swej córki, lecz wysłuchiwała ją, a nawet dała się zmiękczyć i już gotowa ją z dzieckiem przyjąć do domu, byle Ulana swego cygana się wyrzekła. „Złam upór, złam! Okiem rzuć toż to domek nasz, twa kołyska w nim tam. Ten próg, te okna znasz...“ Melodya piosnki ludowej, którą znowu usłyszymy w drugim akcie (z ust Ulany usypiającej swe dziecko), daje się słyszeć w orkiestrze. Ale Ulana o rozłączeniu się ze swym mężem nie chce słyszeć, tak, jak matka o przyjęciu jego — włóczęgi „poganina“ — w dom. Do motywów Uroka, Ulany i Matki, na których oparta jest muzyka do całej opisanej sceny, przybywa teraz krótki charakterystyczny motyw bohatera (niespokojna figura rytmiczna z pięciu szesnastek złożona). Orkiestra burzy się i wzdyma w chwili zwłaszcza, gdy Urok Ulanie złą wieść powiada, że cyganie kręcą się gdzieś w pobliżu. „a jeśli tylko przejdą, wnet on (Manru) pomknie w ich ślad“; jednak wszystko daremne, do pojednania matki z córką nie przychodzi. Na scenie pozostaje znowu Ulana z Urokiem, ale jeszcze bardziej złamana, bo i cóż się w dodatku pokazuje? że i ona sama nie jest pewna swego męża, że drży na myśl, iż tam między cyganami jest jakaś pokusa, do której Manru ciągnie. Więc Urok ma ją od nieszczęścia wybawić, bo jako „znachor“ może jej dać taki napój, który serce męża napewno jej powróci. Scena ta przydłuża się nieco, gra motywów puszczona w ruch, postać Uroka tak na wstępie zdyskredytowana tu zaczyna rość; widz nietylko nie dostrzega w nim zapowiedzianej głupoty, ale odkrywa w nim i filozofa wiejskiego, i coś w rodzaju czarownika, i więcej jeszcze: człowieka, który z miłości poświęca się w tak szczytny sposób, że przyrzeka ukochanej, iż czarami swojemi skłoni ku niej serce innego. Zdawało-by mi się, iż w tem miejscu przyjdzie chwila, w której Urok zaśpiewa coś szerszego, serdeczniejszego, co dziwną jego postać uszlachetni w oczach widza; lecz kompozytor, postano-

wiwszy partję tę trzymać czysto deklamacyjnie, ponad krótkie frazy melodyjne, nie powierza mu nic więcej. Scena się kończy, śpiewka dziewcząt wracających daje się słyszeć znowu; niedługo pojawiają się chłopcy, zapowiedziana zabawa zaczyna się. Melodya tatrzańska odzywa się w orkiestrze, świeży powiew górski zdaje się, iż z nią weszedł na scenę, chór rzeżko przyspiewuje, taniec się rozwija w najlepsze. Muzyka ta drga życiem, forma jej, ułożona kształtnie, posiada w swej budowie najwyraźniej nakreśloną część pierwszą i drugą, po których następuje jako trio taniec solowy. Tu pojawia się znowu motyw dawniejszy w połączeniu z nową w operze figurką, znaną z Padarewskiego fortepianowych kompozycji. Ta figurka fletowa, a raczej fujarkowa, ma w sobie coś ze świstu halnych wichrów, to też później w symfonicznym wstępie do aktu III-ciego służy za główny malarski środek. Taniec solowy ładnie pomyślany — tancerz chce wyrwać wiązanek kwiatów z rąk tancerki, wciąż przed nim umykającej — tworzy ładne intermezzo. Dalej powracają główne melodye baletu: pierwsza i druga, a na ich tle chór śpiewa ochocze swe wykrzyki. Chłopcy chcą Ulanę do tańca wciągnąć, choć się wzbrania, jak może. Tymczasem w głębi ukazuje się Manru, szukający Ulany. W interpretacji Bandrowskiego jest to rosły, wspaniały cygan, którego już pierwsze wejście robi przepyszne sceniczne wrażenie. Gdy w obronie Ulany chwytą za potężny drąg i zbliża się do chłopców, nie chcących Ulany wypuścić, nikt się nie dziwi, że odpada im ochota dalszych żartów, i że Ulanę w końcu jej mężowi oddać muszą. Równocześnie jednak we drzwiach chaty ukazuje się matka, i ta właściwie sprawę rozstrzyga, rzucając ponuremi słowy: „Jak zarazy strzeżcie się ich“, rodzaj przekleństwa na córkę swą i jej męża. Muzyka tych ostatnich scen napisana z wielkim temperamentem, idzie wartko i robi wielkie wrażenie. Pierwszy akt rozpoczęty sielankowo i barwnie, lecz w scenach między Urokiem a Ulaną nieco bledszy, tu rozwija się nader efektownie, nie mówiąc już o tem, iż traktowanie zespołu chórów i orkiestry jest wysmienite i to nietylko pod względem scenicznym, ale jako muzyka piękna, bogata i prawdziwie słuchacza podniecająca do oklasków.

Akt II-gi przenosi widza w inną stronę górskiej okolicy. Manru pracuje w swej kuźni, we drzwiach chaty siedzi Ułana i kolyśze swe dziecię. Nowy piękny temat, poważny i ciężki, intonują wiolonczele i kontrabasy, a rytmiczne uderzenia młota im towarzyszą. Z ust cygana wydobywają się gorzkie słowa żalu i tęsknoty za porzucenymi braćmi. Prześliczna, pełna wyrazu melodia: „Ja w tem tu gnieździe, w ciszy tej za życia grób już mam“, płynie w końcu tonami

przejmującej skargi. Bezpośrednio po niej, Ulana się odzywa ze swą jasną, łagodną i sielską kołysanką. Kontrast jest doskonały i silnie działa na słuchacza. Od tej chwili każde słowo tych dwojga ludzi zajmuje go żywo—doszliśmy niewątpliwie do rdzenia dramatu. Manru ulega potrosze wdziękowi Ulany i jej słodkiego głosu, lecz za chwilę napowrót budzą się w nim dawne wspomnienia. Jakże radby on się wydobyć z tej niewoli, a wrócić w świat swój inny i między te kobiety inne, w których wre „ogień i szal“! Tymczasem kołysanka znowu daje się słyszeć. Ale Manru głuszy ją uderzeniami młota, aż znużony opuszcza go z hukiem na ziemię. Uczuwa się śmiertelnie znużonym, mimo to odpycha od siebie Ulanę z misą strawy. Rozmowa z żoną rozdrażnia go coraz bardziej, wreszcie, gdy Ulana z wyrzutem przypomina mu piosnkę: „Ledwie księżyc w pełni wstał, już cygana bierze szal“, dziki gniew go porywa i doprowadza w końcu do tego, że podnosi na nią groźnie zaciśniętą pięść.

Urok niespodziewanie tę scenę małżeńską przerywa. Lecz to wmieszanie się figury ośmieszonej w pierwszym akcie, a tak niemilej, nie robi na widzu dodatniego wrażenia, mimo, że wszystko, co on mówi, ma pretensję do głębokiej ironii, przewyższającej o wiele pojęcie, jakie z pierwszych scen można sobie było wyrobić o Uroku. „Czy nie wiesz, co sprawia cud?—powiada on do cygana—człowieka własny trud. Wiesz ty co ludzi ku zgubie pcha? Ich krew, gdy silną żądzą gra. Bo czary, toż to żart!“ Słuchacz nie zdaje sobie sprawy z tego, do czego dąży Urok, bo sama postać jego tak wstrętna, z góry wyklucza prawdopodobieństwo, ażeby Ulana miała na niego kiedykolwiek zwrócić łaskawsze oko. Ale Urok przecież radby się pozbyć cygana: już mu doradzał raz, aby się powiesił, a teraz zdaje się, że mu co innego urządził. Z lasu dają się słyszeć skrzypce. Manru nasłuchuje ich tonów z widocznym wzruszeniem, Urok z ironią zachwyca się pięknnością gry, Ulana w śmiertelnej obawie czuje, że coś niedobrego się zbliża. „Na Boga, tak gra tylko Erumanel!“—woła Manru i po krótkiej scenie z żoną i Urokiem wypada w stronę, skąd głos skrzypiec dochodzi. Ulana jednak nie traci nadziei: wszak jeszcze pozostał napój, przyrzeczony przez Uroka. Chwila nadeszła stanowcza. Urok daje jej fiaskę, wszelako bez wielkiej wiary w trwałość tej wymuszonej miłości... Z lasu tymczasem Manru sprowadza gościa, tego samego cygana, co to tak ślicznie przygrywał. Jest to stary Jagu, którego Manru niegdyś od stryczka wybawił. Wdzięczność go tu sprowadziła, jak powiada, chciał-by swego wybawcę znowu widzieć na czele bandy, księciem go zrobić, buławę mu oddać i piękną Azę. To imię elektryzuje męża Ulany, obraz znanej mu pięknej dziewczyny zaczyna go w zachwyt wprowadzać. Już gotów

wszystko porzucić, lecz rozpaczliwy wykrzyk Ulany, która całą tę rozmowę podsłuchiwała wspólnie z Urokiem, powstrzymuje go. Jagu musi sam odejść. Muzyka scen powyżej opisanych, po nieco nużącej scenie między Ulaną, jej mężem i Urokiem, już od sola skrzypcowego wznosi się znowu widocznie. Wszedł w nią nowy nerw, słuchacz na nowo się zajmuje losem bohatera, nowe motywy wchodzą ze skrzypkiem, poznajemy w nich cygańskie melodie, charakteryzujące postacie Orosa i Azy, którzy w następnym akcie się ukażą. Urok usunięty na drugi plan (szkoda, że w wykonaniu lwowskiem bardzo zresztą starannem, podsłuchiwanie nie jest dość szczęśliwie uscenizowane) wtrąca się już pomiędzy małżeństwo mniej. Tu najpiękniejsze karty partytury następują: Manru śpiewa porywającą pieśń:

Nie włóczę się, mnie wiedzie los!
 Jak wiatrem popędzany liść,
 Ja muszę ciągle naprzód iść
 Skąd chęć? Gdzie cel?
 Ja nie wiem sam, lecz muszę iść.
 Wiosenna rozkosz kipi, wre,
 Brzmia śpiewy ach przepięknie,
 Szał aż rozsadzić serce chce,
 O mało pierś nie pęknie!

Tu już nie orkiestra i nie kombinacja motywów do słuchacza przemawia, tu śpiewak wprost melodyą swoją wypowiada to, co czuje, i robi wrażenie ogromne. Strwożona Ulana wie, że na chwilę odniosła zwycięstwo, i że co prędzej trzeba napój miłosny podać małżonkowi. Na szczęście Urok odchodzi i scena ta następuje przy wyrafinowanej ilustracji orkiestrowej. Motyw miłosny rozśpiewał się w instrumentach na dobre: napój widocznie skutkuje. Manru wreszcie czarem owładnięty zwraca swe serce ku Ulanie coraz widoczniej, śpiewa do niej pieśń miłosną (powtarza zwrotkowo, co jest jednak podobno pomysłem tenorzysty Antesa w Dreźnie) w końcu, gdy już motyw główny wyczerpał się prawie, a orkiestra za pomocą plastycznej rytmiki odmalowała wzmagające się bicie serca kochanków, recte małżonków, wybucha duet miłosny w żywym tempie, pełen temperamentu i ognia. Frazy melodyjne rozbiegają się i łączą w całość, kompozytor nie wstydzi się nawet zespolić głosów w śpiew równoczesny, słowem duet, duet najformalniejszy kończy ten akt, a właściwie kończy go postludium orkiestralne namiętne i burzliwe, podczas którego para miłosna pada sobie w objęcia. Ale orkiestra nie ma wcale ochoty odpoczywać—teraz rozpocznie się wielka popisowa praca, miano-

wicie wstęp do aktu III-go i „Symfonia księżycowa“. Wstęp jest obrazem prawie programowym, lecz napisanym bardzo jasno, tak, że wszelkie komentarze są tu zupełnie zbyteczne. Motyw tatrzański, znany nam już z pierwszego aktu, daje się pierwszy słyszeć, alew tak charakterystycznej przemianie, że słuchacz nie wątpi ani na chwilę, co ma przed sobą. Te zwiększone trójgłosy, te pochody chromatyczne, uderzenie tamtamu i czyneli, ta wreszcie rytmika pełna niepokoju, łomocząca się w najrozmaitszych odcieniach dynamicznych, dochodzących do krańcowej już siły, to oczywiście—burza szalejąca po Tatrach. A gdy na chwilę cichnie, to znowu wyłaniają się motywy Orosa i Azy, niby cienie jakichś duchów błakających się wpośród tej groźnej pierwotnej natury. O prostszą symbolikę muzyczną zaiste trudno. Paderewski, również jakby z więzów dramatu na wolność puszczony, rozszał się tu, a choć cały wstęp jest także na danych motywach oparty, jak wszystko inne, to jednak wziął w rękę tak szeroką miarę, tak wielki rozmach, tyle jaskrawych barw instrumentalnych, że stworzył rzecz porywającą, pod względem pomysłu i techniki mistrzowską. Lecz nie koniec jeszcze na tem. Oto zasłona się podnosi, a orkiestra dalej jeszcze nie chce się wyrzec swej roli samodzielnej. Scena przedstawia skalisty wąwóz z widokiem na Morskie Oko, oświetlony księżycowym światłem. Chmury przesuwają się żywo, widocznie układają się do spokoju po burzy. Manru porzucił dom i rodzinę, a gnany niepokojem szuka wytchnienia wśród samotnych skał.

Napój pozostawił już tylko górączkę, miłość do Ulany uszła niepowrotnie. Znużony i wyrzutami sumienia gnębiony, pragnie zasnąć, i w końcu to mu się udaje. Ale sny go trapią: przez biedną jego głowę przesuwają się wspomnienia wszystkich dopiero co zaszłych wypadków, czyli, mówiąc inaczej, orkiestra rozpoczyna nową grę, rozwijającą się na tle motywów aktu drugiego. Tu wreszcie nadchodzi żywa ilustracja piosnki: „Ledwie księżyc w pełni wstał, już cygana bierze szal“, gdyż ile razy księżyc na scenie w pełnym świetle się ukaże, tyle razy orkiestra powtarza motywy cygańskie, a Manru rzuca się we śnie niespokojnie. W końcu księżyc zwycięża i oświeca swem jasnym światłem góry, lasy i jezioro. Teraz już cała powódź cygańskiej muzyki zalewa słuchacza. Najpierw z za sceny odzywa się nawoływanie o charakterystycznej sekundzie zwiększonej, a następnie daje się słyszeć marsz cygański zwolna zbliżającej się bandy. Tymczasem Manru, wyczerpany walką, ale już z postanowieniem w duszy, zerwał się ku światłu księżycy, lecz na pół omdlały legł znowu na kamieniu.

Marsz wzmagający się w coraz większe forte doszedł już do tria i tu w jasnej tonacyi c-dur, przy oryginalnym trzytaktowym rytmie, łączy się z chórem. Cygani napełniają scenę i piękna Aza ukazuje się wraz z nimi. Ona rozpoznaje w omdłym swego dawnego wodza, Manru. Ale cyganie nie chcą go przyjąć jak swego: „Kto z białymi za pan brat, przeklęty jest“ — wołają — powtarzając to przekleństwo z zaciekłością. A najtwardszy z nich Oros, bo wie, co go czeka, gdy raz Manru z cyganami się złączy — odbierze mu buławę i Azę. Ta jednak nie daje za wygraną, drwi z Orosa, a kokietuje zawzięcie zbiega. Uderza w tamburyn, a razem z jego rytmicznymi uderzeniami odzywa się śpiewka cygańska, której motyw już w poprzednim akcie jako motyw Azy występował. Najpierw ona tę piosnkę śpiewa sama, następnie chór cały ją odbiera. Muzyka wybornie maluje zapał ogarniający wszystkich. Zapał ten w szal się zmienia, gdy piosnuka przechodzi w taniec, w którym Aza prym wiedzie. Manru oszolomiony poddaje się. Ale Orosowi niepodoba się to i tem sroższym staje się dla odstępcy. Tłum również złem okiem na niego patrzy; dopiero, gdy spostrzega, że to zazdrość i obawa główną są przyczyną zawziętości Orosa, przechodzi powoli na stronę Azy i jej nowego kochanka. „Przebac“ — woła — „Manru, tyś nasz“! Na to Oros rzuca buławę i wychodzi, grożąc zemstą kochankom. W miejsce jego obierają cyganie swego marnotrawnego brata i mają ruszyć w dalszy pochód, lecz Manru się waha. Więc wytaczają na niego najsilniejszą broń, przed której mocą każdy prawy cygan uleść musi. Stary Jagu bierze w ręce skrzypce, a muzykanci rzną od ucha w cymbalki — Manru pokonany. Serce mu stopniało, bo też aż trzęsie się wszystko od tych z pod serca wydobytych tonów. Scena świetna: ansambl o wspaniałem brzmieniu orkiestry, chórów i solistów, drga pełnią muzyki jędrnej i ogromnie efektownej, jakkolwiek w granicach szlachetności i powagi utrzymanej. Przy tonach znanego już marsza odchodzą cygani, a na ich czele Manru, trzymający w objęciach swych Azę. Teraz na scenie pojawia się Ulana z nieodstępnym Urokiem. Szukają zbiega gorączkowo. Ulana woła z rozpaczą, zaklinając, aby wrócił. Zgnębiona do ostatka, widząc, że żadna siła nie powróci jej ukochanego, rzuca się w głębinę jeziora. Urok nie umie jej uratować, więc tylko nadzieją zemsty się pociesza. Lecz tam na skale czeka w ukryciu Oros i ten już o zemście pomyślał. Gdy Manru na czele pochodu zbliża się ścieżką ku niemu, on porywago za ramiona i strąca w przepaść, wołając do Azy: „Ot masz go tam!“... Na tem opera się kończy.

W tem zakończeniu uderza błąd, popełniony przez librecistę, który zamiast Urokowi zemstę pozostawić, każe ją wykonać Orosowi. Spotyka w tem widza zawód. Gdy bowiem przez cały wieczór ocze-

kiwało się jakiegoś czynu Uroka, to przy końcu jego bezsilne odgrazanie się, a nawet i rozpacz po utracie Ulany, nie mogą wzruszyć nikogo. Zdawało się przecież, że to jego podstępne zachowanie się będzie wreszcie czemś uwieńczone. Tymczasem co się okazuje? Że cała postać, nie schodząca prawie ze sceny w dwóch pierwszych aktach, niepotrzebnie nas swym widokiem prześladowała; jeżeli tedy należy do głównych, to za uboga jest w akcyę, jeżeli do epizodycznych, to stanowczo za wiele jej dano do czynienia. Być może, iż w Dreźnie w grze takiego Scheidemantla, Urok zajmował słuchaczy i temu zapewne przypisać należy zdanie krytyki z „Allg. Musik Zeitung“, iż postać ta więcej zajmuje, niż bohater tytułowy. We Lwowie stało się inaczej: Manru w interpretacyi Bandrowskiego wszystkie inne postacie usunął na drugi plan. Przypatrzwszy się jednak nieco bliżej, nie trudno osądzić, co jest naprawdę brakiem w wykonaniu, a co błędem w budowie dzieła. Swoją drogą, opera przy wysokiej swej piękności nie cierpi do tego stopnia na tym błędzie libretta, a tem mniej na innych drobniejszych, żeby to miało zachwiać jej powodzenie.

Szczegółami czysto literackimi libretta nie mam powodu się zajmować. Paderewski napisał ją do oryginalnego niemieckiego tekstu, d-ra Nossiga, dość w Niemczech ganionego, zwłaszcza za pretensjonalną nazwę *Dichtung*. We Lwowie widzieliśmy ją w polskim przekładzie w warunkach bardzo niekorzystnych. Gdy się ma tylko małe pojęcie o tem, jakiej łączności słowa z dźwiękiem wymaga tematyczna muzyka operowa, to już i dziwić się nie można, że pośpiesznie dokonany przekład musi dużo usterek zawierać. Będą też one w przyszłości niewątpliwie usunięte. W gruncie rzeczy i to nie wpłynęło ani odrobinę na powodzenie opery, gdyż plan całości, co dla efektu ogólnego najważniejsze, jest niezaprzeczenie bardzo dobry: ułożenie akcyi oraz środków wokalnych w pewne grupy równoważące się, stopniowanie efektów muzycznych, dramatycznych i dekoracyjnych, a przedewszystkiem udatność postaci głównej.

W operze, jak to przy opowiadaniu treści usiłowałem zaznaczyć, dał Paderewski, obok muzyki malującej, muzykę śpiewającą: szeroką, pełną i ciepłą. Jakkolwiek noszą one obie piętno jednej i tej samej artystycznej ręki, to jednak wyznaję, że podziw mam dla pierwszej a serce dla drugiej. Nie różnię się w tem zresztą z całą publicznością, tylko że ona zapewne uczuwa to jeszcze żywiej, gdyż, jak sądzę, subtelności tematyczne nawet przy jawnym stylu Paderewskiego tylko dla pewnej jej części mogą być we wszystkich swych szczegółach przystępne.

O wykonaniu opery i jej powodzeniu pragnę też kilka słów powiedzieć. Przygotowana przez dyr. Pawlikowskiego z wielkiem, już nie dyrektorskiem, ale obywatelskiem poświęceniem, otrzymała ona szatę zewnętrzną godną dzieła. Jeżeli może tu i owdzie były w obsadzie pewne braki, to już z pewnością bez winy dyrekcji. Operą dyrygował kapelminstrz Spettrino, a z pomiędzy wykonawców na szczycie artyzmu stanął Bandrowski, poprostu wspaniały Manru, zarówno pod względem charakteryzacji i gry, jak pod względem śpiewu, we wszystkim pomysłowy, energiczny, wyrazisty, a przytem taki prosty i szczery. Powodzenie opery było bezwzględnie ogromne. Świadczy o tem do dziś dnia sala teatralna ciągle szczelnie publicznością zapełniona.

Ale gdy mowa o powodzeniu opery „Manru“, ja myślę wracam wciąż do owej przesłicznej owacyi, opisanej na wstępie. Z myślą tą powraca i kwestya na wstępnie poruszona. Czy „Manru“ jest tą oczekiwaną operą polską? czy zaprowadzi sztukę naszą na te szerokie europejskie szlaki?..

Jako dzieło wielkiego talentu i wysokiej kultury artystycznej, doświadczenia i natchnionej pracy, dzieło, w którem kompozytor zdołał uniknąć pewnych ujemnych cech naszej twórczości operowej, a stanął na wyżynie muzyki nowoczesnej, przytem scenicznie tak barwne, musi przejść wszystkie sceny. Stało-by się to nawet i bez pomocy imienia Paderewskiego. Czy to będzie pochód tryumfalny, jeden z tych, do jakich on, jako wirtuoz, nawykł, tego dziś niepodobna rozstrzygać. Ale sam fakt wystawienia opery przez pierwszorzędne teatru (Kolonia, Praga i Peszt już poszły w ślad Drezna, nabywając prawo wystawienia, a dla Ameryki organizuje się umyślna trupa) wystarcza, abyśmy to za pierwszy sukces polskiej opery uważali. Sukces ten wywoła niewątpliwie ruch na tem polu większy, niż dotychczas, i wzbudzi za granicą zainteresowanie i wiarę większą dla jej innych utworów.

STANISŁAW NIEWIADOMSKI.

Epilog Stanów galicyjskich.

I.

Ostatnie sesye sejmu stanowego.

W chwili rozszerzenia swojego panowania na Galicyę monarchia Habsburgów znajdowała się w końcowej fazie procesu dziejowego, u kresu przekształcania się na scentralizowane państwo absolutne, pochłaniające wszystkie urządzenia polityczne, w których poszczególne kraje tego wielkiego konglomeratu państwowego posiadały rękojmię pewnej odrębności. Padły ofiarą tego procesu przedewszystkiem główne czynniki dawnego ustroju stanowo-konstytucyjnego, dawne sejmy ziemskie, które odtąd utrzymały się już tylko „jako—mówiąc słowami prof. Balzera¹⁾—szczątkowy zabytek średniowiecznych urzędzeń państwa stanowego, bez istotnego wpływu na rozwój życia publicznego, bez powagi i znaczenia nie tylko wobec rządu, ale i w społeczeństwie samem, jako martwy kształt rzeczy niegdyś żywotnej, z której uleciał duch dawniej ją ożywiający. Wobec tego zrozumieć łatwo, dlaczego w niektórych krajach, świeżo przez Habsburgów nabytych, lub w niektórych innych odzyskanych po chwilowej utracie w czasie wojen napoleońskich, ani rząd nie śpieszył się z wprowadzeniem urzędzeń sejmowych, ani też społeczeństwo tamtejsze zbytnio na to nie nastawało.“. Najmniej zapewne zależało na tem społeczeństwu polskiemu świeżo nabytego kraju, chociaż dostawał się on właściwie królowi Węgier z tytułu „ewindykacyi“, a Węgry umiały do ostatka oprzeć się centralizacyjno-absolutnym aspiracyom Habsburgów, przetrwały ów na wstępie proces dziejowy ze stosunkowo nieznaczny tylko uszczerbkiem dla swojej odrębności, a przedewszystkiem swojego sejmu, z którym liczyć się musieli i liczyli Habsburgo-

¹⁾ Oswald Balzer „Historya Austrii“, Lwów, 1899 str. 351.

wie, nawet później za czasów cesarza Franciszka, kiedy ogólna martwość konstytucyjna zaległa wszystkie inne kraje, podległe berłu Habsburgów.

Mimo to jednak, niedługo czekała Galicya na wątpliwe uszczęśliwienie konstytucją stanową nowego pokroju austriackiego, albo raczej na bolesne przypomnienie za pomocą tej konstytucyi, że między niedawną przeszłością a teraźniejszością rozwarła się przepaść niezmierną. Już w r. 1775 bowiem nadano jej tę wrzekomą konstytucję, którą potem pozornie rozwijano, a właściwie z nieznacznymi zmianami odnawiano dwa razy (w roku 1782 i 1817), a raz (1787 roku) terytoryalnie rozszerzono wskutek przyłączenia Bukowiny do Austrii i połączenia nowej prowincyi z Galicyą w jedną całość administracyjną.

Jeżeli dla innych krajów austriackich nowe sejmy stanowe miały tylko znaczenie szczątkowego zabytku dawnych urzędzeń, słabej reminiscencyi dawnej świetności, to społeczeństwo polskie w Galicyi, jeszcze niedawno zażywające w całej pełni swobody życia publicznego, jeszcze niejako roznamiętnione gorączkowem życiem sejmikowem i sejmowem, uważać musiało nowy ustrój za formalną karykaturę urzędzeń konstytucyjnych. Karykaturalnem było już samo zaprowadzenie w Galicyi tytułów urzędniczych z innych krajów koronnych (wielki mistrz sokolnictwa, strażnik sreber koronnych i t. p.), gdzie tytuły te, jako zbytek świetniejszej przeszłości, miały przynajmniej znaczenie historyczne i z tego powodu były zrozumiałe, kiedy tymczasem społeczeństwu polskiemu, nieznającemu nawet historycznej genezy całej tej tytulatury, wydać się ona musiała dziwną, wprost śmieszną. Także i sama gradacya stanów była dla społeczeństwa polskiego w Galicyi niezrozumiałą. Pierwotna terezyańska (cesarzowej Maryi-Teresy) ordynacya przyznała udział w sejmie trzem stanom: magnatom (panom), do których zaliczali się wszyscy książęta, hrabiowie, baronowie, płacący z dóbr swoich roczny podatek 75 zlr. oraz arcybiskupi, biskupi i prałaci, stanowi rycerskiemu obejmującemu szlachtę z takim samym rocznym podatkiem oraz nienależących do pierwszego stanu prałatów i kanoników katedralnych, wreszcie posłom miejskim z większych miast, z których jednak na razie dopuszczony był sam Lwów tylko. Druga z rzędu, józefińska (cesarza Józefa II) ordynacya, nie zmieniła tego podziału, lecz tylko ścięsniała udział duchowieństwa, które za to w trzeciej z kolei ordynacyi z r. 1817 (cesarza Franciszka I), wyniesione zostało na stanowisko osobnego pierwszego stanu i reprezentowane być miało w sejmie przez arcybiskupów, biskupów, opatów, infulatów, specjalnie przez cesarza powołanych, i deputatów kapitulnych (dwóch z lwowskiej la-

cińskiej i po jednym ze wszystkich innych kapituł). W bliższe szczegóły organizacyjne nie wchodzimy tutaj, bo temat nasz nie obejmuje monografii Stanów galicyjskich, lecz tylko ich epilog, a dla ścięśnionego w ten sposób tematu wystarczą już powyżej podane urywkowe daty. Chyba o jednej jeszcze dacie wspomnieć wypada dlatego, że niejako nasuwa ona najzwięźlejszą charakterystykę położenia społeczeństwa polskiego w austriackiej organizacyi stanowej. Cesarz Franciszek I zaprowadził kuso z austriacka przykrojone uniformy stanowe! Wyobraźmyż teraz sobie wojewodę lub kasztelana, przebranego z zamaszystego kontusza w kusy frak stanowy, a będziemy mieli wierny obraz położenia. Prężył się i trzeszczał we wszystkich szwach swoich ten kusy fraczek czy kubraczek niemiecki na barczystej postaci sarmackiej tak, że o ruchu swobodnym mowy nie było. Ależ bo organizacya sejmu stanowego obliczona była na nieruchomość, formalną martwość, urozmaiconą chyba tylko czczym ceremoniałem otwarcia i zamknięcia sesyi z przemówieniami, w których napuszysty frazes zasłaniał brak treści, brak wszelkiej szczerości. Na szczęście w ów kusy kubraczek włąziła barczysta postać sarmacka bardzo rzadko i na czas bardzo krótki. Sejm bowiem nie zgromadzał się corocznie, a sesye trwały zawsze krótko. Na cóż zresztą miano czas tracić, skoro rozprawać woluo było tylko o drobiazgach, a rzecz główna, postulaty podatkowe rządu, należało wysłuchać z pokorną uległością, jako fakt dokonany. Nie było więc nad czem rozprawać, a że nikomu nie zechce się śmielszą inicjatywą lub chociażby tylko śmielszem słowem przekroczyć ciasnego zakresu sejmowego, na to rękojmię pewną stanowił fakt, że gubernator stał na czele sejmu i jego wydziału wykonawczego.

W całej historii powstania i rozwoju Stanów galicyjskich była jednak chwila, kiedy zdawało się, że Galicya zdjęta zostanie z Prokustowego łoża terezyańsko-józefińskich urzędzeń konstytucyjnych i otrzyma ustrój, zbliżający ją pod względem stanowiska politycznego w rzędzie krajów habsburskich do Węgier, a nadto zapewniający społeczeństwu polskiemu warunki życia i rozwoju narodowego przez pewne wyrównanie tej przepaści, jaką pierwsze rządy austriackie wytworzyły między przeszłością i terażniejszością. Nadzieje te powstały z chwilą wstąpienia na tron cesarza Leopolda II, i przybrały wyraziste kształty w formalnym projekcie przedłożonym przez deputacyę galicyjską nietylko za wiedzą, lecz nawet z upoważnienia tego monarchy (Charta Leopoldina ¹⁾). Krótko trwały te nadzieje, bo ze

¹⁾ Dr Stanisław Starzyński „Projekt konstytucyi galicyjskiej z 1790;“ „Charta Leopoldina“, Lwów, 1893.

śmiercią przedwczesną cesarza Leopolda rozerwały się wogóle wszystkie widoki, łączone z jego osobistymi intencjami, które co do Galicyi niezawodnie były przychylne. Memoryał deputacyi galicyjskiej, w którym istniejące wówczas Stany nazwane zostały „cieniem istoty w rzeczywistości unicestwionej“ t. j. narodu“, spoczął w archiwum państwowem bez pozostawienia jakiegokolwiek śladu w późniejszych zarządzeniach rządu wobec Galicyi. Tradycye terezyańsko-józefińskie zatrzymały nadal powagę, a rokowania deputacyi galicyjskiej z cesarzem Leopoldem pozostały epizodem bez wszelkich konsekwencji. Epizod ten, ze względu na brak konsekwencji, genezę swoją w Warszawie i związek ścisły z warszawskimi planami aliensowemi w czasie sejmu czteroletniego, o czem bliższe szczegóły czytelnik znajdzie w dziele ks. W. Kalinki, zajmuje w historii Stanów galicyjskich stanowisko faktu zupełnie odosobnionego.

Historya Stanów galicyjskich właściwie dotąd nie jest napisana, chociaż, jak wogóle cała historia pierwszego okresu rządów austriackich w Galicyi, stanowi temat aktualny i zasługujący na osobne studyum, zwłaszcza teraz, gdy dostęp do źródeł archiwalnych nietylko jest możliwy, lecz w danej chwili nawet ułatwiony. Temat ten może po tem wszystkim, cośmy powyżej zaznaczyli, wydać się niepojętym, ale gdyby nawet tak było, pominięty być nie może, jeżeli o wyborze tematów nie ma rozstrzygać przedylekcyja autorska, lecz rzeczywiste potrzeby nauki. A zresztą niema w naszej historii ze schyłku XVIII i z całego XIX wieku tematu, który-by nazwać można niepojętym, jeżeli się rzecz bierze ze stanowiska interesu historycznego, a przede wszystkim ze stanowiska potrzeby ścisłego zebrania i ugrupowania wszystkich szczegółów, które w całości złożyć się mogą na pełny obraz życia i rozwoju społeczeństwa polskiego wśród zmienionych w tym okresie czasu warunków bytu i urządzeń politycznych. Takich szczegółów znajdzie się wiele w adresach i urzędowych protokołach galicyjskiego sejmu stanowego, gdyż, bądź co bądź, był to w długim okresie czasu jedyny organ reprezentacyjny kraju, była to jedyna droga, na której z kraju do tronu i do władz centralnych dobić się mogły życzenia, aspiracye i wnioski obywatelstwa galicyjskiego. I stać się to mogło nie we wszystkich sprawach i kwestiach, bo w sejmie i wydziale stanowym przewodniczącym, albo raczej, biorąc na uwagę ówczesne stosunki polityczne i cały sposób sejmowania, arbitralnym kierownikiem obrad i prac wogóle był każdoczesny gubernator, stać się to mogło nie w formie tak jasnej i otwartej, w jakiej występują enuncyacye tego rodzaju w dzisiejszych ciałach reprezentacyjnych; lecz tylko nieśmiało, w tonie na pozór dziękczynnym lub jawnie błagalnym, a czasem za pomocą do

myślników, niejako za pomocą przemytnictwa politycznego, ale komu znane są stosunki danej chwili, ten i takie dokumenta odcyfrować potrafi.

W szkicu tym, nie roszczącym sobie pretensyi nawet do fragmentu takiej źródłowej i wyczerpującej pracy o Stanach galicyjskich, jaką powyżej mieliśmy na myśli, chodzi tylko o końcowe sesye galicyjskiego sejmiku stanowego, tylko o epilog Stanów galicyjskich. Budzi on szczególny interes z dwóch powodów. Najpierw bowiem jest on bardzo ważny dla historyi uwłaszczenia włościan w Galicyi, a powtóre łączy się ściśle z historyą współczesną Galicyi nietylko dla tego, że uwłaszczenie to, zasadniczo orzeczone już w pierwszej połowie XIX stulecia, dokonało się, biorąc na uwagę przeprowadzenie całej indemnizacyi i wykupna służebności, dopiero w drugiej jego połowie, lecz także z tego powodu, że to samo pokolenie obywatelstwa galicyjskiego, które patrzyło na epilog Stanów galicyjskich i w epilogu tym główną rolę odgrywało, w kilkanaście lat później w znacznej części położyło podwaliny pod dzisiejszy ustrój konstytucyjny kraju, a poniekąd i państwa. Zachodzi więc między temi obu okresami związek podwójny. W jednym i drugim spotykamy się z kilku sprawami wielkiej wagi dla kraju w dwóch odmiennych fazach ich rozwoju i rozwiązania, w jednym i drugim spotykamy się z nazwiskami tych samych działaczy w dwóch odmiennych konstellacyach i na dwóch odmiennych widowniach ich pracy publicznej. To też temat tak ujęty nietylko najwięcej budzi zajęcia, lecz, co ważniejsza, najlepiej służy tym ważnym zadaniom, jakie historya współczesna spełniać powinna w programie wykształcenia politycznego tam, gdzie, jak w Galicyi, istnieją warunki pełnego życia politycznego.

*

*

*

Skoro piszemy tylko o epilogu Stanów galicyjskich, to z porządku rzeczy wypada przedstawić czytelnikowi, jak wygląda sprawozdanie z ostatniej, epilogowej, w ścisłym tego słowa znaczeniu, sesyi sejmiku stanowego (z r. 1845). Jest to broszura o 75 stronicach¹⁾, drukowana w swoim czasie w małej liczbie egzemplarzy, niejako tylko dla domowego użytku ściślejszej rodziny stanowej, więc obecnie sta-

¹⁾ Czynności sejmiku w Królestwach Galicyi i Lodmeryi w dniu 15 września 1845 r. zagajonego, a zamkniętego w dniu 27-y tegoż miesiąca i roku.

nowiącej już rzadkość bibliograficzną, nieznaną nikomu, kto nie zagląda do publicznych lub prywatnych zbiorów archiwalnych.

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas! Tę dewizę można-by dziś napisać na czele publikacji, o której mowa. Szczegóły, które z niej przytoczymy dla uzasadnienia tego twierdzenia, posłużą zarazem za ilustrację uwag, któreśmy na wstępie o organizacyi Stanów wogóle wypowiedzieli.

Panieważ sprawozdanie drukowane jest w dwóch tekstach, niemieckim i polskim, więc na streszczenie całej działalności prześwietnych, czy wysokich Stanów, która w r. 1845 była wydatniejszą niż w latach poprzednich, przypada połowa wszystkich stronic, czyli 37½. Gdybyż przynajmniej sprawozdanie to było treściwe i zwięzłe! Tymczasem jest tam tyle szumu ceremonialnego, tyle rozwlekłości etykietalnej, tyle wreszcie napuszystości i amplifikacyi tytularnej, że na dobrą sprawę wystarczyło-by to może nawet dla—korteżów hiszpańskich! Że w takim składzie rzeczy na treść właściwą przypada tylko czwarta, a najwyżej trzecia część całego tekstu, to rzecz oczywista. W dzisiejszych czasach sprytny reporter parlamentarny, przyzwyczajony w sejmie do streszczania w jednym numerze dziennika rozpraw nad kilkunastu, lub, jak to bywa na schyłku sesyi, nad kilkudziesięciu sprawami krajowemi, mógł-by całej takiej sesyi sejmu stanowego poświęcić zaledwie kilkadziesiąt wierszy.

Początek naszego sprawozdania (11½ stronic) wypełnia imienny spis członków sejmu. Na czele po osławionym w r. 1846 prezydencie gubernialnym, baronie Krieg-Hochfelden, wymienieni są dostojnicy koronni w takim porządku: Wielki strażnik sreber koronnych (*Obristlandsilberkämmerer*)¹⁾, Leon książę Sapięha, wicemarszałek koronny, Tadeusz Chochlik z Wasilewa Wasilewski, miecznik koronny (*Landeschwerträger*), Aloizy Borkowski, krajczy koronny (*Landesvorsneider*), Kazimierz Badeni. Mniejsza o dokładne przetłómaczenie tych tytułów, gdyż stanowią one oczywiście czczą formalistykę. Nie było przecież nigdy żadnych sreber koronnych, na których straży postawiony został Leon ks. Sapięha, Borkowskiemu nie przypadł do dźwigania żaden miecz koronny, Badeni byłby w wielkim kłopotcie, gdyby wypadło mu odpowiedzieć na postawione z nienacka pytanie, jak się właściwie rzecz ma z imputowanem mu przykrawywaniem, wreszcie marszałkowstwo Wasilewskiego było także tylko frazesem

¹⁾ Prof. Balzer tłómaczy ten wyraz (l. c.), wielki ziemski komornik argenteryi.

od parady. Każdy z tych dygnitarzy musiał-by być dopiero studyować austriackie prawo polityczne w jego historyczno-prowincjonalnym rozwoju, jeżeli-by chciał być autentycznie dowiedzieć się, jakim, nie urządzeniom aktualnym, lecz już zamierzonym tradycjom innych prowincyi austriackich odpowiada jego egzotyczne dostojęństwo.

Po urzędnikach koronnych idą członkowie ze stanu duchownego (arcybiskupi, biskupi i deputowani kapituł) razem z rektorem uniwersytetu lwowskiego, a potem członkowie ze stanu magnatów (panów), książęta, hrabiowie i baronowie. Spotyka się w tym drugim stanie szereg nazwisk dziś już historycznych, w dziejach Galicji na zawsze dobrze zapisanych, lub nawet opromienionych aureolą niespożytych zasług obywatelskich. Wymieniamy kilku członków sejmu stanowego tej miary: Leona księcia Sapiełę, poprzednio już wymienionego pomiędzy wrzekomymi dostojnikami koronnymi, którego jednak nie to dostojęństwo, lecz późniejsze, kilkunastoletnie marszałkowstwo w sejmie autonomicznym i twórcza, szeregiem wielkich a trwających dzieł uwieńczona inicjatywa na polu ekonomicznego odrodzenia kraju, zapisały we wdzięcznej pamięci późniejszych pokoleń; dalej Agnora hr. Gołuchowskiego, późniejszego, a niedoścignionego w tej roli, Namiestnika Galicji i ministra stanu, i na tem ostatniem stanowisku na zawsze w historii konstytucyi austriackiej chlubnie zapisanego jej inicjatora przez wydanie t. zw. dyplomu październikowego (1860 r.); Aleksandra hr. Fredrę (komedyopisarza); Kazimierza hr. Krasińskiego, późniejszego długoletniego, a zasłużonego prezesa Towarzystwa kredytowego ziemskiego itd.

Stan rycerski zastąpiony jest przez 93 członków, między którymi także wielu jest takich, którzy w późniejszej dobie życia autonomicznego zapisali się w pamięci kraju niepospolitemi zasługami, jak na przykład Badeni Władysław, Batowski Aleksander, Borkowski Włodzimierz, Kraiński Maurycy, Krzczunowicz Kornel, Podlewski Waleryan, Skrzyński Ludwik, Zaleski Wacław (późniejszy gubernator Galicji i pierwszy Polak na tem stanowisku, znany nadto w historii naszej jako Wacław z Oleska) itd.

Zamyka się wreszcie poczet stanowych deputatów z roku 1845 niepolskimi nazwiskami dwóch reprezentantów miasta Lwowa (Tomanek i Terenkoczy), w którego zarządzie municypalnym w owych czasach żywił napływowy jeszcze przodującą odgrywał rolę.

Śladu oczywiście niema o tym milionowym stanie, który dziś w życiu publicznem Galicji na przednie stanowisko się wysuwa, o sta-

nie włościańskim, wówczas jeszcze wobec stosunku pańszczyźnianego upośledzonym społecznie, więc i politycznie.

A teraz przytoczymy z urzędowego sprawozdania dosłownie wstęp, brzmiący jakby żywy jeszcze odgłos tych czasów, kiedy Stany odgrywały swoją wielką rolę historyczną:

„Jego Królewiczowska Mość Najdostojniejszy Aryksiążę Ferdynand Karol Austryacko-Esteński, c. k. Marszałek polny, cywilno-wojskowy generalny gubernator tych królestw, jako pierwszy królewski komisarz sejmowy w towarzystwie drugiego królewskiego komisarza sejmowego, Leona księcia Sapiehy, wielkiego strażnika sreber koronnych, i trzeciego królewskiego sejmowego komisarza, Franciszka Niezabytowskiego, byłego deputata honorowego Stanów, odbył o 10½ wjazd uroczysty, a powitany przy wejściu do sali przez Jego Ekscelencyę barona Krieg de Hochfelden, c. k. rzeczywistego tajnego radcę, Prezydenta rządów krajowych i Prezesa Stanów oraz przez dygnitarzy koronnych, zasiadł na przygotowanem dla siebie miejscu, rozkazał odczytać po niemiecku i po polsku najwyższe reskrypta i miał mowę, po której wydane do królewskich komisarzy sejmowych najwyższe instrukcyje w obudwóch językach były odczytane. Wspomniane dopiero najwyższe reskrypta i instrukcyje brzmiały, jak następuje:

Ferdynand Pierwszy, z Bożej łaski Cesarz Austrii i tam dalej, i tam dalej.

Najdostojniejszy Królewiczu, miły Nam wierny! Z ważnych i dobra powszechnego dotyczących się przyczyn uchwaliliśmy zwołać w Naszych Królestwach Galicji i Lodomeryi Sejm powszechny, który dnia 15 września 1845 w Naszem królewskim mieście Lwowie odprawiać się będzie. A gdy takim jest najłaskawsze życzenie Nasze, aby Nasze królewskie propozycyje przedłożone były przez osobnych od Nas mianowanych komisarzów sejmowych, na ten więc następujący Sejm przez szczególne zaufanie, które w Osobie Waszej pokładamy, postanowiliśmy Was pierwszym, Naszego Wielkiego strażnika sreber koronnych Leona księcia Sapiehę, drugim, a Franciszka Niezabytowskiego trzecim komisarzem sejmowym mianować. Spodziewamy się więc po Waszej uległości ku Nam i po gorliwości Waszej o dobro powszechne, że wywiódlszy się niniejszym najłaskawszym reskryptem Naszym, jako dostojęństwo c. k. komisarza Naszego podczas następującego Sejmu piastujecie, postąpićie podług dalszych Naszych przepisów i uprawdliwicie to zaufanie, którego niniejszem Wam dowód dajemy. Wreszcie zostajemy Wam z Naszą cesarsko-królewską łaską zasse życziwymi. Dan itd.“

Wspomniana w reskrypcie cesarskim instrukcyja dla komisarzy tak opiewa: „Naprzód wezmą pod dojrzałą rozagę punkta niniejszą instrukcyą objęte, potem od wiernych i posłusznych Stanów Naszych w dniu oznaczonym zgromadzonych zwykłego wstępu żądać będą, a porozumiawszy się z nimi w tej mierze, do ich grona udadzą się i wręczą im Nasz list wierzytelny, oświadczając Naszą cesarsko-królewską łaskę i Nasze najwyższe upodobanie z powodu ich wiernego i posłusznego zebrania się na sejm zgromadny. Nadto oznajmią c. k. komisarze Naszym wiernym i posłusznym Stanom, że najlaskawiej postanowiliśmy wierne Stany Królestw Galicyi i Lodomeryi, wraz z Bukowiną, podobnie, jak inne prowincye, uwiadomić o Naszych królewskich postulatach. Nareszcie ci cesarsko-królewscy komisarze oznajmią Naszym wiernym i posłusznym Stanom Nasze najlaskawsze w tej mierze postanowienia, jak następuje: Kierowani życzeniem ulżenia poddanym Naszym w ciężarach tyle, ile się to tylko da pogodzić ze staraniem o zaspokojenie potrzeb państwa, jesteśmy spowodowani z początkiem następującego roku administracyjnego 1846 z kwoty dodatkowej tej dozwolnić ulgi, jakąśmy już na lata administracyjne 1826—1845 dozwolili“. Następuje teraz cyfrowe oznaczenie przypisanego na Galicyę i Bukowinę podatku gruntowego i domowego, a kończy się instrukcyja równie uroczystą, jak na wstępie, apostrofą do lojalności Stanów i wyrazem oczekiwania, że „nietylko chętnie za wykonaniem woli monarszej oświadczą się, ale nadto Sejm ten wcześniej ukończą, uchwały zaś swoje wprzód cesarzowi do zatwierdzenia prześlą“.

Po odczytaniu tej instrukcyi w Sejmie i po przemówieniu gr. kat. metropolity lwowskiego, ks. Lewickiego, Arcyksiążę, oświadczywszy - tak mówi dalej sprawozdanie urzędowe— iż Sejm jest zagajony, podniósł się ze swego miejsca i przez Jego Ekscelencyę prezesa-zastępcę odprowadzony do drzwi sali udał się w towarzystwie drugiego i trzeciego królewskiego komisarza sejmowego z powrotem do swego mieszkania, gdzie raczył przyjąć uroczyste odwiedziny Stanów.“

W dzisiejszych ciałach parlamentarnych preliminarze, wogóle przedłożenia podatkowe i finansowe, stanowią jedno z najważniejszych zadań a zarazem obok rozprawy adresowej najwdzięczniejsze pole dla dyskusyi nad ogólnem położeniem państwa lub kraju, dla krytyki stosunków, administracyi i programów rządowych. Że o tem wszystkim śladu niema w rozprawach sejmu stanowego nad postulatami (tj. przedłożeniami podatkowemi) rządu, to się rozumie. Chyba naiwny, nieznający urzędzeń państwa z doby przedparlamentarnej, mógłby gorszyć się tem, że Stany galicyjskie nie wyzyskały postulatów rządowych w sposób powyższy w czasie, gdy Galicya tyle miała powodów do żalu, narzekan i krytyki całego systemu rządowego

epoki Metternichowskiej, systemu upamiętnionego na zawsze w historii krwawym rokiem 1846, jako naturalną konsekwencją poprzedniego postępowania władz administracyjnych w zakresie stosunków między gminą a dworem, między poddanymi a dziedzicami. Ale najskromniejsze nawet oczekiwania pod tym względem zawodzi sprawozdanie urzędowe o sejmie stanowym z r. 1845. Zaraz bowiem nazajutrz po uroczystem otwarciu Sesy i załatwił Sejm owe postulaty podatkowe w sposób następujący. „Na posiedzeniu z 16 września—tak opiewa ten ustęp sprawozdania urzędowego—pod prezydencją Jego Ekscelencyi Prezesa-Zastępcy zostały: I Najwyższe postulaty ze czcią i należną gotowością przyjęte. II. Zostało odczytane sprawozdanie Wydziału stanowego z czynności upłynionego po ostatnim sejmie roku.

Owo przyjęcie najwyższych postulatów „ze czcią i należną gotowością“, a bez wszelkiej krytyki, bez wszelkiej wogóle dyskusyi, przypomina sposób, w jaki niegdyś w jednej z prowincyi francuskich (Langwedocyi) za świadectwem źródłowym wotowano podatki rządowi: „debout et tête nue avec ces trois mots: Accordé sans conséquence“¹⁾.

W sprawozdaniu Wydziału stanowego, przedstawionem po udzieleniu postulatów podatkowych, można-by powiedzieć — parafrazując poprzedni ustęp o przyjęciu postulatów podatkowych—że Stany galicyjskie wysłuchały i przyjęły do wiadomości, chłodno i z należną obojętnością. Zawierało ono bowiem szczegóły małej wagi o instytucjach krajowych (zakładzie Osolińskich, fundacyi Skarbkowskiej itd.). Natomiast o sprawie krajowej pierwszorzędno znaczenia, o budowie pierwszej kolei żelaznej w Galicyi, mówi to sprawozdanie, że „do prośby o pozwolenie na zawiązanie Towarzystwa akcyjnego w celu budowania kolei żelaznej w Galicyi, przez Leona ks. Sapielę, Henryka hr. Dzieduszyckiego, Aleksandra hr. Fredrę i Tadeusza Wasilewskiego podanej, Najj. Pan najwyższem postanowieniem z dnia 18-go grudnia 1844 r., przychylić się nie raczył“. Wprawdzie do tej odmownej decyzji dodano, że cesarz „zastrzegł sobie wyraźnie budowę kolei żelaznej w Galicyi na koszt najwyższego skarbu“, ale dodatek ten znaczył tyle, co odroczenie sprawy ad calendas graecas. Dopiero po latach, już za rządów Namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego, Leon ks. Sapiela doczekał się przychylniejszej dyspozycyi dla swoich planów akcyjno-kolejowych.

¹⁾ A. Rembowski „Konfederacya i Rokosz“, Warszawa 1896, str. 164.

W całym sprawozdaniu jest tylko jeden ślad uczestnictwa Stanów w akcji ustawodawczej rządu. Rozumie się, że miano na myśli tylko uczestnictwo doradcze, objawienie zdania, które ustawodawcy w niczem krępować nie miało. Chodziło tutaj o projekt ustawy co do zakładania i utrzymywania gościńców obwodowych. Przedstawił go Stanom wskutek „nakazu“ kancelaryi narodowej, deputat, Wacław Zaleski, ówczesny radca gubernialny, a późniejszy Namiestnik. Toczyła się w tej sprawie dyskusya, po której „Stany—jak mówi sprawozdanie urzędowe — oświadczyły, iż z udzielonym sobie projektem zgadzają się z niektórymi modyfikacyami, w protokóle sejmu zawartymi.“

Przebiegliśmy dotąd pobieżnie urzędowe sprawozdanie z sesyi sejmu stanowego za rok 1845, sesyi pamiętnej już z tego powodu, że była ostatnią. Dopiero ku końcowi sprawozdania czytelnik traci z oczu karykaturalność urzędzenia i obrad „prześwietnych Stanów,“ jako ciała reprezentacyjnego, i musi się cofnąć o ten krok, który mimowoli zrobił na początku du sublime au ridicule. Uwaga jego bowiem skupia się i wyteża wobec spraw, do których inicjatywa wyszła już z łona samych Stanów, które doprowadziły do uchwał pierwszorzędnej wagi dla stosunków krajowych i treścią swoją nadały wyjątkowe znaczenie końcowemu, z natury swojej banalnemu, jak inne ceremonialne sprawy, aktowi sesyi, to jest adresowi Stanów do cesarza. Uchwały te tyczą się sprawy włościańskiej. Chodziło najpierw o obmyślenie środków pomocy publicznej dla ludności, zagrożonej w tym czasie wielkim niedostatkiem z powodu klęsk elementarnych, a powtóre o historyczną już dziś kwestyę uwłaszczenia poddanych. Rzec tę musimy poprzedzić przedstawieniem genezy i przebiegu sprawy przed krytycznym r. 1846.

*

*

*

Tragikę wypadków galicyjskich z lutego r. 1846, objętych w pierwszej chwili nazwą „rzezi“, która odtąd już zdobyła sobie prawo obywatelstwa we wszystkich późniejszych reminiscencyach i przedstawieniach historycznych, podnosi w wysokim stopniu fakt, że wypadki te zaszły właśnie w chwili, gdy szlachta szczerze, nawet z rozpędem przyspieszonym, podjęła na jedynie dla niej wówczas otwartej drodze reform, w sejmie stanowym, sprawę zniesienia pańszczyzny. O ile dziś w świetle historyi podnosi się z tego powodu tragika rzezi, o tyle z tego samego powodu potęgować się musi siła potępienia, rzuczonego zaraz w pierwszej chwili na sprawczynię katastrofy, staro-

austryacką biurokrację ery Metternichowskiej. A co do sejmu stanowego nazwać to już trzeba istną fatalnością, że ta właśnie akcja, którą po długim bezplodnym vegetowaniu Stany galicyjskie miały zmanifestować swoją żywotność i zapisać się nią, jako wielką reformą, na zawsze w pamięci kraju i historii, spelzła na niczem, nie została nawet doprowadzona do takiej fazy przygotowawczej, żeby potem, gdy w r. 1848 reforma ta dokonana została przez rząd wiedeński z nienaacką, w tempie i z charakterem niespodzianki rewolucyjnej, inicjatywa sejmu stanowego utkwiała przynajmniej we wdzięcznej pamięci tej klasy ludności, o której dobro chodziło.

Inicjatywa szlachty galicyjskiej w sprawie zniesienia pańszczyzny najczęściej łączona bywa dopiero z wnioskiem wicemarszałka sejmu stanowego, Tadeusza Wasilewskiego, z r. 1844 w sprawie wyboru komisji, która za pozwoleniem cesarskiem miała wziąć pod rozagę reformę stosunków włościańskich. Takie przedstawienie sprawy jest uzasadnione ze stanowiska, że tak powiemy, urzędowo-protokolarnego, gdyż rzeczywiście dopiero w r. 1844 zapisana została w protokóle sejmu stanowego formalna uchwała z inicjatywą reformatorską. Należy jednak cofnąć się wstecz, jeżeli nie do dawno już przedtem z łona szlachty podnoszonych odosobnionych głosów za zniesieniem pańszczyzny, to przynajmniej do samej genezy powyższego wniosku, aby nie było nawet pozoru, że wniosek ten wypłynął nie z dobrej woli i czystej intencji, lecz dopiero pod naciskiem stosunków, bo w przededniu zawieruchy i katastrofy r. 1846, w której myśl zniesienia pańszczyzny odegrała tak fatalną rolę, tak po stronie szaleńców spiskowych, którzy hasłem tem spodziewali się pobudzić masy ludu wiejskiego do zbrojnego wystąpienia przeciw rządowi austriackiemu, jak i po stronie wprost zbrodnicy w tym nieszczęsnym roku nastrojonej biurokracji austriackiej, która broń tę skierowała przeciw samym inicjatorom.

O genezie wniosku Tadeusza Wasilewskiego i powziętej wskutek tego uchwały sejmu stanowego z r. 1844 w sprawie zniesienia pańszczyzny, nie znajdzie nikt autentycznych wyjaśnień w urzędowych protokółach sejmowych, lecz chyba w innych źródłach współczesnych i to rękopiśmiennych. Jednym z takich źródeł, i to pierwszorzędno znaczenia, są papiery, pozostałe po Maurycym Kraińskim, a przez rodzinę po jego śmierci ofiarowane zakładowi Ossolińskich*). Maurycy Kraiński należał już w tej dobie do wybitnych działaczy publicznych, a głos jego, poparty nie tylko wielką znajomo-

*) Rękopis Nr. 2945 (Zbiór materiałów do historii zniesienia stosunku poddańczego w Galicji).

ścią stosunków, lecz nadto — co wiele wtedy znaczyło — niezwykłą znajomością powikłanych w istny węzeł gordyjski ustaw, przepisów i rozporządzeń austriackich o stosunku pańszczyznianym, ważył na szali uchwał stanowych, a później, gdy po r. 1848 indemnizacya miała być przeprowadzona, także na szali decyzji rządowych, o ile one zapadały na podstawie uchwał komisyjnych, z udziałem Kraińskiego powziętych. Maurycy Kraiński, wierny towarzysz pracy Agenora hr. Gółuchowskiego od r. 1846 we wszystkich sprawach, złączonych z pańszczyzną i wogóle z reformą stosunków włościańskich, zasłużony pod tym względem jak niewielu ze współczesnego pokolenia obywatelskiego, a mimo to, tak cichy i skromny, że tylko najbliższe otoczenie znać mogło nadzwyczajny walor tego obywatela, zbierał starannie wszystkie druki, akta i pisma, własne i cudze, porządkował je i zaoptymował w dopiski tak, jak gdyby sam myślał o napisaniu historii reformy stosunków włościańskich w Galicyi, której niema dotąd, a do której napisania nikt nie był kompetentniejszy od Maurycego Kraińskiego. Można więc polegać na tem, co zawiera zbiór materiałów przez Kraińskiego pozostawiony, a według tego zbioru, inicjatywa szlachty galicyjskiej w sprawie zniesienia pańszczyzny, inicjatywa oficjalna w całym tego słowa znaczeniu, bo podniesiona wobec wydziału sejmu stanowego i w tym wydziale urzędownie traktowana, datuje się od 31 marca 1842. W tym dniu bowiem wniósł do protokołu stanowego, zapewne nie wyłącznie z własnego impulsu, lecz z wiedzą i w porozumieniu z szerszym kołem obywatelstwa, uwagi godny memoryał Kazimierz hr. Krasicki, już wówczas wybitniejszy obywatel, a później, jako prezes Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, pierwszorzędna powaga w obywatelstwie galicyjskiem.

Memoryał hr. Krasickiego obejmował cały szereg spraw publicznych, które leżały na jego sercu obywatelskiem i wymagały pilnie potrzebnego załatwienia. Na pierwszym miejscu stała sprawa pańszczyzniania. Nadając temu memoryałowi znaczenie dokumentu historycznego nie dla samej daty tylko lub dla nazwiska autora, lecz dla całej treści jego, formy, w jakiej wniesiony został, i następstw, jakie za sobą pociągnął, uważamy za potrzebne przytoczyć z niego bodaj główne ustępy w brzmieniu dosłownem. Przytoczenie to jednak poprzedzić musimy uwagą, ważną dla charakterystyki memoryału. Pisany on był dla wydziału stanowego, gdzie tak samo jak w sejmach stanowych przewodził gubernator. Pod jego adresem nie mógł więc hr. Krasicki otwarcie wypowiedzieć tego, co w klasyczny sposób przedstawił Kalinka w swoim dziele: „Galicya i Kraków pod panowaniem austriackim“ (w rozdziale: Stosunek poddańcy), t. j. nie mógł napiętnować fatalnej polityki staroaustryackiej

biurokracyi, która za najlepszy środek utrwalenia panowania Austrii w Galicyi uważała forytowanie poddanych kosztem dziedzica, wzbudzenie w poddanych zawiści wobec dziedzica, jednym słowem wytworzenie przepaści między gminą a dworem. Czego jednak hr. Krasicki otwarcie wypowiedzieć nie mógł, to przebija z tonu jego memoriału, zwłaszcza z początkowych ustępów.

„Ośmielam się zwrócić uwagę — pisze hr. Krasicki — na bardzo ważny przedmiot, tyczący się różnych stosunków i urzędzeń w naszym kraju, których odmiana lub modyfikacya mogła-by wyrzucić na stan jego najkorzystniejszy skutek. Zastanowiwszy się nad terażniejszym stanem Galicyi, narzuca się nam myśl porównania jej z innemi prowincjami państwa austriackiego i wogóle z resztą cywilizowanego świata. Jakże to porównanie smutne wyrzuci uczucie w sercu każdego myślącego obywatela! Przekona się bowiem, że nam jeszcze wiele do działania pozostaje, zanim się na równi postawimy z innemi krajami. Nie zbywa nam na darach natury, których Bóg naszemu krajowi sownie udzielił, ani na światłych i pracowitych ludziach, co wszelkiemi starają się siłami polepszenia w każdym wprowadzić zawodzie. Ale właśnie ci ostatni w swoich pochwały godnych usiłowaniach na silne natrafiają przeszkody, które, tamując ich działanie, najlepsze chęci bezowocnymi czynią. Widząc bezskuteczność swoich dążeń, nie mając znikąd pomocy ani podpory, zostają nakoniec zmuszeni wrócić wstecz, aby znowu dawną dążyć koleją.

„Najgłówniejszą przeszkodą, którą się napotyka w naszym gospodarstwie, jest niezawodnie brak robotnika. Nie pochodzi to bynajmniej z braku ludności, ponieważ większa część naszego kraju, zwłaszcza zachodnie obwody, mają wcale dostateczną ludność. Ale nasz chłop nie widzi potrzeby pracowania więcej nad to, co jest konieczną potrzebą i powinnością. Wynika to z natury rzeczy, ponieważ włościanin, nie mający żadnej własności, nie mogący jej nigdy nabyć, z drugiej strony, mając do życia potrzeb bardzo mało, a z natury skłonny do lenistwa, najwięcej tej ostatniej żądzy dogadzać się stara. Pochodzi ten stan rzeczy z daleka, z pierwiastkowego patryarchalnego sposobu życia Słowian, odziedziczonego przez Polaków, gdzie dziedzic, jako ojciec swych kmiotków, wspomagał potrzebujących, ale też karmił występnych, ponieważ od dobrego bytu poddanych zależał i dobry byt dziedzica. Ten stosunek, w pierwotnych czasach bardzo chwalebny, musiał z czasem dla nadużyć ulegć odmianie. Rządy krajowe, chcąc położyć tamę nadużyciom, podzieliły z dziedzicem opiekę nad włościanami. Ale tem samem obalona została podstawa patryarchalnego ustroju społeczeństwa. Wmieszanie się w interesa rodzinne trzeciej osoby nie zawsze wywiera pożądany

skutek. Ustało nieograniczone zaufanie i wierność kmiotka do dziedzica; pomocy, którą dawniej z wdzięcznością przyjmował, teraz już wymaga, i spuszczać się na nią, zaniedbuje gospodarstwo, nie myśli o jutrze, trwoni, co ma, żyjąc w jakimś szale krnąbrnego i zepsutego dziecka.

„Już też na czasie jest, aby to dziecko pełnoletniem uznać i oddać mu zarząd majątku i nadać kierunek początkowy działaniu, uważać jednak na jego prowadzenie się, pilnować sumiennego uiszczania się z powinności wobec zwierzchności i społeczeństwa, wogóle postawić je w możności odpowiadania majątkiem za swoje postępowanie. Majątek terażniejszego gospodarza wiejskiego jest to używanie dożywotnie gruntu właściwie pańskiego. Cóż z tego, kiedy ten grunt, tak zwany rustykalny, do nikogo nie należy, jest rzeczą martwą, bez żadnej wartości realnej, bo czego nie można spieniężyć, zadłużyć lub darować, to nie ma żadnej realnej wartości. Wieśniak odpowiada za długi, podatek, powinności swoje, tylko ruchomym majątkiem; stara się więc, by miał jak najmniej tego ruchomego majątku, lub też, jeżeli posiada, ukrywa go, aby się nikt o tem nie dowiedział, bo gdzie nic niema, tam i monarcha prawo swoje traci. Ale nie tylko dla zwierzchności i wierzycieli ten stan rzeczy nie jest z korzyścią, bo najwięcej dzieci na tem cierpią. Któryż syn włościanina odebrał gospodarstwo po ojcu w dobrym stanie? Cóż reszta dzieci dostaje z owego ruchomego majątku?

„Temu złemu można-by zapobiedz, nadając wartość tabularną gruntom rustykalnym, t. j. niech włościaninowi wolno będzie grunt, na którym siedzi, z obarczającymi go obowiązkami i ciężarami darować, sprzedać, zadłużyć, lub zastawić, tylko nie dzielić, przyczem ustawić należy w każdym dominium, czyli obwodzie gminnym, książki gruntowe. W ten sposób uzyskano-by hypotekę na podatki, powinności, długi i t. d. W razie nieuiszczenia się z tego wszystkiego nie odsądzono-by złego gospodarza wraz z niewinnymi dziećmi od gruntu, lecz zlicytowanoby grunt, nie dając go człowiekowi obcemu, który przyszedłszy bez żadnego zabiegu do tego posiadania, nie umiał-by go ocenić i po większej części uważał-by takie nadanie prędzej za ciężar, aniżeli za dobrodziejstwo i za sposób dorobienia się majątku. Wierzyciel został-by zaspokojony, dzieci nie były-by całkiem ogołoczone z majątku, a nabywca gruntu starałby się wszelkiemi siłami utrzymać się przy nim. Stąd wynikło-by polepszanie gospodarstwa pomiędzy wieśniakami, uznanie potrzeby uiszczania się z wszelkich obowiązków, dalej zachęcanie do pracy i zarobkowania włościan, aby przez nabywanie innych gruntów mogli rozprzestrzenić posiadłość i zapewnić los dzieci. U ludzi służebnych, komorników i t. p. powstała-by

także chęć do zarobkowania na widok możności przyjsia do posiadania, gdyż dotychczas każdy nieposiadający gruntu tylko tak dalece widział się zmuszonym do pracy, aby uczynić zadość swoim codziennym, bardzo małym, potrzebom. Nie trwoniono-by marnie czasu i sił na próżnowaniu, pijatykach i targach, nie było-by braku robotnika, a każdy gospodarz byłby w możności udoskonalenia swego gospodarstwa i produkcji. Wszelkie fabryki miały-by dużo łatwiejszy wstęp do naszego kraju.

„Zarzut, jakoby w tym wypadku dziedzice, korzystając z możności zakupywania gruntów rustykalnych, zaczęli je nabywać, nie ma miejsca, gdyż już i tak istniejące dominikalne grunta nie mogą być dostatecznie uprawiane dla braku robotnika. W takim razie powiększenie przestrzeni sprzeciwiało-by się własnemu interesowi i było-by nierozsądnem. A zresztą grunt rustykalny pozostawał-by takim w czyichkolwiek rękach. Wtedy dopiero byłby ustalony stan niezawisły wiejski, bo takim nie można uważać terażniejszego, opierającego się li tylko na opiece i szczodroblowości dziedzica, skoro wieśniak nie potrzebuje natężyć sił, pracy i umysłu dla utrzymania swojego bytu.

„Na tej podstawie można-by znaleźć sposób wspomagania wieśniaków daleko skuteczniejszy od dotychczasowego, ciężącego nadzwyczaj na majątku obywatelskim, gdyż włościanin, dostając z łatwością pomoc, nie umie jej ocenić. Po większej części przepada ona dla dziedzica, nie wywierając pożądaných skutków na byt wspomozonego, który, spuszczać się na tę zapomogę, trwoni, co ma, nie myśląc o jutrze. Nie dziw zatem, że dobry gospodarz jest pomiędzy chłopami tak rzadkiem zjawiskiem.

„W razie, gdyby własność gruntu pewną dawała hypotekę, mógłby każdy dziedzic przeznaczyć pewny kapitał na częściową zapomogę dla poddanych, pożyczac na przepisany procent z wypłatą ratami. Byłby to rodzaj instytutu kredytowego dla włościan, a oszczędności dla służebnych i nie posiadających gruntów, którzy, w nadziei nabycia jakiej własności, mogli-by tamże składać na procent oszczędzoną część zasług i zarobku. Stąd wynikły-by niewypowiedziane dobre skutki dla wszystkich. Wieśniak w przekonaniu, że trzeba się uiszczyć z powinności, lub, w razie zaciągnięcia długu, tenże spłacić, albo zostać z własności wyzutym, będzie chodził starannie około swego gospodarstwa; dziedzic w przekonaniu, że mu dana zapomoga nie przepadnie, lecz owszem, jeszcze ustalony procent przyniesie, łatwiej zapomozę, a wieśniak, przyciśniony potrzebą, nie będzie przymuszony, jak teraz, w razie niezyskania pomocy pańskiej, oddać się w ręce żydowskie i lichwiarskie, które pochłaniają cały jego majątek, jak tego mamy, niestety, bardzo częste przykłady.

„Zwróćmy teraz uwagę na wszelkie odpowiedzialności, które na właścicielu dóbr ciążyą. Oprócz obowiązku utrzymania swej gromady w dobrym bycie, odpowiada on jeszcze za jej uiszczenie się z podatków, za porządek i policję miejscową, za odstawienie i pobór rekrutów i t. d. Kto z nas nie cierpiał już za nieumiejętność, lenistwo lub nieuczciwość swojego mandataryusza? Przytem włościanin, od dawna przyzwyczajony uiszczać się tylko panu ze swoich powinności i obowiązków, zostaje dotychczas w przekonaniu, że wszelkie istniejące obowiązki są przez pana wymyślone i na jego korzyść się uskuteczniają. Dalej obowiązek utrzymywania policji, poszukiwania złodziei, zbrodniarzy, włóczęgów, a w razie poszlaki jakiego zawinienia, karanie w pierwszej instancyi lub oddawanie do wyższych sądów—wszystko to budzi nienawiść w ciemnym ludzie i pociąga za sobą aż nadto często zemstę. Stąd tak częste w kraju naszym pożary, pochłaniające majątki obywatelskie i wywierające przez to samo najgorszy skutek na ogólny stan naszej prowincyi.

„Gdzie źle, tam radzić potrzeba. Zmieniwszy wszelkie błędne wyobrażenia i pochodzące z urojonej przewagi, którą nam daje prawo posiadania pierwszej instancyi, sądzą, iżby stosowniej było pozbyć się tego ogromnego ciężaru, zachowując sobie zwierzchność patrymonialną, dopóki nasz lud przez dalsze wykształcenie fizyczne i moralne nie dojdzie do stopnia, gdzie będzie w stanie spełnić zupełnie swoje obowiązki. Ten cel, do którego każdy dobrze myślący, o dobro swego kraju czuły obywatel, dążyć powinien, nie może być od razu skutecznie osiągnięty. Tylko wyżej wspomniany przygotowawczy środek, t. j. nadanie włościanom na własność posiadanych przez nich gruntów, może nam utorować drogę do dalszego postępu.

„Wszystkie siły w naturze działają nieustannie i niema stagnacyi na tym świecie, tem mniej w kształceniu się ludzkości i wzrastaniu jej materialnych i moralnych potrzeb. Zadaniem jest światlejszych, nie tylko nie zatrzymywać tego dążenia w naturalnym biegu, lecz, co ważniejsza, nadać mu taki kierunek, aby spokojnym trybem coraz dalej postępował. Strumień wezbrany, skoro w swoim biegu na przeszkody natrafi, przerywa je lub zmienia koryto. Należy więc przez stosowne zabezpieczenie zapobiedz wszelkim niepowetowanym szkodom i przymusić rozhułkany żywioł, aby, nie przerywając swego łożyska, osiągnął celu, do którego dąży. Już czas, abyśmy poszli torem naszych ojców, którzy postanowili za cel oswobodzenie stanu wiejskiego. Niechże ten piękny pomysł do skutku przyjdzie, przez nas, którzy w oczach ludzi zaślepionych uchodzimy za ciemnizycieli ludu, za największe przeszkody w polepszeniu jego bytu. Składając najpokorniejszą prośbę o pozwolenie działania w tym celu u stóp

Najj. Pana, zostanie nam błogie przekonanie, żeśmy uczynili zadość żądaniom ludzkości, dając sposób i niejaką rękojmię do uszczęśliwienia i wykształcenia naszych współbraci“.

W ustępach memoriału, tutaj pominiętych, jako nie zostających w bezpośrednim związku ze sprawą uwłaszczenia, hr. Krasicki podniósł cały szereg dalszych postulatów ekonomicznego i społecznego znaczenia, postawił w ogóle program najpilniejszych prac publicznych, które dla dobra kraju spełnione być powinny.

W papierach M. Kraińskiego znajduje się zapisek, że referent wydziału stanowego, Tadeusz Wasilewski, ten sam, który zawsze wymieniany bywa jako inicjator zniesienia pańszczyzny w Galicyi, załatwił w charakterze referenta wydziału stanowego memoriał Kazimierza hr. Krasickiego w ten sposób: „L. 268. Podanie to traktuje o ważnych kwestyach: zawiera niejedną słuszną uwagę, zasługującą na to, aby z niej przy sposobności skorzystano. Ponieważ jednak sprawy w tem podaniu omawiane są zbiorowo, ogólnie, w tonie konwersacyjnym, bez bliższego wskazania środków wiodących do zamierzonego celu, przeto nie nadaje się do osobnego taktowania i z tego powodu składa się *ad acta*. Lwów 17 października 1842.“ Zbyt wyraźnie przebija z tego załatwienia historyczny formalizm austriacko-biurokratyczny, dla którego „tonem konwersacyjnym“ było wszystko, co w wyrazach, a choćby tylko w ich uszykowaniu, odbiegało od sakramentalnej formułki prośby lub wniosku, żebyśmy załatwienie takie przypisać mieli osobistemu pomysłowi Tadeusza Wasilewskiego, obywatela o niewątpliwie szerszych poglądach. Gdybyśmy nawet mieli przed sobą nie zapisek—zresztą najzupełniej wiarogodny—lecz akt oryginalny, za którym dziś już niestety daremne były-by wszelkie poszukiwania archiwalne, to jeszcze i w takim razie wolelibyśmy raczej postawić to—wobec ówczesnej najzupełniejszej zależności całego wydziału stanowego i jego referentów od gubernium z jednej a niechęci tegoż gubernium wobec wniosków tego rodzaju, pochodzących nie z inspiracji rządu, lecz z dobrej woli szlachty, z drugiej strony, zupełnie uprawnione przypuszczenie, że Wasilewski w załatwianiu sprawy nie działał z własnej myśli, lecz pod apodyktyczną inspiracją gubernialną.

Ale hrabia Krasicki, widocznie rozgoryczony zwłoką w traktowaniu swojego wniosku, inaczej rzecz przedstawia w przypiskach do swojego memoriału. Można powątpiewać o trafności domysłu, w takim rozgoryczeniu wypowiedzianego, ale przytoczyć go musimy już z tego powodu, że w tym samym dopisku przedstawione są dalsze koleje memoriału i spraw w nim poruszonych.

„Memoryał ten — pisze hrabia Krasicki — podany został wczasu do wydziału stanowego, aby się tenże przygotował do przedłożenia sejmowi stosownych wniosków. Wszakże tu wyraźnie chodziło w ostatecznym celu o zniesienie stosunku poddańczego, a przeto i wszelkich obopólnych obowiązków z tego stosunku wynikających, jakoteż i wszelkich ciężarów gruntowych. Gdy jednakże w owych czasach absolutnych rządów i zastarzanych przesądów nie wypadło od razu do ostatecznego celu przystąpić, przeto wskazano dobitnie przygotowawcze środki, mianowicie nadanie włościanom własności użytkowej gruntów i zaprowadzenia dla nich ksiąg gruntowych. Tak obojętne zbycie tej dla kraju tyle ważnej sprawy miało swoją przyczynę w osobistem usposobieniu p. referenta, który, mimo wszelkich dodatnich przymiotów, tyle miał miłości własnej, że nie mógł na sobie przenieść, iżby sprawa takiej doniosłości socyalnej nie z jego inicjatywy wyszła. Sejm stanowy obradował w 1842 od 19 do 27 września, Tegoż dnia wieczorem na moją prośbę zawezwani niektórzy sejmujący zebrali się u p. referenta, gdzie im odczytano mój memoriał jakoteż podanie Józefa Lewickiego z Bonowa, wskazujące w krótkich słowach potrzebę uporządkowania stanowego spraw poddańczych. Memoriał sprawił między zebranymi wrażenie; spiących przebudził, myślących zadowolili, wszystkich zaś przekonał, że czy prędzej, czy później dotychczasowe stosunki zmienione być muszą. Ostatecznie postanowiono dotknąć tego przedmiotu na przyszłym sejmie. Znając słabą stronę p. referenta i mając dla niego szczerę poważanie, oświadczyłem, że ze wszystkich względów jemu się należy orędownictwo tej sprawy. W r. 1843 rozpoczął sejm stanowy czynności swoje 18 września. Dnia 19 września wieczorem zeszło się wielu sejmujących u Stanisława hr. Skarba w gmachu teatralnym, ażeby się poufnie porozumieć względem uwienieczenia tej tak bardzo delikatnej sprawy. P. referent Wasilewski, nie zważając na wskazane w memoryale przygotowawcze środki, wystąpił z ostatecznym celem, to jest z potrzebą zniesienia pańszczyzny. Takie obcesowe wystąpienie, nieprzychylnie wywołało wrażenie i niechęć przeciw p. referentowi. Wielu sprzeciwiło się całkowicie dotknięciu tego przedmiotu na sejmie, inni znów nie chcieli, aby to uczynił p. referent. Dopiero wskutek usilnych zabiegów kilku z nas i po wysłuchaniu następnego wieczora wystylizowanego wniosku postawiliśmy go na sejmie. To też w protokóle urzędowym z dnia 22 września 1843 czytamy, co następuje: „Na wniosek J.W. Wasilewskiego, wice-marszałka i deputata stanowego, uchwalono po rozprawach rzecz wyjaśniających większością głosów 86 przeciw 15 zanieść pokorną prośbę do Najj. Pana, aby Stanom łaskawie dozwolili raczył wybrać na przyszłym sejmie ze swego grona komisję,

której-by zadaniem było: obopólne między właścicielami ziemskimi, a włościanami tego kraju stosunki wziąć pod rozwagę, poznać je w drodze należytej z oględną roztropnością i względem zaprowadzenia ulepszeń i zmian w tychże sejmowemu zgromadzeniu swego czasu takie podać wnioski, jakieby, odpowiadając celowi i jednocząc dobro właścicieli ziemskich z dobrem włościan, były tem samym zgodne z dobrem pospolitem, ażeby na tej i odstawie mogły Stany złożyć dalsze swe prośby u stóp tronu.

Ani ogólnikowego brzmienia powyższej uchwały, ani tych trudności zakulisowych, o których opowiada hr. Krasicki, nie można tłómaczyć w ten sposób, jakoby inicjatywa w sprawie reformy stosunków włościańskich nie znalazła w gronie deputatów stanowych żywszego oddźwięku, i z tego powodu nie doprowadziła do uchwały jaśniejszej i więcej stanowezej. Tak rzecz wyglądała-by istotnie, jeżeli-by się ją oceniano ze stanowiska dzisiejszych regulaminów i praktyk parlamentarnych, które umożliwiają sfinalizowanie każdej sprawy na jednej sesji przez wybór komisji, mającej dość czasu, aby wniosek wszechstronnie rozpatrzyć i wystąpić przed pełnem ciałem ustawodawczem ze szczegółowo opracowanym projektem. Ale sejmy stanowe zgromadzały się na kilkotygodniowe sesye dla przyjmowania postulatów podatkowych bez dyskusji „z czcią i należąną gotowością“, a o ustanowienie komisji przygotowawczej trzeba było dopiero prosić osobno. Bez takiej komisji niepodobna było załatwić sprawy, która wymagała bardzo starannego opracowania nie co do samej głównej idei, na którą zgodzono się już wyraźnie, lecz co do szczegółów całej indemnizacji. A w dodatku miał ówczesny sejm do czynienia z rządem, który reformę powyższą wziął niejako w monopol polityczny, i tak nią do końca pokierować pragnął, aby szlachta została skwitowana z praw swoich, a mimo to nie ona, lecz rząd zbierał owoce, to jest zaskarbił sobie wdzięczność włościan. Wśród takich stosunków największa ostrożność w postępowaniu, nawet w samej stylizacji wniosków, była konieczna, żeby nie dać sposobności do wyzyskania ich w powyższym kierunku.

Że nieufność taka była uzasadniona, na to najlepszym dowodem jest decyzja cesarska, jaka zapadła 9 lipca 1844 roku na powyższą uchwałę. Była to decyzja, oczywiście, ze Lwowa podsmięta, a w Wiedniu tylko ubrana w formę postanowienia monarchy. Łatwo było wtedy biurokracyi nadawać takim decyzjom kierunek, odpowiadający jej tendencji, bo na tronie austriackim zasiadał monarcha idealnej dobroci, dobrotliwym nazwany (Ferdynand I), ale ciężko chory (na epilepsyę) i wskutek tej choroby apatyczny, wprost niezdolny do rozbioru spraw, a choćby tylko do rozpatrzenia się w ich zasadach.

„Co do uchwały, tyczącej się stosunków między właścicielami dóbr a włościanami,—tak opiewa owa decyzja według protokołu sejmowego, — rozkazał Najjaśniejszy Pan Stanom oświadczyć, że te stosunki i ich ulepszenia, ile bez naruszenia praw nabytych i uniknięcia wszelkiego przymusu wykonać je można, zawsze były i nadal będą przedmiotem szczególnej ojcowskiej troskliwości Najjaśniejszego Pana, że przeto Najjaśniejszy Pan z upodobaniem powziął wiadomość, iż Stany ku temu ważnemu przedmiotowi zwróciły uwagę, że atoli gdy uchwała sejmu jest niewyraźną i tylko ogólną, ustanowienie osobnej komisji, której zadanie ani co do przedmiotu, ani co do kierunku jej działań dostatecznie nie jest określone, nie uważa Najjaśniejszy Pan za prawdziwy środek, który-by tę trudną sprawę bez nadwężenia wszelkich względów, na ścisłą uwagę zasługujących, mógł do powyższego kresu doprowadzić, że wreszcie Stanom, gdyby tego chciały, nie zostaje wzbronione względem przedmiotu, który ściśle oznaczyć potrzeba, w drodze przepisanej podać wyraźny wniosek“.

Czyż może być dosadniejsza od tego załatwienia ilustracja do— że tak powiemy—mizeryi konstytucyjnej ówczesnych Stanów, a zarazem do przebiegłości—żeby nie powiedzieć przewrotności—biurokracyi, która nie chce wiedzieć o tem, co było jasnym, że Stanom galicyjskim zależy na reformie stosunków włościańskich, która przewleka na rok, albo raczej zabagnia sprawę pierwszorzędnej doniosłości ekonomiczno - społecznej dlatego, aby nie wypuścić z rąk źródła dalszego jątrzenia włościan przeciw dworom! I komu-to była niejasna uchwała sejmu stanowego z roku 1843! Wiceprezydentowi gubernialnemu, baronowi Kriegowi, który doskonale był o wszystkim poinformowany, co szlachta uradzała na poufnych zebraniach, który wprost dyktował urzędnikowi protokoły sejmu stanowego, i to tak arbitralnie, że zmieniał dowolnie stylizację wniosków i uchwał, raz nawet,—jak Maurycy Kraiński w swoich zapiskach mówi,—co do jego wniosku nawet wbrew uwadze arcyksięcia Ferdynanda, że nie powinno się w ten sposób postępować!

Sejm stanowy dał historyczny dowód szczerości swoich usiłowań około zainicjowania reformy stosunków włościańskich, skoro mimo tak widocznej dążności rządu do zabagnienia sprawy, na tej samej sesyi, na której dowiedział się o powyższej wymijającej decyzji rządu co do wyboru komisji, powziął 20 września 1844 roku następującą uchwałę: „Na pełne mądrości i dobroci wyrazy najwyższego postanowienia z dnia 8 lipca 1844 roku, Stany, przejęte najwyższą wdzięcznością, składają u stóp Tronu wyznanie, iż mocno czują zarówno potrzebę zaradzenia ubóstwu włościan, stojącemu na przeszkodzie podniesieniu się bogactwa całego kraju, jak i wprowadzenia we

wzajemne właściciele dóbr i włościan stosunki tych dogodności i ułatwień, które-by częstym sporom koniec położyć, przeszkody dobrego gospodarstwa usunąć, a przeto i spokojność publiczną utrwalić i do rozwinięcia sił produkcyjnych kraju przyczynić się mogły. Nie widzą jednak Stany możności wypracowania w ciągu dni kilku trwającego sejmku dokładnego, gruntownego i wszechstronnym względem dogadującego projektu, a nie chcą z niedokładnie wyrobionemi wnioskami występować przed tron Jego cesarsko - królewskiej Mości. Że uczucie pomienionej potrzeby jest powszechne, to dowodzi uchwała przeszłego sejmku znaczną większością zapadła i podania pojedynczych obywateli, które do wiadomości Najjaśniejszego Pana Stany podają. Niemożność zaś uchwalenia stanowczych projektów na prędcę spoczywa w ważności przedmiotu. Ośmielają się zatem wierne Stany powtórzyć pokorną prośbę, aby Najjaśniejszy Pan raczył zezwolić łaskawie wybranej z grona Stanów komisji wziąć pod rozagę przedmioty, wyżej wspomnianemi podaniami objęte, a mianowicie: zaprowadzenie ksiąg gruntowych, które-by na przyszłość mogły służyć za podstawę do rozstrzygnięcia sporów, wyraźne przyznanie *dominii utilis* włościańskich gruntów, uregulowanie serwitutów i wspólnych posiadzań, oraz podać dokładnie opracowany projekt Stanom do dalszych narad i przedstawienia wyższym władzom. Zadaniem tej komisji będzie, unikając wszelkich kwestyi przedwczesnych, zająć się tylko oznaczeniem najgwałtowniejszych potrzeb, których zaspokojenie, nie naruszając niczyjej własności, ani wolności, było-by jednakże w stanie zbliżyć naszych włościan do kwitnącego stanu włościan w innych prowincjach Państwa“.

Teraz już nie można było odmówić prośbie Stanów bez narażenia się na zarzut, że nie szlachta, lecz rząd tamuje i utrudnia wszelkie zabiegi około polepszenia doli włościan. Jakoż istotnie zawiadomione zostały Stany, że najwyższym postanowieniem cesarskiem z 11 marca 1845 roku prośba o ustanowienie komisji dla reformy stosunków włościańskich została wysłuchana.

Nadeszła wreszcie sesya sejmku stanowego, na której miała być wybrana owa, z takim trudem wyblągana, komisya, ostatnia sesya tego sejmku wogóle, ostatni akt działalności Stanów galicyjskich. W chwili, gdy sesya ta się rozpoczynała, widoczne już były na politycznym widnokregu kraju zawiązki tych ciężkich chmur, z których, w kilka miesięcy później (luty i marzec 1846 roku), padły tak ciężkie gromy na Galicyę, jakich ona nigdy przedtem nie doznała, jakie bodaj czy kiedy spadły z nienacka na społeczeństwo polskie.

„W roku 1845, — pisze hr. Krasicki w dopiskach do swojego znanego już nam memoriału, — w którym powodzie ogromne klęski

wyrządziły w zachodnich obwodach, sejm otwarty został 15 września przy bardzo licznym udziale członków. Obiegały pogłoski pomiędzy obywatelami o jakimś niepokoju między ludem na Zachodzie, a nawet o napadaniu przejeżdżających przed samą Wielkanocą po niektórych osadach i gościńcach przez zebrane koło karczem chłopstwo. Dominik Dąbski między innymi opowiadał, że jadąc w Wielką sobotę z Krakowa do swojego majątku, Drogini, boczną drogą przez wieś, gdzie włościanom dobrze był znany, był przez nich nagabywany, a nie mógł dojść, czego od niego chcieli. Podobne napadania przejeżdżających zdarzały się w tym czasie od Zachodu, aż ku Tarnowowi. Te pogłoski, wskazujące, że się coś niedobrego gotuje, przebrzmiały jednak niespostrzeżenie, u jednych przez lekkomyślność, u drugich zapewne w celu odwrócenia uwagi. Ze pod tymi drugimi rozumieć należy koła (biurokrację), które wtedy w podtrzymywaniu stosunków napiętych między dziedzicami a poddanymi upatrywały najpewniejszą rękojmię szachowania spiskowców po dworach szlacheckich, tego z zestawienia słów w powyższem zdaniu domyślać się należy.

Na drugim zaraz posiedzeniu tej sesyi, 18 września, sejm stanowy wybrał komisję dla sprawy włościańskiej. Wybrano po jednym członku i jednym zastępcy z każdego obwodu. Jaką wagę przywiązywano do prac tej komisyi, jak szczerze zajęto się sprawą, na to dowodem jest fakt, że między wybranymi znajdujemy najznakomitszych członków sejmu. Wybrani zostali między innymi: Leon książę Sapieha, Władysław książę Sanguszko, Karol książę Jabłonowski, Kazimierz hr. Krasicki, Ludwik hr. Jabłonowski, Leon hr. Stadnicki, Kazimierz Bađeni, Aleksander hr. Stadnicki, Stanisław Aleksander hr. Dzieduszycki, Alfred hr. Potocki, Aleksander hr. Fredro, Edward hr. Stadnicki, Leopold hr. Starzeński i t. d., i t. d.

Po wyborze komisyi przyjęto jeszcze wniosek Maurycego Kraińskiego, rozszerzający zadania komisyi, mianowicie polecający jej, aby zastanowiła się nad środkami, „jakby poddańcze powinności mogły być zmienione w osypy zbożowe, lub czynsze w gotowiznie, albo zupełnie wykupione“. Dodatek ten do programu komisyi był koniecznym, gdyż bez niego poprzednia uchwała sejmowa nie określała tego wyraźnie, że Stanom chodzi istotnie o uwłaszczenie włościan. Samo przyznanie własności użytkowej (*domini utilis*) nie było-by jeszcze uchyliło świadczeń pańszczyźnianych. Istniało bowiem—jak to wnioskodawca, niedościgniony znawca powikłanego ustawodawstwa pańszczyźnianego, trafnie dostrzegł—deklaratoryum rządowe z roku 1804, według którego, wrazie alienacyi gruntu rustykalnego, własność zwierzchnia (*dominium directum*) wraz ze wszystkimi, stąd wypływającymi a na gruncie poddańczym ciążącymi powinnościami pań-

szczyzny, robociznami i innemi daninami, które posiadacz dziedzicowi z tego gruntu niszczać winien, i których wartość część tabularną własności dziedzica stanowi, dziedzicowi tak po zakupnie, jak przedtem się należą, i żadnej odmianie co do wartości nie podlegają. To też w roku 1846 pańszczyzna istniała prawie we wszystkich innych słowiańskich i niemieckich prowincjach Austrii, chociaż w słowiańskich największa część poddanych, a w niemieckich wszyscy bez wyjątku własność użytkową swoich gruntów od dawna posiadali, i wszystkie prawa, do niej przywiązane, od dawna wykazywali.

Uchwałą tedy dodatkową, powziętą na wniosek Maurycego Kraińskiego, sejm najwyraźniej i najformalniej zaznaczył, że nie ma na myśli zaprowadzenia stosunku wieczystej dzierżawy co do gruntów włościańskich, lecz uwłaszczenie po formie prawnej. Ponieważ prezydium sejmu stanowego identyczne z prezydium gubernialnem nie podniosło żadnej wątpliwości co do takiego rozszerzenia zakresu komisji, przeto wypadało wnosić, że zaraz rozpocznie się jej praca. Tymczasem stało się inaczej. Rząd w sposób niedwuznaczny okazał, że nie tylko nie zależy mu na forytowaniu inicjatywy sprawy w dziele uwłaszczanie włościan, lecz wprost zdecydowany jest powstrzymać przejście tej inicjatywy z okresu deliberacji w okres pracy przygotowawczej. Już 29 września 1845 roku otrzymał bowiem Wydział stanowy od generał - gubernatora, arcyksięcia Ferdynanda d'Este, pismo, w którym on, jako przewodniczący komisji, mianuje Karola księcia Jabłonowskiego swoim zastępcą w tej czynności, ale zarazem dodaje, że „gdy Stany, w tym roku na sejm zgromadzone, łącznie z wyborem komisji przedstawiły prośbę do Najjaśniejszego Pana o rozszerzenie jej zakresu działania, dopiero po załatwieniu tej próby komisję zwołać wypadnie“.

Nie przyszło już wcale do zwołania komisji, bo tymczasem spadła na kraj katastrofa z lutego 1846 roku, w której sprawa oswobodzenia włościan odegrała rolę zatrutej broni, wydartej przez rząd z rąk szaleńców spiskowych i skierowanej nie tylko przeciw nim samym, lecz także przeciw krajowi i społeczeństwu polskiemu w Galicyi w jego późniejszym normalnym rozwoju ekonomicznym i społecznym. „Do tak smutnego wyniku — pisze Kazimierz hr. Krasiecki w zapiskach do swojego memoriału — doprowadziły niewątpliwie usiłowania dwóch ówczesnych wrogich sobie prądów, z których każdy, uważając oswobodzenie włościan za najskuteczniejszy środek do dopięcia dyamentalnie przeciwnych sobie celów, nie chciał dopuścić, aby ta żywotna sprawa przeprowadzona została na legalnej drodze przez właściwie do tego powołanych właścicieli ziemskich. W tej walce, jak zwykle, silniejszy zwyciężył. Podobnie stało się później w ziemiach

polskich pod panowaniem rossyjskiem, gdzie szlachta litewska zrobiła pierwszy krok do rządu w celu wyswobodzenia ludu, a wypadki z roku 1863 oddały przeprowadzenie oswobodzenia w ręce rządu“.

Urzędowe pogrzebanie inicjatywy szlachty galicyjskiej w dziele uwłaszczenia włościan nastąpiło w cesarskiem postanowieniu z 22 marca 1846 roku o uchwałach sejmowych z roku 1845. „Co do wniosków,—tak opiewa odnośny ustęp tego postanowienia, — tyczących się komisji dla prac przygotowawczych w celu uregulowania ksiąg gruntowych posiadłości włościańskich zachował sobie Najjaśniejszy Pan na później rozporządzenie, przyczem postanowił, aby ta komisya do działań swoich nie przystępowała, dopóki w tej mierze rozporządzenie nie nastąpi“.

*

*

*

O wspomnianych w zapiskach Kazimierza hr. Krasickiego niepokojących ruchach pomiędzy włościanstwem niema żadnej wzmianki w urzędowym protokóle sejmu stanowego, chociaż widocznem było, że się ma do czynienia z symptomami groźnej sytuacji. Widocznie tylko na poufnych zebraniach komunikowano sobie nawzajem niepokojące spostrzeżenia, a niepodobna nawet przypuścić, aby przytem nie wprowadzono tych spostrzeżeń wprost w zatrwajający związek z szaloną robotą skrajnych żywiółów, przygotowujących wybuch lutowy z roku 1846, z jednej, i z ukrytą demonijną robotą zawistnej szlachei biurokracyi około pogłębienia przepaści między gminą a dworem, między dziedzicami a poddanymi, z drugiej strony. Że tak było istotnie, o tem świadczą zwierzenia jednego z najgłówniejszych aktorów i autorów katastrofy w roku 1846, Franciszka hr. Wiesiołowskiego. „Dla odwrócenia wszelkich możliwych podejrzeń rządu,—pisze ten świadek współczesny w swoim pamiętniku ¹⁾, — wybrałem się, jako członek Stanów galicyjskich, w mundurze stanowym, przy szpadzie i w kapeluszu stosowanym, na sejm postulatowy do Lwowa. Był to ostatni sejm tego rodzaju. Lwów zastałem spokojny, a lubo dochodziły tam z naszych stron niepewne wieści o jakichś zaburzeniach, wkrótce nastąpić mających, lubo znaleźli się nawet tacy z pomiędzy obywateli, co czynili na to prezydenta gubernialnego, Kriega, ważnym, zapytując go, jakie rząd przedsięwzięmie kroki, aby pokój w kraju utrzymać, — Krieg zapewnił ich, iż niema wtem nic straszego,

¹⁾ Franciszka hr. Wiesiołowskiego: „Pamiętnik z roku 1845 — 1846“. Lwów, 1868. str. 49 — 51.

a w najgorszym nawet razie zaburzenia nie potrważą dłużej nad trzy dni, poczem będzie sto lat pokoju. Szlachta sejmowa powtarzała z zadowoleniem ten dowcip pana prezydenta, posiadając ślepe zaufanie w niezmierną mądrość rządu, który tak lekceważył sobie siły burzycieli porządku. Na ówczesnym sejmie lwowskim toczyła się kwestya o zniesienie pańszczyzny. Większość była za tem, aby na legalnej drodze z pomocą rządu zamienić ją na czynsze, lub na wykupno. Krieg sprzeciwił się temu i ludził obietnicami, wszelkimi używając sprężyn, aby rzecz tę zniweczyć. Szlachta z całym zapalem rzuciła się pomiędzy sobą: jedni za, a drudzy przeci projektowi temu. A nawet ci, co wiedzieli o robotach naszych, czy to przez niedowiarstwo, czy też rozmyślnie, chcąc przez to wydrzeć nam broń z ręki, popierali na seryo sejmowe projekty, jak gdyby nic innego wkrótce nastąpić nie miało“.

Gdyby owe poufne ostrzeżenia szlachty i lekkomyślne wynurzenia barona Kriega podniesione były jawnie i głośno na sejmie tak, żeby na ich autentyczność pozostał był protokularny dokument, był-by dla historii powstał niezbity dowód winy biurokracyi za przebieg i rozmiar katastrofy z roku 1846, winy, która wprawdzie dziś da się wobec sądu krytycznego historii wykazać, ale początkowo była całkowicie spychana na społeczeństwo polskie, a nawet już w brzasku ery konstytucyjnej w Austrii, kiedy nastąpiła wolność słowa, a z nią także wolność badań i sądów historycznych o grzechach dawnej biurokracyi austriackiej, w Galicyi i w góle w państwie popełnionych, została w znanem, i za klasyczne uważanem dziele niemieckiem Maurycego br. Sali (byłego radcy gubernialnego we Lwowie w roku 1846) o wypadkach roku 1846 tak zamglona, że jeszcze podjęte być musi ważne zadanie rewizyi materiału i procesu historycznego w tej sprawie.

Czy w gronie szlachty, zgromadzonej na sejm stanowy w jesieni roku 1845, nie było ludzi tak rozważnych i przenikliwych, żeby wbrew twierdzeniu Franciszka hr. Wiesiołowskiego uważali koncept br. Kriega o doniosłości spiskowej roboty za lekkomyślne, lub może

¹⁾ Sposobność do takiej rewizyi, a nawet jej konieczność zajdzie w chwili, gdy profesor uniwersytetu w Grazu, dr Jan Loserth, ogłosi drukiem znaleziony w styryjskiem archiwum krajowem pamiętnik Breinla, starosty Tarnowskiego z roku 1846, głośnego bohatera rzezi zachodnio-galicyjskiej. Dzięki uprzejmości profesora Losertha, piszący mógł z rękopisu, do druku przygotowanego, poznać ów pamiętnik, i znalazł tam szczegóły, które, wraz z materiałami skądinąd uzyskanemi a dotąd nieznanemi, pozwolą mu co najmniej zainicjować wspomnianą rewizję (*Trzyp. autora*).

nawet za przewrotne łudzenie zaniepokojonych i w konsekwencji gotowi byli podnieść sprawę publicznie w sejmie dla zapobieżenia nieszczęściu. Z pewnością nie brakło takich członków w sejmie, a każdy z wymienionych przez nas powyżej uczestników jego niezawodnie gotów był do takiego wystąpienia. Ale trzeba pamiętać, że się ma tutaj do czynienia nie z sejmem dzisiejszego ustroju, sejmem wyposażonym wolnością słowa i nietykalnością poselską, sejmem, nie tylko uprawnionym, lecz nawet powołanym do kontroli rządu, ale z sejmem postulatowym, skazanym z góry tylko na potakiwanie wszystkim postulatom i komunikatom rządowym, na co wyznaczono kilka krótkich posiedzeń i tak do połowy zaprzątniętych aktami śmiesznego ceremoniału. Jakżeż więc w takim sejmie mógł odezwać się głos śmielszy, bodaj z interpelacją, zaznaczającą w samym pytaniu istnienie niepokojących symptomatów i potrzebę wczesnego odwrócenia burzy, zrywającej się dzięki biurokracyi, która tak długo przedtem wiatr siała? Popamiętał-by był gniew br. Kriega śmiałek, występujący z takim zapytaniem, a swoją drogą głos jego przebrzmiał-by bez najmniejszego śladu w protokóle urzędowym, który spisywał aktuaryusz, z ramienia rządu ustanowiony, a poprawiał br. Krieg w ten sam sposób arbitralny, jak naprzykład referaty podwładnych urzędników gubernialnych.

Wolno było jednak szlachcie prosić w roku 1845 rząd o ulgi i zapomogi dla poddanych, bo ulgi te i zapomogi dostawały się im za pośrednictwem biurokratów cyrkularnych w ten sposób, jak gdyby były dziełem biurokracyi, wymuszonem na nieludzkiej i odpornej szlachcie. Z tej wolności korzystała szlachta w szerszym zakresie na sejmie stanowym z roku 1845. Widocznie przyświecała jej myśl, że może w ten sposób przez złagodzenie wyjątkowej, klęskami elementarnemi spowodowanej, nędzy włościan w zachodniej Galicyi, da się zatamować źródło owych niepokojących symptomatów, o których hr. Krasiecki w swoim memoryale wspomina. Smutna ironia losu sprawiła, że z tego, co na sejmie stanowym w roku 1845 dla poddanych uczyniono, czerpała w kilka miesięcy później niesumienna biurokracya środki przynęty i nagrody dla zbrodniczych bohaterów katastrofy z r. 1846.

Sprawę niesienia pomocy dla dotkniętych powodzią zachodnich i północnych okolic kraju, głównie w obwodzie Tarnowskim i Bocheńskim, podniósł według urzędowego protokołu na posiedzeniu sejmowym z 23 września 1845 roku Leon książę Sapięha, a obok niego Franciszek Wolański i Antoni Kraiński. Sama potrzeba takiej pomocy przez nikogo nie została zakwestyonowana, a tylko co do sposobu jej urzeczywistnienia prowadzona była rozprawa, zakończona ostatecznie przyjęciem wniosku Karola księcia Jabłonowskiego, według

którego Stany proszą cesarza, aby: 1) do funduszu, przeznaczanego ku wsparciu zostających w potrzebie włościan galicyjskich, dodana została jak najrychlej suma 400,000 złr. m. k. z najwyższego skarbu, a Stany oświadczają swoją gotowość, przypadające od tej sumy prowizye po 4% przez lat dziesięć, w miarę zmniejszającej się co rok przez częściowe spłaty pożyczki, z funduszu domestykalnego ponosić. 2) Aby ta pomoc w razie potrzeby podwyższona była aż do sumy 1,500,000 złr. m. k., od której-to przewyżki prowizye, także po 4% liczyć się mające, cały kraj ponosił-by w stosunku podatków stałych i czopowego, jaki istniał do roku 1825“.

Nadto Leon książę Sapielha podniósł potrzebę zakładania magazynów zbożowych dla włościan, celem dostarczania im każdego czasu ziarna na żywność i zasiew po cenach stałych pod powagą rządu, a skoro prezydujący, br. Krieg, uznał to za niepodobne, ks. Jabłonowski proponował utworzenie w tym celu towarzystwa akcyonaryuszów „które-by, ku ulżeniu nieszczęśliwym, wielkie straty, na jakie to przedsiębiorstwo było-by narażone, ponieść było gotowe“. Tę ostatnią myśl usunął br. Krieg z obrad sejmowych, oświadczając, że „to dobrowolnemu porozumieniu się osób prywatnych musi być pozostawione“.

Powyższe uchwały sejmu stanowego zatwierdzone zostały przez cesarza 6 grudnia 1845 roku, a sumy potrzebne polecono asygnować z bukowińskiego grecko-nieunickiego funduszu religijnego. O przychylniej decyzji cesarskiej zawiadomiło prezydium gabinetowe wydział stanowy z tym, w urzędowym protokóle obrad sejmowych zapisanym, dodatkiem, że Najjaśniejszy Pan rozkazał Stanom galicyjskim oznajmić, jako o gotowości ich do niesienia pomocy z własną nawet ofiarą poddanym, w niedoli pogrążonym, z upodobaniem powziął wiadomość“.

*

*

*

Do ceremoniału sejmowego należało wtedy także uchwalanie adresu do tronu ku końcowi sesyi. Adresy te były w latach poprzednich krótkie, w tonie swoim urzędowo - dziękczynne, a tylko nieśmiało i krótko odzywały się w nich główne życzenia kraju, mia-uowicie co do większego uwzględniania języka polskiego w szkołach i urzędach. W r. 1845 adres, ułożony przez Tadeusza Wasilewskiego, wypadł odmiennie, bo pominawszy okoliczność, że jest tak obszerny, jak żaden poprzedni, niemal zbliża się treścią i formą do nowoczesnych adresów parlamentarnych, a poniekąd nawet uderza śmiałością w zaakcentowaniu potrzeb krajowych, zwłaszcza pomocy pu-

blicznej dla włościan, reformy stosunków włościańskich i uwzględnienia języka krajowego. To karykaturalne z dzisiejszego punktu widzenia ciało reprezentacyjne znać dobrze było przejęte ważnością danej chwili pod względem politycznym, bo nasuwa się domysł, że aktem poważnym chciało, ile to w jego mocy było, stanąć wpoprzek rozwojowi spiskowych planów. A i to jeszcze wpada w oko, że rząd, wodzący na pasku sejm stanowy, nie sprzeciwił się uchwaleniu adresu, odbiegającego od oschłego szablonu. Czy wobec gwałtownego prężenia atmosfery spiskowej widział w tem wentyl bezpieczeństwa dla siebie, lub, co prawdopodobniejsze, chciał mieć na przyszłość pozory liberalnego traktowania politycznych aspiracji stanów, a więc i społeczeństwa polskiego? Bądź co bądź, ten ostatni adres ostatniego sejmu stanowego zasługuje dziś na przypomnienie, jako dokument historyczny, pochlebnie świadczący o tem pokoleniu szlachty polskiej w Galicyi, na które w kilka miesięcy później paść miały ciosy tak straszne. Oto brzmienie tego adresu:

„Najjaśniejszy Panie! Już przeszły rok słotny w całym kraju zawiódł pracę i nadzieję rolnika, a znaczne przestrzenie nad rzekami wodą zalane dobytek wraz z całorocznym plonem utraciły tak, że już wyżywienie części ludności, oraz uprawa ziemi na ten rok były trudne. W tym roku jeszcze mniejszy mamy urodzaj. Część zboża już w stanie dojrzałości na polu porosła, inna przy szczupłym ziarnie mały obiecuje wydatek; ziemniaków zbiór jeszcze niepewny, a klęski elementarne z większą odnowiły się srogością i rozleglejsze okolice zajęły. W wielu miejscach spadły grady, w innych sroży się zaraza na bydło, a w nizinach powodzią dotkniętych całe wsie zniszczone, cała ich ludność bez wyżywienia, bez dachu, ogołocona z bydła, z paszy dla pozostałego, ze sprzętów i odzieży, opuszcza potem ojców i swego czoła użyźnioną ziemię i rozchodzi się o zebranych chlebie za zarobkiem. Wyczerpane dawniejsze i przeszłoroczne zapasy, a niewielkie tegoroczne zbiory zapowiadają drożyznę i głód w tych stronach, które nic nie zebrały.

„W tak wielkiem i powszechnem nieszczęściu wierne Stany, przyjmując na siebie ze zwykłą gotowością ofiary, których Najjaśniejszy Panie w najwyższych postulatach na potrzeby ogólnego państwa zażądałeś, nie dla siebie o ulgę, ale o pomoc skuteczną i spieszną dla poddanych tych okolic upraszają, które najwięcej od powodzi ucierpiały, a których dominia równą klęskę poniosły i dochodów pozbawione dopomódz nie mogą. Uchwałę Sejmu, tego przedmiotu dotyczącą, Waszej Ces. Król. Mości ośmielamy się w pokorze szczególnie polecić. Ofiary chwilowe, które skarb najwyższy dla zachowania znacznej części ludności i utrzymania żywności ziemi poniesie, ofiary, do których i Stany według sił swoich chcą się przyłożyć, za powrotem zamożności do zni-

szczonych dziś okolic rychło się wynagrodzą, a Wasza Ces. Król. Mość dodasz jeszcze jedno dobrodziejstwo do tych, któremi serca wiernych poddanych swoich świeżo sobie zobowiązałeś. Rok ten klęskami wślawiony równie pamiętnym będzie Twojemi, Miłościwy Panie, dobrodziejstwami.

„Wraz z całą monarchią składamy Waszej Ces. Król. Mości czułe dzięki za skrócenie służby wojskowej. Składamy również dzięki za łaskę, z jaką przebaczyć raczyłeś niektórym ziomkom naszym, za polityczne występki pod sąd pociągnionym. Dokończ, Miłościwy Panie, dzieła dobroci, zatrzyj pamięć łez, które niejedna rodzina jeszcze wylewa, aby i my i wnukowie nasi tylko dobrodziejstwa Twoje wspominali.

„Uznając ważność kolei żelaznej dla kraju, raczyłeś Wasza Ces. Król. Mość koszta tej budowy przyjąć na skarb najwyższy. Rozkaż Miłościwy Panie przyspieszyć to wielkie dzieło, konieczny przyszłej pomyślności naszej warunek. Wiele rąk pracowitych bez sposobu zatrudnienia wygląda zarobku z tej budowy. Przy takim ubieganiu się robotników, nigdy ta budowa taniej nie będzie mogła być wykonana, a nigdy dozwolony zarobek tak wielkiem jak teraz nie stanie się dobrodziejstwem.

„W wyższym jeszcze stopniu niż kolej żelazna rokuje krajowi błogą przyszłość poprawa i uregulowanie stosunków włościańskich, któremi wybranej z grona Stanów komisji zająć się Miłościwy Panie pozwoliłeś.

„Pokorną prośbę Stanów o rozszerzenie działań tej komisji chcej Wasza Ces. Król. Mość przyjąć łaskawie. Nie jest bynajmniej zamiarem zgromadzonych Stanów naruszać czyją bądź własność, odejmować prawa dobrze nabyte, wzniecić obawy lub nadzieje, które-by bieg gospodarstwa krajowego tamować i produkcję jego umniejszyć lub spokojność wewnątrz narazić mogły; owszem Stany chcą wszelkie prawo uświęcić, ale jego korzystnemu używaniu stojące na zawadzie przeszkody usunąć, otworzyć pole dobrowolnym układom i dać sposobność lepszego rozwinięcia sił tak właścicielom dóbr, jak włościanom, ku podniesieniu krajowego gospodarstwa i bogactwa, a odjęciem każdemu na przyszłość niespokojnemu poruszeniu powodu i pretekstu uczynić je niepodobnemi.

„W zbyt ciasnym zakresie ograniczona komisya, nie przyniesie oczekiwanych po niej owoców. Że potrzeba rozszerzenia jej działalności czuć się daje powszechnie, służyć może za dowód ta znaczna więk-
szość, z jaką Stany, po największej części złożone z właścicieli dóbr

z różnych okolic, w większej nad zwyczaj liczbie zgromadzonych, zanieśnienie tej pokornej prośby do stóp tronu uchwałyły.

„Nakoniec dzięki pokorne składamy Waszej Ces. Król. Mości. żeś łaskawie polecił raczył, aby c. k. władze wzięły pod rozwagę, czy nie mogą niektóre przynajmniej nauki w akademii realnej być w mowie polskiej wykładane. Co do wyboru przedmiotów zgadzamy się z oświadczeniem wysokim rządowi krajowemu przez nasz wydział zdaniem. Skutek, Najjaśniejszy Panie, wkrótce okaże pożytki tej łaskawej Waszej Ces. Król. Mości decyzji i przekona wysokie władze o potrzebie dania powoli coraz większej rozległości mowie krajowej we wszystkich naukowych instytutach, której po dobroci i sprawiedliwości Twojej, Miłościwy Panie, w przyszłości sobie obiecujemy. Mowę bowiem przodków uważamy za najdroższe nasze dziedzictwo, a jej używanie i uprawę za najświętszy nasz obowiązek i naświetsze prawo; o zachowanie i wspieranie tej mowy nigdy Waszej Ces. Król. Mości błagać nie przestaniemy. Mowa ta bogata, dzwięczna i wykształcona, większego jeszcze wykształcenia zdolna, posiadająca dzieła we wszystkich gałęziach nauk i literaturę, która już przestaje być nieznaną Europie, gdyby od nauk i szkół była na zawsze oddalona, zstąpić-by musiała do rzędu mów prostego gminu, a i ten gmin cywilizacji innych narodów przyjmować-by nie zdołał, skoro-by w mowie własnej ich wiadomości i wynalazków przyswajać sobie nie mógł.

„Jeżeliś na teraz, Najjaśniejszy Panie, nie widział się spowodowanym przychylić się do pokornej prośby Stanów o dozwolenie podać w tej mowie do sądów w sprawach spornych, nie tracimy nadziei, że przy ustanowieniu nowego kodeksu sądowego na usilne w imieniu blisko pięciu milionów wiernych poddanych Twoich zanieśnione błaganie nasze względ łaskawy mieć będziesz raczył. Szanujemy wolę Twoją, Miłościwy Panie, i gdyś wyrzekł, że w sprawach spornych chcesz, aby przy używanej dotąd w sądach mowie pozostać, tą zaś mową z dawnego używania jest łacińska, domagamy się jedynie, aby te woli Waszej Ces. Król. Mości stało się zadość, a ze smutkiem donieść musimy, że się jej zadość nie dzieje. Sądy bowiem w Galicyi, odrzucając nawet w sprawach niespornych podania polskie, niemieckie w spornych i niespornych przyjmują, wyroki i rezolucye po niemiecku stronom na ich łacińskie podania wydają. Gdyby w ten sposób język niemiecki wszedł w zwyczajne sądów używanie, jużby od tego zwyczaju, gdy raz się zadawni, trudno było później na korzyść mowy krajowej odstąpić.

Gdyby zaś wspomniane powyżej postanowienie Waszej Ces. Król. Mości ściągało się tylko do pism sądowych w sprawach spor-

nych, śmiemy ponowić pokorną prośbę, abyś Najjaśniejszy Panie w sprawach niespornych, w sprawach *nobilis iudicis officii*, w sprawach spadkowych, opiekuńczych, tabularnych, podania polskie przyjmować rozkazał.

„Łączymy do tej prośby jeszcze tę drugą, aby jak od politycznych urzędników wymagana jest znajomość nie jakiegokolwiek słowiańskiego, lecz wyraźnie polskiego języka, przepis ten i na urzędników sądowych rozciągnął łaskawie i rozkazał przy egzaminie kandydatów z mowy polskiej zastosowywać tę formalność i tę surowość, które są przepisane przy innych egzaminach. Mowa polska bowiem nie jest dyalektem żadnej mowy słowiańskiej, lecz mową osobną. Między nią a pobratymczemi mowami przez wiek i różny stopień uprawy nastaly różnice, które nieraz podobnemu brzmieniu nietylko inne, ale nawet przeciwne nadają znaczenie. Przy znajomości więc innej słowiańskiej mowy mógłby sędzia, nieumiejący po polsku, mając wyrokować nad dokumentami i zeznaniami polskimi, być narażonym na szkodliwe i niepozwetowane pomyłki“.

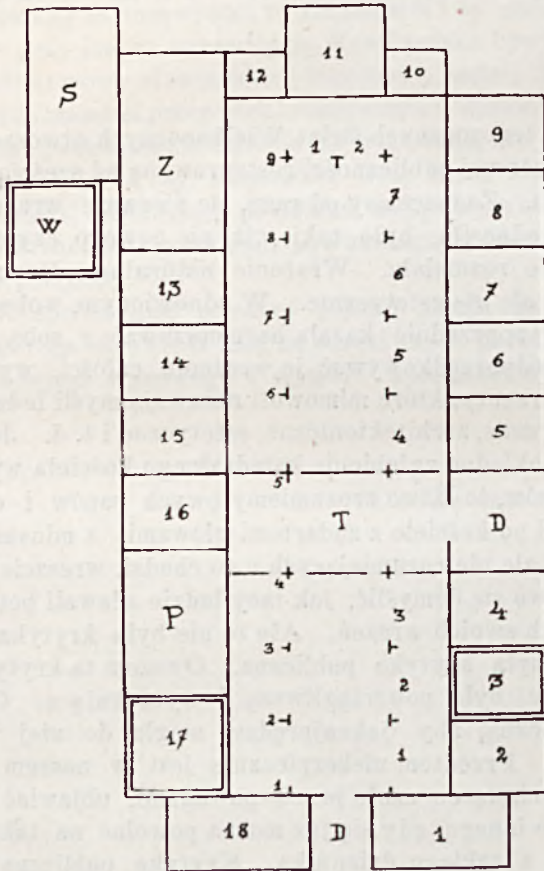
W niespełna pięć miesięcy później zaszła katastrofa z lutego 1846, szydlercza odpowiedź losu na oczekiwanie, połączone z uchwałą ostatniego sejmku stanowego w sprawie włościańskiej i z adresem do tronu.

DR. BRONISŁAW ŁOZIŃSKI.

Polemika o Wawel.

W czasie tegorocznych świąt Wielkanocnych otworzono po raz pierwszy dla szerszej publiczności restaurowaną od sześciu lat katedrę na Wawelu. Zaznaczamy od razu, że pierwsze wrażenie, jakie ta publiczność odnosiła, było takie, iż nic nowego, czy odnowionego Wawelu nie rozumiała. Wrażenie naturalne. Dawny Wawel odczuwało się, ale nie estetycznie. W odnowionym, wobec usuniętej patyny, która poprzednio kazała harmonizować z sobą wszystkim szczegółom i podporządkowywać je wrażeniu całości, wystąpiły na pierwszy plan rzeczy, które mimowoli nasuwają myśli ludzkiej zagadnienia historyczne, architektoniczne, estetyczne i t. d. Jeżeli nadto zważymy, że dokładne zgłębienie katedralnego kościoła wymaga poważnych studyów, to łatwo zrozumiemy owych panów i owe panie, którzy chodzili po kościele z zadartymi głowami, z minami osób rozczekawionych, ale nie rozumiejących o co chodzi, wreszcie rozczarowanych. Łatwo się domyślić, jak tacy ludzie zdawali potem słowem sprawę z takich swoich wrażeń. Ale to nie była krytyka naukowa, poważna, nie była krytyka publiczna. Owszem ta krytyka prywatnych rozmów była powściągliwszą i wyczekującą. Czekala na krytykę publiczną, aby jaknajprędzej mogła do niej zastosować własne opinie. Przedtem niebezpiecznie jest w naszym społeczeństwie, zwykle chylącym czoło przed powagami, objawiać samodzielność sądu. Co innego, gdy się już można powołać na taki a taki artykuł takiego a takiego dziennika. Krytyka publiczna wystąpiła zaś szalenie szybko ze swoim zdaniem na widownię—widocznie zdawna przygotowywała się do występu, niektóre pomysły przeżuwać, innych nie mogąc strawić. Wobec tego, że odnowiona katedra wywołała dyskusję bardzo ożywioną i pełną poglądów niejednokrotnie sprzecznych, na czasie będzie zdać, celem należytego oświetlenia kwestyi, sprawę z tej publicznej krytyki już w obecnej chwili, skoro wystąpiła ona tak nagle, a zarazem gwałtownie, że prawdopodobnie

blizka wyczerpania odłoży na jakiś czas stępiony oręż, by dopiero znowu po pewnym przeciągu czasu z większą rozwagą i spokojem ocenić całe dzieło restauracji jeszcze raz wtedy, gdy przedewszystkiem będzie ono zupełnie już ukończonem. Więc pierwszy okres krytyczny zdaje się minął. Zanim jednak przystąpimy do przeglądu krytyk, nie od rzeczy będzie przedstawić plan ogólny i wskazać najważniejsze momenta obecnej restauracji katedry, o ile to dla zrozu-



mienia omawianych krytyk jest koniecznem, a bez czego z drugiej strony rzecz zwłaszcza na czytelniku nie zamieszkałym w Krakowie mogła-by niejednokrotnie sprawiać wrażenie częzjej nomenklatury. Należy przedewszystkiem przestrzedz, iż załączony poniżej plan jest schematem, to znaczy: nie liczy się ani z rzeczywistym kształtem, ani proporcjami katedry. Służy tylko do jej przypomnienia.

Na tę całość, którą oznaczamy nazwą katedry, składają się trzy czynniki właściwie od siebie niezależne, tj. krypta św. Leonarda, kościół właściwy i podziemia, czyli t. zw. groby. Krypta św. Leonarda jest najstarszą częścią składową obecnej katedry, bo pochodzi z XI wieku, z epoki romańskiej. Kościół jest późniejszy, bo po spaleniu się dawnego romańskiego, poświęcono nowy, gotycki, w r. 1364, a wreszcie podziemia czyli groby pochodzą dopiero z wieków XVI i XVII. Nas zajmuje przedewszystkiem kościół. Krypty św. Leonarda i grobów zrestaurowanych w r. 1874, przez Józefa Łepkowskiego, obecna restauracya nie obejmuje.

Katedra zwrócona jest północną stroną ku miastu. Wobec tego kaplica Zygmuntońska (numer 5 na planie) stoi od południa, wielki ołtarz w stronie wschodniej, a główne wejście (D.) umieszczone jest w stronie zachodniej. Jądro kościoła stanowi 9 par filarów i jeden filar bez pary, stojący w środku między dwoma filarami ostatniej (od głównego wejścia) pary, a zakryty dziś wielkim ołtarzem; na tych to filarach wspiera się 7 par dużych gotyckich arkad i 2 arkady za głównym ołtarzem. Przednia część kościoła, od głównego wejścia zachodniego, aż po nawę poprzeczną czyli transept (T), składa się, nie mówiąc tu umyślnie o kaplicach, z trzech naw, tj. z nawy głównej, środkowej, utworzonej z 4 pierwszych par filarów a z 3 par arkad, wysokiej na 19.60 m., i z lewej i prawej nawy bocznej, wysokich na 7.90 m. Pomędzy 4 a 5 parą filarów jest transept, czyli nawa poprzeczna. Transept ten nie występuje w katedrze na zewnątrz poza boczne ściany kościoła, niemniej jest zupełnie wyraźny, na zewnątrz przez swój dach, skrzyżowany z dachem nawy głównej, i gotyckie, nietynkowane (Rohbau) szczyty na obu swoich ramionach północnem i południowem, a na wewnątrz przez brak arkad między 4 a 5 parą filarów, przez wysokość swoją równą wysokości nawy głównej i presbiterium, przez odcięcie i zamknięcie swojemi ścianami naw bocznych a wreszcie przez odległość pomiędzy 4 a 5 parą filarów, która wynosi blisko 8 m., podczas gdy wszędzie indziej odległość ta wynosi 5.75 m. W samym środku transeptu stoi trumna św. Stanisława, którego ciało (ale nie trumnę, bo obecna, już czwarta, jest dziełem złotnika gdańskiego z drugiej połowy XVII wieku) przeniesiono na to miejsce jeszcze w r. 1254 z dzisiejszej kaplicy Wazów (№ 4). Trumna ta stoi na pełnem prostoty, a przez to pięknem, retabulum z czerwonego marmuru, pod rodzajem kaplicy, fundowanej w XVII w. (więc oczywiście barokowej) przez biskupa Szyszkowskiego, który równocześnie fundując tę kaplicę zburzył wysokie lektoryum u wstępu do presbiterium.

Obecnie w tej zachodniej części kościoła zrestaurowano chór muzyczny, okno nad chórem, ożłocono kaplicę św. Stanisława (ma być jej jeszcze przywrócona balustrada i krata), 4 freski w nawie głównej, pochodzące z XVI w. przemalowano, jeden zaś pozostawiono nietknięty i wreszcie usunięto z pod filarów 4 barokowe ołtarze, rozdane kościołom, a pomnik Skargi przeniesiono do kościoła św. Piotra. W trzeciej zaś arkadzie, po prawej (od wejścia) stronie, ma stanąć jeszcze sarkofag Jagielly, przeniesiony z tego miejsca na początku XVIII wieku do narożnika kaplicy Święto - Krzyskiej (№ 1).

Tuż poza transeptem, we wschodniej połąci kościoła, zamknięty czterema parami arkad od północy i południa, a dwiema arkadami od wschodu, rozciąga się wyjątkowo długi chór kapłański, czyli presbiterium. Całe presbiterium, a więc i jego wschodnią ścianę z dwiema arkadami, do początku XVIII wieku obiegała gotycka nawa, stanowiąca jak gdyby dalszy ciąg naw bocznych poza transeptem, a podwyższona z początkiem XVIII wieku przez biskupa Kaźmierza Łubińskiego (1719) do wysokości nawy głównej i transeptu i to podwyższona ponad gotycką częścią w baroku. Ta nawa to ambit czyli obejście. Pomiędzy ósmym a dziewiątym filarem (od głównego wejścia) z prawej strony stoi sarkofag Kazimierza W., pomiędzy zaś ósmym a dziewiątym filarem z lewej strony sarkofag Łokietka. Sarkofagi stoją już jednak właściwie w ambicie. Pomiędzy siódmym a ósmym filarem stoi zaś tak po prawej, jak po lewej stronie w każdej arkadzie renesansowa bramka. Te dwie bramki pochodzą z samego początku XVII wieku. Poza tem zapełnieniem dwóch ostatnich par arkad bramkami i sarkofagami posiadały prócz tego w Średnich Wiekach arkady presbiterium kratę, umieszczoną na niskim (1.30 m.) parapecie, zbudowanym z wielkiej cegły Kazimierzowskiej. Dopiero przy końcu XVII wieku zamurowano całkowicie dwie wschodnie arkady za wielkim ołtarzem, a w XVIII wieku zamurowano wszystkie arkady północne i południowe częściowo, tak, iż obecna restauracya zastała w arkadach tych mur wysoki mniej więcej na 3 m., a pozostałe ponad murem wolne części arkad oszklone. Jak były urządzone siedzenia dla kleru w presbiterium przed XV wiekiem, dziś trudno jest zdać sobie sprawę. W każdym razie w XV wieku znajdowały się już w presbiterium dębowe stalle. Niewiadomo także napewne jaki był wielki ołtarz przed epoką renesansu. Profesor Wojciechowski cytuje domysł Władysława Łuszczkiewicza, że to był krucyfiks królowej Jadwigi (ale zaznacza, że niekoniecznie ten sam, który dziś jest w ambicie), umieszczony w szafiastym tryptyku. W każdym razie w połowie XVI w. był już renesansowy, fundacyi

biskupa Samuela Maciejowskiego, a w połowie wieku XVII biskup Piotr Gębicki fundował nowy barokowy. Ołtarz ten z obrazem Tomasz Dolabelli, usunięto w roku 1879, gdyż był mocno zniszczony.

Restauracya obecna nie obniżyła ambitu. Odsłoniła cały sarkofag Łokietka przez przeniesienie zakrywającego go pomnika biskupa Trzebieckiego na ścianę dzisiejszego przedsionka (P) i projektuje dla sarkofagu baldachim gotycki według odnalezionych śladów jego filarów. Odkryła, iż północna strona tumbi Kazimierza W. nie jest z czerwonego marmuru, ale że jest to płyta grobowa jakiegoś nieznanego bliżej kustosa Franciszka, użyta do budowy tumbi. Pozostawiła ją jednak na tem miejscu. Murowi katedry, na przestrzeni poniżej wielkich nieoszklonych okien, przeprowadzających światło z ambitu do presbiterium, a pomiędzy łukami arkad—przywrócono pierwotny „Rohbau“, na którym mur jest wszędzie z ciosu. Dwie arkady za wielkim ołtarzem pozostawiła zamurowane całkowicie.

Dwie ostatnie pary arkad, to jest szósta i siódma para, otrzymały, o ile na to pozwalają sarkofagi i bramki, mniej więcej 1½ m. wysoki parapet z czerwonego marmuru, na którym stanie jeszcze w tych obydwóch parach arkad renesansowa (cokolwiek zmodernizowana) brązowa krata, rozkwitająca u samej góry w stylowe lichtarze, których cały rząd będzie w ten sposób po grzbiecie kraty przebiegał w łukach arkad. Bramki otrzymają odpowiednie do kraty ażurowe brązowe furtki i także szczyty. Z obu stron każdej bramki wprawiona będzie od strony ambitu, tuż pod kratą, w górnej części owego parapetu z czerwonego marmuru, brązowa płyta z figuralną rzeźbą, zastosowana do otoczenia i jego tradycyi. Tak się tedy przedstawia dwie ostatnie pary arkad. Zamiast zaś owych prowizorycznie ceglanych ścianek z XVIII w., które były wstawione we wszystkie arkady północnej i południowej strony presbiterium, wzniesiono w czwartej i piątej parze arkad ściany z dużego ciosu, mniej więcej do tej samej wysokości, do jakiej wznosiły się poprzednie, zapełnione od strony ambitu różnemi napisami. Otóż ten nowy mur ciosowy w piątej arkadzie po lewej stronie (północnej) będzie miał u szczytu swego od strony ambitu nowoczesny ornament roślinny, a w swoim środku furtkę renesansową z taką kratą, wiodącą z ambitu na schodki do ambony, na nim zaś stanie jeszcze krata także z motywów roślinnych, która zasłaniać będzie tyły stall, ustawionych po północnej i południowej stronie presbiterium, a które inaczej byłoby widać z ambitu przez otwarte (w górze nad murem) łuki arkad. Ponad tą kratą zostanie jednak jeszcze sama górna część łuku wolna i otwarta. Oszklenia więc skasowano. W czwartej arkadzie z lewej strony, mur ciosowy ma również roślinny ornament u szczytu i taką samą

na sobie, jak mur w arkadzie poprzedniej. W jego środku zaś będzie umieszczona srebrna wypukło-rzeźba roboty cyzelerskiej Hakowskiego, przedstawiająca Matejkowską odsiecz Wiednia, a fundowana (pierwotnie na antepedym do wielkiego ołtarza) przez ś. p. Artura hr. Potockiego. W czwartej i piątej arkadzie po prawej stronie, mur między-arkadowy posiadać będzie u szczytu ornament roślinny i kratę, takie same, jak mur z przeciwka—zresztą mury te przeznaczone są wogóle na umieszczenie tych samych epitafów, jakie restauracya zastała na owych ściankach z XVIII wieku.

W późno renesansowych stallach musimy ze względu na restauracyę odróżnić trzy części tj. 1) dwie kondygnacye siedzeń 2) zapplecki, tj. część wznoszącą się od siedzeń do baldachimu i 3) część najwyższą, tj. baldachim stall. Otóż do czasów restauracyi dochowały się: siedzenia stall północnych (z dolną częścią ambony) i południowych, utrzymane w jednym charakterze ogólnym, ale przecież różne w swej kompozycyi, i fragment zappleków u stall północnych. Wobec tego prof. Odrzywolski u stall północnych skompletował tylko zapplecki, a dokończył baldachim dla całych stall i osobny baldachim dla ambony; u południowych skomponował całe zapplecki wraz z baldachimem, w tym samym charakterze, jaki mają stalle północne, ale z różnicami w szczegółach, idąc w ślad za analogią siedzeń.

Z inicjatywy jeszcze Matejki, obecna restauracya przywróciła, odrestaurowała i odzłociła wielki ołtarz Gębickiego. Z fresków, a właściwie z polichromii, bo nie wszędzie była technika al fresco, jaka się zachowała w ślepych oknach (wnękach) presbiteryum, odrestaurowano trzy freski barokowe w ścianie południowej, a w ścianie wschodniej dwa freski średniowieczne poza wielkim ołtarzem pozostawiono nietknięte, jeden po lewej stronie wielkiego ołtarza, przedstawiający św. Jana, odrestaurowano. Pozostałe osiem malowideł średniowiecznych uważano za nieodpowiedne do odrestaurowania i po odfotografowaniu ich zniszczono.

Kościół otacza dziś 18 kaplic, nie licząc kaplicy św. Stanisława, a prócz tego jeszcze 4 budowle, t. j.: 1) Zakrystya (Z) pierwotnie kaplica pod wezwaniem św. Małgorzaty, fundowana w r. 1322 przez biskupa Nankiera, twórcy gotyckiej katedry; 2) skarbiec (S), postawiony w XV w. na miejscu drugiej zakrystyi, t. zw. wewnętrznej, przez biskupa Jana Rzeszowskiego († 1488); 3) duża sień (P) ze schodami, wiodącemi dziś do nowego kapitulnizka i na chór muzyczny, na której miejscu była prawdopodobnie już w XIII w. jedna, zapewne romańska, kaplica św. Mikołaja. W obrębie tej kaplicy, tuż przy wschodniej ścianie dzisiejszej kaplicy ks. Czartoryskich, fundował w 1465 r. kasztelan sandomierski Hinek, czyli Hińcza z Rogowa,

drugą, niską i wąską kaplicę pod wezwaniem śś. Młodzianków. I wreszcie na galerii, do której prowadziły schody z dwóch stron kaplicy Hińczowskiej, była kaplica trzecia, bo w drugiej połowie XVI w. przeniesiono na tę galerię ołtarz śś. Jakóba i Klemensa i na ołtarzu tym okazywano głowę św. Stanisława w dniu, czci jego poświęcone. Poprzednio, i to już od r. 1254, głowę św. Stanisława okazywano przez otwór w murze, na tem samym miejscu, ale tylko na platformie. Z tym historycznie ciekawym, a jak słusznie prof. Wojciechowski powiada, artystycznie prawdopodobnie uroczym zakątkiem katedry, XVIII w. obszedł się po swojemu. Książd Potkański († 1789) urządził tutaj schody (w stylu rococo) do nowego kapitułarza. Dla nich więc skasował odrazu trzy kaplice, ale za to postawił sobie na tem miejscu pomnik. Podobnie w XVII w. biskup Gębicki nie uważał za niestosowne uczynić ze swego sarkofagu *przed wielkim ołtarzem* parę do sarkofagu królowej Jadwigi. To są zresztą tylko dwa przykłady à propos owego dużego dzisiejszego przedsiönka.

Prócz tych trzech ubikacji pozostaje jeszcze w luźnym związku z kościołem: 4) czwarta budowla, t. j. wieża Zygmuntowska (W), której tylko jedna wschodnia ściana przytyka do skarbcza, ale nie do kościoła. Luźny związek tłómaczy jej historia. Była to pierwotnie baszta obronna, postawiona może za Jagielly. Dzwon „Zygmunt“ zaś był odlany w r. 1520. Dwie pozostałe wieże mieszczą w sobie kaplice, więc ich nie wyliczam osobno. Śliczna wieża zegarowa, której zegar pochodzi z r. 1521, a obecny barokowy hełm z początku XVIII w., stawiana do połowy pierwszego piętra z ciosu może przez Kazmierza W., mieści dziś w parterze swoim od dwudziestu kilku lat kaplicę ks. Czartoryskich (Nr. 17); kaplica ta to dawny kapitułarz. Druga zaś niska wieża srebrnych dzwonów (3 dzwony nazwane tak dla swego głosu, nie dla materiału), której podstawa po wysokość pierwszego piętra sięga epoki romańskiej, ukończona jednak dopiero równocześnie z kaplicą Zygmuntowską (ale wykończona wyjątkowo w stylu gotyckim), mieści w swoim parterze kaplicę t. zw. Szafrañców (Nr. 3), ustąpną przez kapitułę około r. 1420 braciom (Piotrowi i Janowi) Szafrañcom, a następnie przez ostatniego z Szafrañców, Andrzeja, (tylko *ius collationis*) uniwersytetowi.

Obecna restauracja z pośród kaplic wybrała najpierw perłę, kaplicę Zygmuntowską, i tę odrestaurowała już przed kilku laty, jeszcze przed rozpoczęciem restauracji kościoła. Restauracja innych kaplic potrwa jeszcze parę lat. W wielu z nich odrestaurowano pomniki wielkiej wartości. W jednej z kaplic stanie pomnik Włodzimierza Potockiego, dłóta Thorwaldsena, przeniesiony z południowego ambitu, gdzie stał na grobowej płycie Anny Cylejskiej, drugiej żony Włady-

sława Jagiełły. Restauracja zakrystyi i skarbcza jest na ukończeniu. Wieżę Zygmuntofską zrestaurowano gruntownie od fundamentów (nie miała ich pod południową ścianą wcale!) aż do nowego hełmu wieżowego. Na wieży zegarowej zrestaurowano ściany ciosowe i odzłożono zegar. Wieża srebrnych dzwonów (gotycka) ma otrzymać hełm zupełnie analogiczny do strzelistego hełmu wyższej wieży Maryackiego kościoła.

Wreszcie zupełnie nowe nabytki, wprowadzone przez restaurację, są: pomnik kardynała Oleśnickiego (bronzowa płyta prof. Zumbuscha z Wiednia) fundacyi prywatnej i anonimowej, pomnik kardynała Dunajewskiego (część architektoniczna prof. Zumbuscha, biust dłota Zawiejskiego), na który się składano, i wreszcie witraże do okien nawy głównej i innych, zamówione w fabryce niemieckiej.

*

*

*

Omówiłem katedrę i jej obecną restaurację, w sposób bardzo daleki od wyczerpania przedmiotu, ale w takiej mierze, że gdy przejdę do treści krytyk, czytelnik będzie wiedział, *co* jest danej krytyki przedmiotem, a gdy dotknę formalnej strony każdej krytyki, dowie się także, *jak* krytykowano. Ponieważ zaś stojąc od początku na stanowisku sprawozdawcy, nie mogę się wdawać w meritum krytyk, przeto czytelnik nie spotka się nigdzie z mojem zdaniem o restauracyi—i w tym kierunku pozostawiam go jemu samemu. Tak ze względu na restaurację, jak na jej krytyki, dostarczam więc jedynie materiału informacyjnego, a nie krytycznego. Stanowisko takie ma jednak bez porównania większe znaczenie ze względu na katedrę, niż ze względu na krytyki. Dlatego też rozbiór ich na tem miejscu z tego stanowiska będzie niejako tylko dodatkiem.

W 15 numerze „Kraju“ z 26 kwietnia r. b. ukazała się pierwsza krytyka obecnej restauracyi katedry, w artykule pp. Koperi i Lepszego p. t. „Katedra na Wawelu, jej przeszłość i obecna restauracja“.

W artykule tym odróżnić trzeba dwa czynniki: naukowy, t. j. wszystkie uwagi, które się odnoszą do historii katedry, i czysto krytyczny, t. j. analizę obecnej restauracyi. Otóż ten drugi czynnik, który dla toczącej się polemiki jedynie ma znaczenie, jest prawie wyłącznie ujemną krytyką restauracyi. Panowie Lepsi i Koperi uważają bowiem za jedyne dodatnie strony obecnej restauracyi: 1) pracę komitetu restauracyjnego i kierującego architekta w czasie restauracyi kaplicy Zygmuntofskiej, kiedy pracowano „z nadzwyczajną energią i poświęceniem“, 2) restaurację przedniej części kościoła do transeptu wogóle, a projekt przeniesienia sarkofagu Władys-

sława Jagielly z kaplicy Święto-Krzyskiej w szczególności; 3) tendencję konserwatorską kierującego architekta, który „postąpił wzorowo“, umożliwiając na każdym kroku przyszłym pokoleniom odpowiedź na pytanie: jaki stan faktyczny zastała w katedrze restauracya z końca XIX w. i jakie zmiany w stanie tym spowodowała?

Poza tem artykuł „Kraju“ zawiera długi szereg zarzutów, wymierzonych przedewszystkiem przeciw kierującemu architektowi, prof. Sławomirowi Odrzywolskiemu, które podzielić możemy na dwie grupy. Oto zarzuty krytyki in faciendo consistentes: Projekt baldachimu dla sarkofagu Łokietka; hełm wieży Zygmuntońskiej, niesymetryczność jej okien i wogóle „dziwna nieporadność stylowa, brak przewodniej myśli“ w odnowieniu tej wieży; kolor wnętrza kaplicy Zygmuntońskiej; sposób odrestaurowania fresków w nawie głównej; usunięcie pomników Potockiego i Skargi; usunięcie barokowych ołtarzy bocznych; zamówienie witraży w niemieckich fabrykach, a pomników dla kardynałów Oleśnickiego i Dunajewskiego (tylko część architektoniczna) u prof. Zumbuscha. In non faciendo: Pozostawienie barokowych organów i filarów, podtrzymujących chór muzyczny; zachowanie wielkiego ołtarza barokowego; nie otworzenie arkad poza wielkim ołtarzem; nie obniżenie ambitu; nie wydobyć na jaw zamurowanej płyty kustosa Franciszka; zaniechanie polichromowania kościoła przez współczesnych malarzy polskich i wreszcie zarzut nierozpisywania konkursów.

Uczyniwszy restauracyi w ciągu swojego artykułu te wszystkie szczegółowe zarzuty, dopiero na samym jego końcu autorowie czynią zarzut natury ogólniejszej: „Planowi robót nie przyświecała dojrzała i konsekwentna myśl“. „Restauracya z dobytciem wszystkich cech gotyku“, to byłoby najwłaściwsze według autorów, którzy liczą się jednak i z drugą ewentualnością i powiadają, że, bojąc się radykalnej przemiany, „nie trzeba było usuwać wcale baroka i zostawić w całości wszystko“. Z tego wynika, że autorowie są za zasadą puryfikacyjną, t. zn., że radzi widzieliby przywrócony katedrze charakter kościoła gotyckiego takiego, jaki konsekrowano w r. 1364, a że przyjęcie dla restauracyi zasady historycznej, szanującej stan faktyczny, wytworzony przez historię, uważali-by wobec zasady puryfikacji stylowej za malum necessarium. Zaznaczmy także na tem miejscu, że sądząc ze skutków o przyczynie, restauracya obecna *faktycznie* trzyma się zasady, którą nazwał-bym eklektyczną lub kompromisową, od kompromisu, jaki wytwarza równoczesne stosowanie: momentu historycznego, puryfikacyjnego i wreszcie względu na twórczą inwencyę współczesną.

Krytyce pp. Kopyry i Lepszego należy, nie wdając się w meritum sprawy, uczynić dwa zarzuty natury czysto formalnej.

Nie ulega wątpliwości, że odpowiedzialność za szczegóły, które stworzył w całości prof. Odrzywolski, spada tylko na niego. Takiemi np. są: hełm wieży Zygmuntońskiej i baldachim nad sarkofagiem Łokietka. Ale obarczać prof. Odrzywolskiego odpowiedzialnością w kwestyach stanowiących z natury rzeczy przedmiot obrad czy uchwał komitetu restauracyjnego — jest co najmniej niewłaściwem. A przecież pp. Kopera i Lepszy zarzuty: nieobniżenia ambitu (jakkolwiek ogólnie wiadomo, że prof. Odrzywolski osobiście był właśnie za obniżeniem ambitu), nierozpisywania konkursów i t. d. czynią restauracy prof. Odrzywolskiego“. Autorowie nie liczą się więc tutaj z tym ważnym dla sprawy prejudykatem, iż krytyka może wprawdzie wytknąć architektowi, że, mając do wyboru: porzucenie restauracy z powodu nieprzyjęcia jego planu i prowadzenie restauracy w myśl kompromisu, zawartego między jego planem, a innymi planami, wybrał tę ostatnią ewentualność; ale nie wolno jej obarczać odpowiedzialnością za restaurację samego architekta wtedy, gdy właśnie nie on sam tylko restaurację przeprowadza.

Powtóre, autorowie zwalczają w ciągu artykułu, raz szczegóły restauracy i to ciągle ze stanowiska swej zasady puryfikacyjnej, drugi raz — i to dopiero na samym końcu — samą zasadę, nie zadając sobie nawet wcale trudu jej zbadania. Otóż można już, z powodu konsekwencji pewnej zasady, krytykować tę zasadę, ale nie wolno skrytykawszy raz samą zasadę, nie uznać, iż pewne szczegóły wyuknęły potem konsekwentnie, nie wolno tego nie uznać, gdyż w przeciwnym wypadku krytykuje się tę samą rzecz dwa razy, co nie rzuca dobrego światła na metodę krytyki.

Niepotrzebnie też artykuł o poważnym zakresie przepleciony jest stylistycznymi kwiatkami tego rodzaju: „W najpiękniejszych blaskach, rażących siłą natężenia zachodzącego słońca: gotyku, otoczonego aureolą Stwoszewego geniuszu i mieniającego się barw zestawieniem, to tonowaniem chabru kolorem lub matowych srebrzeń, to palącym żarem złota i czerwieni — wstaje nagle na krakowskiej ziemi, na samym prawie przełomie wieków, nowej ery, przejasna tęcza Odrodzenia. Łuk jej wspiera się jednym ramieniem o włoskiej krainy czarowne budowle, a drugim — o górę Wawelską“.

Ze szczegółów rzeczowych wymagały-by jeszcze sprostowania następujące: chór muzyczny podpierają nie szkarpy, ale filary; skrzywioną jest oś nie poprzecznej nawy, ale podłużnej. Głowa kardynała Oleśnickiego na pomniku prof. Zumbuscha nie pozostaje w stosunku do całej postaci jak 1 : 13, ale w znacznie korzystniejszym stosunku; niesymetryczne okna wieży Zygmuntońskiej są w duchu epoki i wreszcie fatalną jest pomyłką nazwanie projektu baldachimu dla sarkofagu

Łokietka: „barokowo-gotyckim“. Autorowie uznają także, że restauracja katedry przyniosła wiele materiału do historii rzeźby w Polsce, ale wytykają jako błąd pozostawienie płyty kustosa Franciszka w tumbie Kaźmierza W. Trzeba jednak pamiętać, że nie można wyjąć tej płyty bez przeniesienia królewskiego ciała z grobu. Przenosząc zaś ciało, trzeba by je potem *po raz trzeci* uroczyste pogrzebać, albowiem, kiedy otwarto grób w r. 1869, wyprawiono już Kaźmierzowi W. uroczysty pogrzeb drugi.

Prawie równocześnie z artykułem „Kraju“ ukazał się w „Czasie“ (Nr. 101 z d. 2 maja r. b.) fejleton pana Ludwika Puszcza p. t. „Nowe kleynoty miasta Krakowa“. Autor zapowiada na wstępie, że w szeregu fejletonów chce zdać sprawę ze zmian, jakie spowodowała w „kulturalnej fizyognomii“ Krakowa artystyczna produkcja lat ostatnich. „Kleynoty stołecznego miasta Krakowa“ to tytuł publikacji, wydanej w r. 1847 przez niejakiego Hyacynta Pruszcza.

Pan Puszet nie analizuje w artykule swoim szczegółów restauracji, ale, przytaczając raczej przykłady, niż dowody, przychodzi do przekonania, że dwiema głównymi cechami, które charakteryzują obecną restaurację, są: „brak poszanowania dla przeszłości, nie odczucie historycznego ducha i artystycznego uroku jej pomników“ i „beźplodna wierność w tem, co jest dodane jako nowe, jako przypisek naszych czasów do tej wielkiej kroniki wieków“. Pan Puszet wymienia jako dodatnie strony restauracji najprzód: energię, z jaką w krótkim czasie przeprowadzono roboty, „wymagające znacznych kosztów i ciężkiej pracy. Tembardziej, że roboty te wykonano z wielką sumiennością i z wielką—jak na XIX wiek—dokładnością. Jest to już bardzo wiele“. Dalej uważa za zasługę usunięcie dawnych ścianek, oddzielających ambit od presbiterium, przywrócenie odrestaurowanego wielkiego ołtarza i wreszcie nieobniżenie ambitu. Wytyka natomiast jako błąd: usunięcie barokowych ołtarzy bocznych, zniszczenie niektórych fresków i niepowołanie w należytej mierze współczesnej sztuki polskiej do restauracji katedry. Prócz tego zaznacza nieumiejętne obchodzenie się z pomnikami: powstaje na to, że pomnik Skargi usunięto zupełnie, a przesunięto pomniki Potockiego, Trzebickiego i w. inn. Co do innych pomników czyni zarzut z odebrania im patyny i to nawet w tym razie, gdy odnowienia dokonano na podstawie odnalezionych śladów. O płycie Zumbuscha powiada, że „choć marnie modelowana i nieodpowiadająca wyobrażeniu, które mamy o kardynale Oleśnickim, robi jednak dobry efekt“, a o pomniku kardynała Dunajewskiego, że „przypomina umywalkę lub kominek w westybulu jakiegoś porządnego domu bankowego“.

Krytyka ostra. Ze stanowiska formalnego zarzucić jej można, iż pomimo zastrzeżenia autora: „że krytyka, jakiej-by wymagało tego rodzaju dzieło, co odnowienie katedry na Wawelu, przechodzi właściwie zakres dziennikarskiego artykułu“, i pomimo, że artykuł o katedrze miał być jednym z wielu, pisanych o kulturalnej fizyonomii Krakowa—nie powinno się dzieła tej miary, co restauracja katedry na Wawelu, krytykować w sposób bardzo niewyczerpujący przedmiotu i w tonie par excellence fejetonowym. Nie jest też artykuł ten, w niektórych swoich ustępach, wolny od pewnej maniery. Natomiast widoczną jest w artykule subtelność odczuwania i zachowanie pewnej dyskretnej miary w stosunku do osób, przeprowadzających restaurację. Artykuł ten wywołał burzę. Dr. Stanisław Estreicher, prowadzący fejeton „Czasu“, wystąpił z redakcyi, która przeważała druk dalszych fejetonów p. Puszeta. Natomiast już w numerze „Czasu“ z dnia 24 maja ukazał się fejeton: „Katedra na Wawelu i jej obecna restauracja“, podpisany przez p. Stanisława Tomkowicza, przewodniczącego grona konserwatorów dla Galicyi zachodniej. Jest to niewątpliwie z dotychczasowych krytyk najpoważniejsza—choć z drugiej strony—pisana przez członka komitetu dla restauracyi Wawelu. Artykuł p. Stanisława Tomkowicza, ciągnący się przez pięć fejetonów „Czasu“, zawiera merytoryczną polemikę z artykułem „Kraju“ i fejetonem p. Puszeta i recenzję restauracyjnych robót, które uwzględniłem w pierwszej części niniejszego sprawozdania.

Szanowny autor zarzuca obu powyższym krytykom we wstępie do swego artykułu rzekome sprzeczności, a w jego ciągu, biorąc wogóle w obronę dzieła restauracyi, niejednokrotnie z okazji omawianych szczegółów czyni wycieczki natury polemicznej. Stwierdziwszy trzy pewniki: 1) że restauracja katedry była konieczną, 2) że katedra „okazałem, ozdobnem, wybitnem dziełem architektury gotyckiej, czy to ze względu na całość pomysłu, czy na szczegóły, nigdy nie była i nie będzie“; 3) że restauracja Wawelu nie jest ukończoną; stwierdza, że z zasady historycznej wyniknął program restauracyi katedry, przy czem jednak powiada: „Żadna zasada nie da się w praktyce dzieł ludzkich stosować bezwzględnie, a jeżeli co, to restauracja gmachów historycznych, mających wielowiekowe dzieje, a dziś jeszcze służących do użytku, musi być sztuką kompromisów pomiędzy teorią, a praktyką, pomiędzy zasadą puryfikacyjną, a historyczną. Idzie tylko o to, aby w kompromisach wynaleźć właściwą miarę“. Następnie przechodzi autor do właściwej recenzji restauracyi katedry, uwzględniając w niej najpierw zewnętrzną stronę budowlą. Wylicza przeprowadzone tutaj naprawy i zatrzymuje się dłużej przy wieży Zygmuntońskiej, której zakończenie nie wydaje mu

się wcale „niestosowne, ani brzydkie“. Przechodząc do opisu restauracji wnętrza katedry, porusza p. Tomkowicz sprawę okien w presbiterium i przedstawia, że zachowanie niektórych fresków w tej części kościoła było niemożliwym. tak ze względu na naprawę ścian, jak i na stan wielkiego zniszczenia malowideł. Zaznacza, iż „Rohbau“, przywrócony w presbiterium poniżej ciosowego muru, jest jednym więcej argumentem za przyszłą ewentualną polichromią, którą gorąco dla katedry zaleca. Przewiduje, że roboty około kaplic potrwać jeszcze parę lat. Kolor wnętrza kaplicy Zygmuntońskiej tłumaczy jako malum necessarium, z jednej strony ze względu na to, iż taki był także pierwotny kolor kaplicy, z drugiej ze względu na konieczność powleczenia niejednostajnego w kolorze materiału budowlanego kaplicy powłoką barwy jednolitej. W kwestyi restauracji wieży południowej (srebrnych dzwonów) nadmienia, iż ze względu na znaczne wogóle koszta restauracji, a szczupłe fundusze, nie dziś stanowczego o podjęciu tej restauracji powiedzieć nie można. Wreszcie w ostatnim ze swoich fejtetonów wytyka p. Tomkowicz ujemne strony dzieła. a mianowicie: 1) usunięcie barokowych ołtarzy bocznych; 2) sposób odnowienia malowideł na ścianach nawy głównej (p. T. sądzi, iż „nie należało ich wcale tykać“); 3) zamówienia witraży u cudzoziemców; 4) „Zaniechanie polichromii wnętrza jest ujemną stroną obecnej restauracji, zarówno ze względu na obowiązki wobec sztuki polskiej, jak i ze względu na przyjętą zasadę restauracji“. Wyliczenie stron ujemnych zamyka jednak uwagą, iż z wyjątkiem usuniętych ołtarzy niema nic, coby z winy restauracji bezpowrotnie było zepsute i stracone i że ze względu na naukową dokładność i sumienną pracę, kierujący architekt zasługuje na największe uznanie. Wywody swoje kończy p. Tomkowicz uwagą, iż w krytyce publicznej brak jest głosu, któryby uznał, że obecna restauracja nie tylko nie zatraciła cech średniowiecza w katedrze, ale je owszem podkreśliła i przez to ułatwiła zadanie temu przyszłemu pokoleniu, które może podejmie kiedyś restaurację w imię zasady puryfikacyjnej. Wreszcie powiada: „Przyznaję, że pewne niedoskonałości, nawet usterki zaprzeczyć się nie dadzą. Mimo to twierdzą i powtarzam: wielkie dzieło zostało podjętem i niemal dokonanem, a zawdzięczamy je duchowi przedsiębiorczemu, energii niespożytej, gorącej wierze i miłości ojczyzny dzisiejszego Kardynała, księcia Biskupa krakowskiego, Pużyny“.

Nie wiele da się powiedzieć ze stanowiska formalnego o artykule p. Tomkowicza. Jest pisany wytrawnie, spokojnie i rzeczowo, informuje w szerokiej mierze o odrestaurowaniu katedry. Żadna z dotychczasowych krytyk tak wyczerpująco restauracji nie omówiła. Miejscami przebija pobłażliwość. Szkoda, że wywody autora o prze-

wodniej zasadzie restauracji nie rozwiązują wszystkich zagadnień, które ze względu na tę kwestyę muszą się nasuwać.

Zdawało się, że po artykule p. Tomkowicza, przedrukowanym i w urzędowej „Gazecie lwowskiej“ polemika już umilkła. Ale p. Puszet nie dał za wygraną. Przerwanie przez redakcyę „Czasu“ druku jego fejletonów i wycieczki p. Tomkowicza przeciw jego krytyce, spowodowały widocznie, iż fejletony swoje wydał w osobnej broszurze, która już 11 czerwca r. b. ukazała się w krakowskich księgarniach p. t.: „Nowe klejnoty stołecznego miasta Krakowa“, fejletony, napisał Ludwik Puszet. Broszura obejmuje cztery fejletony: fejleton o restauracji katedry, przedrukowany z „Czasu“, fejleton drugi poświęcony wyłącznie wieży Zygmuntońskiej, trzeci o świeżo otwartym gmachu Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, a czwarty o pomniku Kopernika, odsłonionym rok temu w podwórzu biblioteki Jagiellońskiej. Po tych czterech fejletonach jest czysta stronica, po stronicy, polemiczny artykuł p. t. „Jeszcze o katedrze“.

O wieży Zygmuntońskiej pisze p. Puszet osobno w krótkim fejletonie, aby, jak powiada, wejść w szczegóły, choć na jednym okazie obecnej restauracji. Uznaje „sumiennosc w wykonaniu roboty“ i „ozdobne wrażenie“, jakie czyni zdaleka odrestaurowane glównie okno wieży. Zresztą cały fejleton poświęcony jest analizie nowego hełmu. Już pp. Kopera i Lepszy skrytykowali ten hełm nielitościwie i aż może zbyt szorstko. P. Puszet krytykując umiejętnie jego sylwetę, dochodzi wreszcie do takiego rezultatu: „.. dwie rzeczy złożyły się na zepsucie tego hełmu: niezupełne dostrojenie różnorodnych motywów, poprzeplatanych nielogicznymi dodatkami—i nieobliczenie się z perspektywą, która te wszystkie szczegóły *podkreśla* i pozwoliła im zepsuć całość. Świadczy o tem także fakt, że hełm zyskuje bardzo wiele, gdy zmrok, zacierając dysonanse, stopi go w jednolitą plamę“.

Artykuł zatytułowany: „Jeszcze o katedrze“, jest nawskroś polemiczny. Tak w nim (przedewszystkiem), jak i w całej zresztą broszurze, autor wykazuje niezwykły talent polemiczny, niezwykłą giętkosc i subtelność umysłu i odczuwania. Pełno tam jest powiedzeń drobnych, a rozkosznych. Ale zwłaszcza w polemice uderza umiejętnosc prawie niewidocznego parowania cięć i zadawania w odwecie niedostrzegalnych na pozór ciosów—tak lekkie są cięcia, tak szybkie parady. Znać także, iż rzecz pisze człowiek, który dużo widział, czytał i myślał—przytem doskonale wychowany. Poza polemiką krytyka p. Puszet, który jest człowiekiem młodym, jest bardzo bezwzględna. Prawdopodobnie z wiekiem przyjdzie on do tego przekonania, że na czyny ludzkie składa się tyle i takich czynników, iż po

należytem uwzględnieniu ich wszystkich, najsurowsza nawet sprawiedliwość cofa się nieraz przed wypowiedzeniem zdania, które tylko ze względu na niektóre z tych czynników może się niejednokrotnie wydawać usprawiedliwionem.

Polemika o Wawel toczyła się właściwie tylko między artykułem „Kraju“ i fejetonem p. Puszeta z jednej, a artykułem p. Tomkowicza z drugiej strony. Dla całości jednak obrazu wypada wspomnieć o dwóch jeszcze głosach krytyki publicznej. W lwowskim „Słowie Polskim“ ukazało się parę fejetonów, poświęconych restauracji katedry, a podpisanych pseudonimem: Arkami; ale o artykule tym można właściwie tylko tyle powiedzieć, że przyłącza się do innych ujemnych głosów krytyki. Drugi z tych artykułów, pióra p. Jana Bryła, drukowany był w „Wędrowcu“, w czasie od 11 maja do 1 czerwca r. b. (nr. 19—22). Pan Bryl wyraża się o restauracji wogólności ujemnie. Wytyka przedewszystkiem: nowe mury w arkadach presbiteryum z ich roślinnym ornamentem, rekonstrukcyę stall, restauracyę wieży Zygmuntońskiej, nie zachwyca się nowemi pomnikami kardynałów, a w kwestyi uzupełnienia sarkofagu Łokietka baldachimem jest zdania, że dorabiać go się nie powinno. Pan Bryl zaznacza także pierwszy z należytych naciskiem dwa ważne, ze względu na obecną restauracyę, momenta. Wytyka mianowicie gronu konserwatorów, iż z urzędu swego przy restauracji katedry wcale nie interweniowało i wyraża zdziwienie z powodu nie utrzymywania restauracji w należytej jawności ze strony naczelných władz autonomicznych Galicyi, jako czynnika, subwencyonującego dzieło restauracji, a więc mającego do kontroli tej prawo. Powtóre, wytyka brak finansowego i naukowego sprawozdania z obecnej restauracji. Zaznaczyć wobec tego wypada, iż ogólnie odczuwa się istotnie wielki brak oficjalnych wiadomości o całym toku restauracji. Pp. Kopera i Lepszy także „z niecierpliwością czekają“ na „obszerniejsze, fachowe i urzędowe sprawozdanie zarządu restauracji“. Z drugiej strony, trudno żądać szczegółowych sprawozdań przed ukończeniem całego dzieła.

*

*

*

W dniu przesłania Szanownej Redakcyi niniejszego artykułu (24 czerwca r. b.) otrzymuję 23-ci numer „Kraju“ z dnia 21 czerwca r. b., zawierający polemikę, wywołaną omówionym artykułem pp. Kopera i Lepszego. Pod nagłówkiem: „W sprawie restauracji katedry na Wawelu“, znajdujemy odpowiedź prof. Odrzywolskiego na ten

artykuł, a tuż pod nią odpowiedź pp. Koperę i Lepszego. Redakcja bowiem zaznacza w uwadze, że otrzymawszy artykuł prof. Odrzywolskiego, przesłała go pp. Koperze i Lepszemu, co umożliwiła jej równoczesne zamieszczenie artykułu prof. O. i odpowiedzi nań.

Prof. O. w odpowiedzi swej powstaje przedewszystkiem na sposób, w jaki artykuł „Kraju“ oceniał jego działalność przy restauracji katedry. Mniema, że na krytykę restauracji, skoro jeszcze nie ukończona, „czas nie nadszedł“ i że dopiero przyjdzie chwila, w której „cała historia restauracji i motywów, jakie nią kierowały, będzie obszernie opisana na podstawie badań, protokółów i całego materiału fragmentów artystycznych i historycznych, jakie się odkryły podczas restauracji“. Ta zapowiedź szczegółowego sprawozdania ze strony prof. O. jest dla nas ważna — wiemy już, że będziemy dużo wiedzieli o katedrze. Prof. O. protestuje przeciw obarczaniu go odpowiedzialnością w kwestyach, podlegających aprobacie komitetu restauracyjnego, a następnie charakteryzuje sposób, w jaki uderzał na niego artykuł „Kraju“, kilku przykładami, a nie wyczerpująco, bo jak powiada. „chcąc to wszystko prostować, trzeba-by napisać drugie tyle, co oni (t. j. autorowie) napisali, a polemika ta może nie była-by dla czytelników „Kraju“ dość interesującą“. Zajmijmy się jednak i temi przykładami, które przytacza prof. O., bo to wyświećla kwestyę, a sądzę, że należyte zrozumienie najdrobniejszego szczegółu w tej sprawie powinno nas obchodzić. Otóż w kwestyi nieobniżenia ambitu, jeszcze raz oświadcza prof. O. publicznie, że osobiście był za obniżeniem i wykazuje, że pp. Kopera i Lepszy musieli o tem wiedzieć. Pomnik Włodzimierza Potockiego (Thorwaldsena) usunięto z nad grobu Anny Cylejskiej (prof. O. wykazuje, że pp. K. i L. musieli o tem wiedzieć), ale nie z katedry. O proporcjach pomnika kardynała Oleśnickiego (zarzucono proporcję głowy do postaci, jak 1:13) mówi prof. O. tak: „Łaskawy czytelniku! Weź do ręki cyrkiel i zmierz figurę Oleśnickiego na stronie 171 w nr. 15 „Kraju“, a znajdziesz stosunek głowy do figury, jak 1:7. Zapewniam Cię, że ścisłość pp. Koperę i Lepszego była tutaj zawsze jeszcze większą, niż w wielu innych punktach artykułu“. Wytyka wreszcie prof. O. autorom błędne nazwanie filarów chóru muzycznego szkarpami. Że nie otworzono dwóch arkad za wielkim ołtarzem, tłumaczy to tem, iż otworzenie ich musiało-by koniecznie pociągnąć za sobą zniszczenie pomników króla Jana III i Michała Wiśniowieckiego (stojących od strony ambitu) tak organicznie z arkadami związanych, że ustawienie ich gdzieindziej było-by absolutnie niemożliwe. Wielkiego ołtarza barokowego nie usunięto, bo prócz estetycznej wartości, ma wielką wartość historyczną—obronił go w swoim czasie Matejko.

Pp. Kopera i Lepszy odpowiadają bardzo krótko. Na prof. Odrzywolskiego spada odpowiedzialność, a to dlatego, iż trudno przypuścić, aby architekt wykonywał cokolwiekbądź, za co nie mógłby przyjąć odpowiedzialności, a powtóre dlatego, że restaurując, nie odnosił się do grona c. k. konserwatorów Galicyi Zachodniej. Na to, co prof. O. mówi w kwestyi ambitu, pp. Kopera i Lepszy właściwie nie umieją dać odpowiedzi. Nie mówią także, iż nie wiedzieli, że pomnik Potockiego stał na grobie Anny Cylejskiej, ale odpowiadają tylko, iż nie mogli wiedzieć o projekcie pomnika dla tej królowej, który ma tamten zastąpić. W kwestyi proporecyi pomnika kard. Oleśnickiego powiadają: „Czy dzieło p. Zumbuscha nie jest chybione całkowicie w proporecyach, mimo omyłki w podanych przez nas cyfrach?“ Użycie wyrazu szkarpa, zamiast filar, nazywają lapsus calami. Kwestyi zaś arkad i wielkiego ołtarza nie poruszają już wcale.

*

*

*

Odpowiedzi prof. Odrzywolskiego i pp. Koperę i Lepszego w „Kraju“ zamykają ostatecznie tak dyskusję otworzoną przez „Kraj“, jak i wogóle pierwszy okres publicznej polemiki, wywołanej obecną restauracją, okres o przebiegu ostrym. Niewątpliwie można się spodziewać recydywy krytycznych objawów, gdy ukaże się zapowiedziane przez prof. Odrzywolskiego urzędowe sprawozdanie z restauracyi, a sama restauracja będzie zupełnie ukończoną. Jakikolwiek będą wtedy głosy krytyki, stwierdzić należy, iż dziś wyrażają się one wogóle o restauracyi ujemnie, a nawet najpochlebniejsza z recenzji, pióra p. Stanisława Tomkowicza, wytyka usterki.

Gdybyśmy w ślad za krytykami zrypuścili, że obecna restauracja nie w zupełności się udała, to musielibyśmy także stwierdzić, że udanie się dzieła restauracyi w warunkach społecznych takich, jak obecne, było-by w każdym razie dla społeczeństwa do pewnego stopnia niespodzianką. Udać się naprawdę mogła obecnie tylko restauracja, podjęta w myśl zasady historycznej, która-by polegała na bezwzględ-nem uszanowaniu tego wszystkiego, co cała przeszłość, choćby bezpośrednio tuż przed restauracją, złożyła w katedrze z tem przeznaczeniem, aby w niej na stałe pozostało. Tak pojęta zasada historyczna była-by zgodna ze ściśle konserwatorską zasadą restauracyi. Restauracja zaś, podjęta w myśl puryfikacyi, a zwłaszcza restauracja, uwzględniająca tak, jak obecna, równocześnie moment historyczny, puryfikacyjny i twórczość współczesną, mogła-by mieć widoki powodzenia tylko wtedy, gdyby ją przeprowadził potężny artysta w imię

idei piękna i pietyzmu. Otóż my dziś mamy w naszym społeczeństwie duże artystyczne talenta, ale nie mamy takiego artysty. Dlatego, zgadzając się z krytyką w tem, iż restauracya nie zupełnie się udała, stwierdzić-by należało, iż nie udała się dlatego, że się przeliczono co do własnych sił i postawiono wskutek tego taką przewodnią dla restauracyi zasadę, która w danych warunkach na przeprowadzenie jej z zupełnem powodzeniem liczyć nie mogła. Na przeprowadzenie zaś takiej liczyć w każdym razie mogła zasada ściśle historyczna. Przyjęcie jej było-by może wystawieniem sobie świadectwa pewnego artystycznego ubóstwa, ale zarazem i wielkiej moralnej skrupulatności.

Ale jakiegokolwiek są rezultaty, faktem jest, iż restauracya nie podjęta w myśl zasady historycznej, będzie zawsze mniej lub więcej pracą twórczą, a jako taka ulegnie najkardynalnierzszemu prawu twórczej pracy umysłowej i artystycznej: będzie taką, jakim jest społeczeństwo, które ją podejmuje.

Cóż jest w tem społeczeństwie?

Jest najpierw idea budownictwa—i to świadczy o niem. A potem, jest wielki krytycyzm, bardzo wyrafinowana kultura (u warstw naczelnych), ale przytem i wielka nieprodukcyjność, zwłaszcza wobec produkcyjnych epok przeszłości. Jakoż to wszystko: i jędrna, żywotna, pewna siebie przeszłość, i dzisiejsza omdłałość jest może na Wawelu.

Oto jak go restaurowała przeszłość: gotycecy ludzie, Łokietek i Kazmierz, na romańskim zrębie stawiają nawskroś gotycką budowlę. Potem przychodzi renesans Zygmunatów, tak wierzący w siebie, tak nie poza sobą pięknego nie widzący, że oto gotycki sarkofag Jagiełły dostaje renesansowe podniebie, że burzy się gotyckie kaplice, by je na nową modłę przebudować. Wieża południowa wykończona w czasie budowy kaplicy Zygmuntońskiej w gotyku, to jedyny wyjątek, tłómaczący się tem, że budowała wieżę kapituła, konsekwentna w swym konserwatyźmie. Wogóle znać, że taki gotyk, taki renesans, to potężne, żywiołowe, emanacye swoich epok, które nie umieją tworzyć inaczej—tylko po swojemu. Lecz że te emanacye tak są pierwotne i szczerze, więc nawet, kiedy tworzą pozorne niekonsekwencye—jeszcze tworzą piękno. Gospodarka na Wawelu za czasów renesansu jest co najmniej tak bezwzględna, jak w XVIII wieku. Ale przebaczymy ją tym czasom, bo nie szanując przeszłości, pozostawiały przyszłości swoje wielkie piękno. Wieki i style następne już nie są tak oryginalne—i dlatego tak nas razią nieposzanowaniem przeszłości, nie liczeniem się z przyszłością. Barok wydaje nam się tylko zarozumiałym. Gospodarka XVIII wieku na Wawelu oburza nas dzisiaj—i słusznie.

Wreszcie przychodzi restauracja dzisiejsza.

Mówią o niej krytyki, że i nasz krytycyzm, i nasza kultura, i nasza nieprodukcyjność są już na Wawelu.

Zanim się zabrano do restauracji i w ciągu niej samej, poddawano całość i szczegóły badaniu krytycznemu i umiejętnemu. Z przyszłością liczymy się tak, jak się z nami żadna przeszłość nie liczyła. Ale to, co dodajemy jako nowe, nazywa krytyka, choć oczywiście przesadnie surowo: „bezpłodną miernością“.

I w ten sposób społeczeństwo, podejmujące restaurację, wycisnęło na niej swoje piętno. Nie będąc historyczną, pozostanie ona przecież pierwszorzędnym historycznym dokumentem.

STEFAN FUCHS.

Rozmaitości.

NAD STAREMI DRUKAMI

z biblioteki Jego Ekscelencyi księdza biskupa
hr. Jerzego Szembeka.

Fale życia rzuciły mną daleko, o setki mil. Pierwsze kroki, skierowałem do kościoła, o którego istnieniu wiedziałem, ponieważ Saratów znany jest jako stolica biskupstwa tyraspolskiego.

Na głównej ulicy, za sztachetami, wznosił się okazały na zewnątrz kościół, pod wezwaniem świętego Klemensa, zbudowany z cegły palonej i ozdobiony dwiema wieżami, bez określonego stylu. W świątyni, wypełnionej po brzegi pobożnymi, przemawiał z kazalnicy kapłan, wzrostu wysokiego, o pogodnym obliczu, w sile wieku, a jednak o siwych już włosach. Z ust jego płynęły dobitnie piękną polszczyzną wypowiedane słowa miłości Boga i bliźniego, zastosowane do tekstu Ewangelii, a były one nie tylko pokrzepieniem dla umysłów na trudnej drodze życia, ale brzmiały swojską nutą i tą, najlepiej przemawiająca do serca, melodią dźwięków.

Pasterzem nad tą owczarnią był ksiądz Jerzy Szembek, dopóki wołą Stolicy Apostolskiej powołany nie został na starą katedrę biskupią w Płocku. Różnojęzyczni parafianie, zarówno Polacy, Niemcy, Francuzi, Ormianie, cenią wysoce swojego proboszcza za jego gorliwość pasterską, uprzejmość, ofiarność na seminarjum duchowne, na potrzeby kościoła i parafii. A proboszcz? Ten zżył się z nimi i ze swoimi obowiązkami, uciążliwymi już ze względów, które nastrecza obszerność parafii, a dodać należy jeszcze do tego zajęcia profesorskie w seminarjum i wykład nauki religii w szkołach męskich i żeńskich. Poznać go bliżej było mojem pragnieniem, które ziściło się niebawem. Poważny na swoim stanowisku kapłańskim, lecz dość ożywiony, w stosunkach wyrozumiały, a przytem wszechstronnie wykształcony, ks. Szembek pozyskał, obok wysokiego szacunku, ogólną także sympatyę tutejszych swoich parafian.

Po gawędce o Krakowie, z którego niedawno powróciłem, i o ludziach, których obecny biskup płocki znał dawniej, uczęszczając na Wszechnicę Jagiellońską, zaproszony zostałem do zwiedzenia jego zbiorów, z czego jak najskwapliwiej skorzystałem. Po pierwszych informacjach, tyczących się klasyfi-

kacy książek, stanęła między nami umowa, podyktowana przez gospodarza, że wspólnie krępować się nie będziemy.

— Masz tu papier, ołówek, świece, książki, — rzekł do mnie, — siedź, wertuj, przeglądaj, póki chcesz i ile chcesz, a ja obok, w sąsiednim pokoju pracować będę.

Tych kilka słów, z wielką prostotą i serdecznością wypowiedzianych, dało mi wskazówkę nie tylko dokładniejszego obejrzenia książek, ale i poczynienia odpowiednich notatek.

Było tego na oko niby niewiele, wszystko jednak rzeczy wyborowe, cenne, z którymi ks. Szembek się nie rozstaje. Zmieniając miejsce pobytu, zabiera je z sobą i starannie pomnaża, ilekroć zdarzy się ku temu sposobność ¹⁾.

Skoro weźmiemy do ręki te stare pergaminy, te księgi, oprawne w drzewo, a obciążnięte skórą, staje przed nami wiek XVI-ty w Polsce ze swoją sztuką drukarską, rozwijającą się stopniowo. Pierwotna niezgodność pisowni ujednostajnia się i utrwala; strona techniczna, z początku wiele pozostawiająca do życzenia, w niedługim czasie daje odciski czyste i wyraźne, wzbogacone ornamentyką symboliczną, ozdobnemi literami i tytułami drukowanemi w dwóch kolorach. Pierwotny brak „indeksów“ i „paginaży“ ustępuje miejsca staranym i dokładnym spisom, a co za tem idzie, i liczbowanie kart zamienia się na liczenie stronic; urzędowy stosunek drukarza do czytelników zmienia się na przyjacielsko - domowy, który pozwala w formie lekkiej a wdzięcznej tłómaczyć się z błędów popełnionych. Przytaczam jedną z takich apostrof, wierszem wystosowanych do czytelnika:

„Argus lub (o) sto miał oczu zgubił Krowę,
Litermi Drukarz często mieni mowę,
Lub (o) wielka Krowa a nie ustrzeżona,
Nie dziw litera jeśli odmieniona;
Ze stu oczyma Drukarza nie było,
Nie dziw w literach jeśli się myliło.
Przebac co czytasz czasy pomieszane,
Nie dziw w literach że czynię odmianę“.

Powyższy ustęp podałem dosłownie, z zachowaniem pisowni, z dzieła, pod tytułem:

*Żywoty Świętych ten Apollo pieie,
iak ci działali, tak niech każdy dzieie,*

przez Łazarza Baranowicza, Archiepiscopa Czernihowskiego, Nowogrodzkiego etc. Z Typographiy Kijowo - Pieczarskiej Roku pańskiego 1670.

¹⁾ W majątku J. E. w Galicyi, Poremby, niedaleko Krakowa, znajduje się ładna biblioteka i kompletny zbiór autografów biskupów polskich, zasiadających na stolicach Rzeczypospolitej w ostatnich stuleciach.

Wydawnictwo to przypada na czas, kiedy część województwa kijowskiego, wraz z miastem Kijowem, odpadła od Polski i wcieloną została do Rosyi, wskutek pokoju Andruszowskiego (1667 roku) i Grzymułtowskiego (1686 roku). Przed kartą tytułową jest podobizna orła dwugłowego i napis: „Bożą miłością Wielki Gospodar Car y wielki Xiążę Alexy Michajłowicz *wszytkiej* wielkiej, małej i białej Rusi Samoderzca“, dedykowana zaś carewiczowi Theodorowi Alexiewiczowi. Cała książka, obejmująca 404 stronicę, pisana po polsku wierszem i odbijana tak zwanym *gockim* drukiem. Drukowanie temi czcionkami w końcu wieku XVII-go jest rzadkością, anachronizmem, jakiego-byśmy w drukarniach Krakowa, Wilna, Poznania już nie spotkali.

W przedmowie autor odzywa się do czytelników, że chociaż nie Kochanowski, żeby jednak te rytyny boże czytali. Treść książki czysto religijna o uroczystościach pańskich, o męce Pańskiej, o uroczystościach Najświętszej Maryi Panny, „o świętych oycach Pieczarskich y o pieczarach kijowskich“. W końcu:

Menda, emenda, tędzy y owędy
Ponaprawmy błędy.
Litera zabija a Duch ożywia.

W ten nieceremonialny sposób zwracał się wogóle drukarz i autor do swojego czytelnika, to cecha końca XVI i całego XVII wieku. Napuszystość form, dużo wdzięku, a mniej treści i serca, szablonowość i rutyna w wykonaniu zewnętrznym, to cechy późniejsze, odpowiadające makaronizmowi i skażeniu języka w literaturze.

Drukarstwo z wyżyn powołania i kunsztu zamienione zostało na rzemiosło, introligatorstwo, odzwierciedlające pierwotnie siłę czasu, trwałość i jedność, zadziwiający bogactwem motywów na skórzanych wyciskach, na złoceniach, na rysunku klamry, lub okucia, ustępuje miejsca tuzinkowej robocie, nietrwałej, nieestetycznej, jedna do drugiej podobnej, jak krople deczcu, spadające z dachu. Duch i artyzm z nich uleciał.

Dorwawszy się do świadków tej dawnej świetności i tężyzny, nie chcemy ich porzucać. Z tych pożółkłych kartek i fundamentalnych okładek patrzą na nas i czasy inne, i ludzie inni. Nie było w nich tej bierności i połowiczności, tej szarzyzny życia, zjawiającej się w końcu XVIII stulecia i trwającej wiek cały. Wszystkie cnoty i występki, rzeki-byś, podniesione były do potęgi. Więcej było dodatnich charakterów, prawości publicznej, odwagi, męstwa, waleczności... Jak pobożność, to do szpiku kości, jak fanatyzm—posunięty do zaparcia się siebie, jeżeli ofiarność to wspaniała, przyjaźń wierna, odwaga porywająca, pokuta budująca pokorą i skruchą, a nawet pycha, bandytyzm, miały w sobie coś imponującego rozmachem i odwagą. Później pożądanie wygod, swary i życie zaściankowe sprawiły, że z każdym lat dziesiątkiem w masach słabło poczucie obowiązku względem kraju i jego obywateli. Sfera czynu *pro*

publico bono zastąpiona została gadulstwem i prywatą. Elektryzować ogół stało się coraz trudniej.

Położenie, ustrój społeczny i ekonomiczny, są to czynniki pierwszorzędne, działające na masy. Z drugiej zaś strony jest prawda, że stan kraju i duchowa wartość obywateli odbija się w piśmiennictwie danej epoki, a ponieważ nawet w zewnętrznej szacie pomników literackich. Odradzająca się tęgość usposobień i zwrot ku ideałom po hulaszcejszej epoce Sasów odzwierciedlają się w literaturze, dążącej do poprawy błędów w ustroju społecznym i obyczajach. Charakter tego rodzaju ewolucyi, charakter nawet całej epoki technicznie nieraz z tych szacownych zabytków, które zwykle nazywamy z lekceważeniem „staremi szpargałami“. Interesujące jednak i bardzo nauczające bywają te „szpargały“.

Oto książka formatu 16-ki nosi tytuł:

Iudicium albo Rozsądek niektórych Katholików o Confessiey Siedomierskiej Roku 1750 wydanej, w którym sę fałsze y błędy tey to Confessiey poprostu pokazują, a prawda iednego powszechnego Kościoła Rzymskiego sama się browi.

Książka, opatrzona tym przydługim tytułem, będącym nieodzowną koniecznością wydawnictwa aż do pierwszej ćwierci XIX-go wieku, posiada już sumiennie zestawiony „registr“, ale jeszcze ma liczbowanie kart, tak więc ostatnia stronnica nosi liczbę 264, zamiast 528, według później przyjętego zwyczaju liczenia stronice. Wydanie Szarffenbergera, w roku 1570, w Krakowie. Druk *gocki*, zgrabniejszy i czystszy, ale formą bardzo podobny do pierwszego druku polskiego z roku 1475, chociaż sto lat od tego czasu upłynęło.

Niepodpisany autor, teolog-polemista, pracę swą dedykował „Najjaśniejszemu i Najmożniejszemu królowi Polskiemu, Zygmunutowi Augustowi, wielkiemu książęciu Litewskiemu, Ruskiemu, Pruskiemu, Mazowieckiemu, Żmudzkiemu etc. Panu naszemu miłościwemu! zdrowia, zwycięstwa i długo fortunnego w łasce miłego Boga Panowania, przez Jezusa Chrystusa Pana naszego żądamy“.

Fortunne to panowanie nie miało już być długiem, w dwa lata, w 1572 roku, ostatni z Jagiellonów zasnął w Knyszynie na wieki. Książka ta, traktująca o nauce Pana Jezusa, podanej w Ewangielii, o pierwszym Kościele, o dekretach Soboru Trydenckiego i opatrzona tak ciepłą dedykacją, należy do rzadkości bibliograficznych.

Podziwiać należy szybkość wydawniczą, ponieważ dzieło przygotowane zostało do druku i opuściło prasę w tym samym roku, w którym odbyła się konferencya Sandomierska. Trzy wyznania: Braci Czeskich, Kalwinów i Luteranów, z wyłączeniem wszakże Aryanów, połączyły się i utworzyły tak zwane *polskie wyznanie*. Zygmunt August zgodzie tej odmówił sankcyi. Zamiast Kościoła narodowego, uzyskano ustawę tolerancyjną z 1562 roku. Sprowadze-

nie do Polski Jezuitów przez Hozyusza i wzmoczenie się katolicyzmu w niektórych punktach kraju zachodniego, skłoniły różnowierców do gorączkowych wysiłów, aby zjednoczyć rozmaite sekty i przeto wzmożenie swoje stanowisko.

Książka przytoczona nasunęła nam na pamięć czasy ostatniego z Jagiellonów, a samego króla przypomina księga formatu *in folio*, wydana w Paryżu, 1546 roku, drukowana po łacinie i traktująca o pracach świętego Tomasa z Akwinu. Okładka drewniana, obciążnięta skórą z wyciskami, na których dobrze znać jeszcze ślady złocenia, przedstawia anioła, trzymającego dwie korony: jedną nad orłem polskim, drugą nad pogonią. Napis, wyciśnięty na okładce, głosi: „Sigismundi Augusti Regis Poloniae Monumentum“. Książka pochodzi z własnej biblioteki króla.

Obok stoi na półce książka, która z pod tłoczni drukarskiej wyszła przeszło trzysta lat temu: *Postilla catholica, tho jest kżania...*“, przez doktora Jakuba Wuyka z Węgrowca, wydane w Krakowie w roku 1573. W drugiej części tej pracy spotykamy wiersz polski Stanisława Grochowskiego, napisany specjalnie dla tego wydawnictwa. Jest to najpierwszy z dotychczas znanych wierszy tego poety. Stanisław Grochowski, natura nawskroś artystyczna, władający dobrze językiem polskim, wówczas był jeszcze człowiekiem świeckim, księdzem został dopiero w roku 1577. Wiemy o nim, że uczył się w Pułtusk, tam również nauczycielem był ks. Wujek—wiersz więc jest dowodem węzła przyjaźni i zażyłości pomiędzy uczniem i profesorem. Uczeń ten w 1600 roku napisał i wydał satyrę, bardzo popularną swojego czasu, pod tytułem: „Babie koło“. Czytamy o niej w Chmielowskim ¹⁾: Wystawił tu grono przekupek, radzących w rynku krakowskim o wyborze biskupa; każda zachwala swego kandydata, krytykując rubasznie kandydata, podanego przez inną. Zarzuty, czynione rozmaitym duchownym, nie były tak bardzo dotkliwe, lecz sam sposób lekceważący wywleczenia sprawy na targowisko wywołał wielki hałas i proces kościelny. Grochowskiemu odjęto probostwo czerskie, zostające poz władzą biskupa poznańskiego, Tarnowskiego, który stosunkowo najbardziej był w „Babim kole“ dotknięty. Biskupem krakowskim został Bernard Maciejowski, popierany w „Babim kole“ przez Grochowskiego, jak nie mniej przez Jezuitów“.

Wydanie Wujka wywołane zostało brakiem podobnej książki w literaturze polskiej katolickiej, chociaż w 1550 roku ukazała się w druku „Postylla“, napisana przez kalwina, Jana Seklucjana.

Karta tytułowa, ozdobiona orłem polskim, na którego piersiach lilia, herb Burbonów, dedykowana jest Henrykowi, królowi polskiemu. Nim jednak ukazał się tom drugi, Królewicz francuski przestał być królem polskim, i autor pracę swą dedykował królowi polskiej, Annie. Przy tej dedykacyi

¹⁾ Tom I, str. 249.

nasuwa się pytanie, z którego można-by dalsze konsekwencye wysnuć, czy wydawnictwo przypało na czas przed elekcją, czy po elekcyi Batorego.

Literatura nasza XVI wieku i cały ruch wydawniczy tych czasów, to przeważnie książki religijne i polemiczne, wywołane potrzebą ścierania się zdań i dowodzenia prawd, w których obronie występowano. Jedną z takich książek jest wydana w Wilnie 1594 roku:

Iudicium albo Rozsądek ks. Mikołaja Iszory, Proboszcza Oszmiańskiego w W. X. Litewskiem o konterfećie Jezuitów,

Na ostatniej stronie czytamy:

„A przeciw onemu twemu докладowi ja tego dokladam, co niekiedy Orzechowski, polski orator, powiedział: utraciwszy kapłana, utracimy króla, utraciwszy króla, utracimy wolność, utraciwszy wolność, utracimy żywot wieczny, a tak to prawdziwsza, że nasza ojczyzna z ministrami i dla ministrów stać nie może“.

Proroctwa te, które w czasach późniejszych zyskały częściowo potwierdzenie, przypominają nam dwór królewski i natchnioną postać Skargi. Pod tem wrażeniem i jakby w dalszym ciągu snutego łańcucha wspomnień, trafiam na łacińskie dzieło polemiczne: „O najświętszej Eucharystyi“ — przez ks. Piotra Skargę przeciw herezyi Kalwina, drukowane w Wilnie 1579 roku, ozdobione orłem i herbem Radziwiłłów, i wydane staraniem Krzysztofa Sierotki Radziwiłła, marszałka wielkiego litewskiego i wojewody witebskiego, podróżnika i pielgrzyma do Ziemi świętej.

Ks. Skarga Pawęski, z rozkazu prowincyała, przeniesiony został z Pułtusza do Wilna. Na ten czas przypadają pierwsze energiczne starcia z różnowiedcami, a zwłaszcza z uczonym przedstawicielem kalwinizmu na Litwie, Andrzejem Wolanem. Książka cytowana jest polemiczną, obszerną dysputą tego rodzaju; stronic 468 formatu szesnastki.

Część znaczną książek przepatrzyłem i jeszcze mam przed sobą wiek XVI, — wszystkie wydania należą do rzadkości. Oto rozprawa łacińska o różnicach pomiędzy prawdziwym i fałszywym Kościołem, w trzech księgach, przez Stanisława Sokolowskiego, drukowana w Krakowie w 1583 roku i dedykowana Batoremu. Autor był kaznodzieją dworskim w czasach Stefana Batorego, a następnie Zygmunta III. Dzieła jego, zebrane w jedną księgę, wydane zostały w Krakowie w 1591 roku.

Wiadomo, że w czasach najdawniejszych oświatę szerzył wyłącznie Kościół, w wiekach średnich i późniejszych przywilej nauczania miały zakony i duchowieństwo, to też rozprawa naukowa, niekoniecznie teologiczna, w formie kazania, często dawniej się zdarzała. Takim dziełem są ks. Stanisława Grodzickiego, jezuita, teologa i matematyka, profesora akademii wileńskiej (wydane w Wilnie w roku 1589), dwa kazania: *O poprzawie kalendarza*, wypowiedziane w 1587 roku. Pokrewnem co do treści jest wydane w Krakowie w 1644 roku, w drukarni Franciszka Cezarego, po polsku, gockim jeszcze

drukiem, dziełko ks. Kassiana Sakowicza, przedtem archimandryty dubieńskiego, unity, a następnie, za dyspensą ¹⁾, zakonnika zgromadzenia księży Augustyanów, pod tytułem: *Okulary kalendarzowi staremu*. Autor, słynny polemic ruski, syn księdza, zmarł w Krakowie w 1647 roku jako proboszcz jednego z kościołów. Charakterystyczne, że jego praca, wydana 257 lat temu, posiada tablicę, pokazującą „zgodę i niezgodę Ruskiej Paschy z Rzymską od 1644 do 1933 roku“, mimo więc swojego sędziwego wieku, może jeszcze służyć przez trzydzieści dwa lata za kalendarz bieżący.

Kończąc wiek XVI-ty, zaznaczyć muszę godną uwagi książkę Alfonsa Pisano, jezuitę, głośnego polemisty, który staczał zacięte boje z różnowiercami. Znany w Polsce, ponieważ założył Kolegium Jezuitów w Poznaniu, zmarł w 1598 roku w Kaliszu. Praca jego, pisana po łacinie, wydana została w Poznaniu w 1587 roku, pod tytułem: *Computatio brevis*, i traktuje o 113 błędach, popełnionych przez sektantów względem Sakramentów świętych.

Gdy przed jedenastu laty dzisiejszy biskup-nominat płocki jechał do Saratowa z zamiarem wstąpienia do seminaryum, zatrzymał się w Moskwie, i znalazł tam u antykwaryuszów kilka starych, cennych książek, któremi wzbogacił swoją bibliotekę.

Księgi te, będące rzadkością, drukowane są w języku małoruskim, łacińskimi czcionkami, lub kirylicą, i stanowią lekturę obrzędową Kościoła wschodniego. Oto na przykład Księga Ewangielii z 1575 roku, nosząca dosłownie tytuł: *Ewanhjelje naprestolnoje*, drukowana w Wilnie: „Pieczatali w lieto 6082 w prestawouszczem grodzie Wilnie miesiaca Maja 2 dnia .. pri derżawie gosudaria naszeho miłostiwaho *Gendrika* Bożiju miłostiu Korolą Polskaho i Welikaho kniazia litowskaho i pri preoświeszczennem archiepiscopie naszym Jonie metropolitie Kiewskom i Golicom i Wseją Rusi. Umyszleniem i promyszleniem jeho miłosti pana... starosty upickaho Iwana Semenowicza Zareckaho i brata jeho pana Senowa Bourmistra miasta Wilenskaho“.

Oprócz niniejszego, znane są zaledwie dwa egzemplarze tej książki: jeden u książąt Czartoryskich w Krakowie, drugi w bibliotece wileńskiej.

Cenioną też przez bibliomanów jest *Biblia Ostrogska*, której kompletny egzemplarz posiada J. E. ks. Szembek.

Ostróg, obecnie miasto powiatowe gubernii Wołyńskiej, stolica niegdyś udzielnych kniaziów na Ostrogu Ostrogskich (nadana w roku 1387 przez Władysława Jagiełłę), za księcia Konstantego (1527 — 1620) posiadał słynną szkołę ruską, zwaną akademią, i drukarnię, z której w 1580 roku wyszedł psalterz, ewangielie i kalendarz, a w 1581 roku słowiańska Biblia Ostrogska. Wydawnictwami temi, bardzo poszukiwanemi obecnie, zajmował się Harasim

1) W XVI wieku wydana została bulla papieska, zakazująca zmieniania obrządku grecko - katolickiego na rzymsko - katolicki.

Smotrycki. rektor akademii ostrogskiej, poprzednio dworzanin księcia Konstantego, zmarły w 1601 roku. Obok stojący egzemplarz z tegoż wydawniczego źródła pochodzi: *Pisma Jana Złotoustego* „z drukarnie ostrogskoje wydana est“, a dalej mamy znowu dwie książki, napisane i wydane przez Meletiusa Smotr(z)yckiego, syna rektora szkoły ostrogskiej, Bazylia-nina (1560 †1633). Słynny swojego czasu teolog, polemik i gramatyk, w 1620 roku został archimandrytą wileńskim, w 1621 roku arcybiskupem połockim, pisał w językach: polskim, ruskim i łacińskim. Tytuł tych prac opiewa: „Protestatia przeciwko Soborowi w tym roku 1628 we dni augusta m. w Kijowie, Monasteru Pieczerskim obchodzonemu uczyniona przez ukrzywdzonego na nim Meletiusa Smotr(z)skiego Nuncupowanego Archiepiscopa Połockiego... do Przeznaczego Narodu Ruskiego“. Lwów, R. P. 1628“. W następnym roku w tejże drukarni u Szeligi we Lwowie wyszła rzecz bardzo rzadka: „*Exthesis abo expostulatio* to iest Rosprawa między Apologią y Antidotem o Ostatnek błędów Hoerezy y Kłamstw Zyzaniowych. . do oboiey strony Narodu Ruskiego. Anno Domini 1629 Aprilis 3 w Monasteru Dermaniu“ (wypowiedziane lub pisane).

Z naszych złotoustych, oprócz Skargi, znajdujemy pierwsze wydanie kazań Birkowskiego (po łacinie) z 1622 roku, o którym wiemy, że chociaż często rubasznie, ale jędrnie i patryotycznie do wojska przemawiał, oraz Andrzeja Młodzianowskiego, brata kaznodziei Tomasza, rzadką książkę pod tytułem: *Icones Symbolicae vitae et Mortis B. Iosaphat Martyris archiepiscopi Polocensis expressae*, — wydanie wileńskie z 1675 roku, treść ujęta w wiersze łacińskie i ozdobiona rycinami z dedykacją Grzegorzowi Stanisławowi Sapieże.

Wobec tylu starożytnych książek trudno nie znaleźć Starowolskiego, w pierwszych wydaniach. Jeden z najuczestniejszych i najzasłużeńszych pisarzy i erudytów polskich XVIII wieku ma w zbiorach ks. Szembeka swoich przedstawicieli: *Wielkiego Turka listy* w tłumaczeniu z łacińskiego, Kraków, 1618 roku i monumentalne, ze względu na swoje znaczenie, wydanie *Historji Polskiej*, napisanej po łacinie. Książeczki te, oprawne w cielejącą skórę, wyglądem zewnętrznym przypominają dzisiejsze miniaturowe wydawnictwa. Jedna drukowana w Kolonii w 1632 roku, druga w Gdańsku w 1652 roku, oba wydawnictwa uskutecznione za życia autora. Treść książki obejmuje wiadomości o królach polskich i najważniejszych wypadkach historycznych, oraz spis prowincyi, składających Wielkopolskę, Małopolskę, Ruś, Litwę i Prusy. Starowolski, bywając za granicą, miał przykrą sposobność przysłuchiwania się twierdzeniu cudzoziemców, jakoby kraj nasz był barbarzyńskim, bo nie posiada własnej literatury. Chcąc uwłaczającym mniemaniom kłam zadać,—jak słusznie wyraził się Chmielewski,—pisał bardzo wiele i żadnej gałęzi prawie nie zostawił piórem swem nietkniętej. Drukował w kraju i za granicą, w Kolonii, Frankfurcie, Wenecyi, Florenceyi, poświęcając te prace dziejom Polski,

pisarzom i mówcom ojczystym. Mała broszura, zatytułowana: „Zguba Ojczyzny“, a oznaczona literami S. S., jest również pióra ks. Szymona Starowolskiego, i zawiera kazanie, miane przed królem i senatorami przed wojną szwedzką. Autor, jako moralista dziejowy, nawoływał do reformy obyczajów w Polsce, do subordynacji, narzekał na bezsilność, brak obrony krajowej, brak ładu w skarbowości, gromił za marnotrawstwo, swawolę i ucisk kmiotków. Patrzył więc oczyma Skargi i, niestety, widział, iż nie trwałego ku poratowaniu ojczyzny się nie czyni. Nad uprzedzenia i przesady swojego czasu nie zawsze się wznosił, czego na przykład dowodzi ustęp: „nie usłyszysz teraz, kogo-by o bluźnierstwo i niewiarę na ogień skazano, kogo-by o czary publice spalono“. *Dwór cesarza tureckiego y rezydencya jego w Konstantynopolu*, Kraków, 1695. Książka ta wyszła z pod pióra Starowolskiego, należy do cyklu rzeczy, traktujących o wyznawcach półksiężyca i podających radę na Tatarów, mimo końca XVII wieku, drukowana jeszcze gockim drukiem.

Przejdźmy jednak do rzeczy najrzadszych. Książeczyna wygląda bardzo niepokaznie, małe to, 16-ka, w szarej, lekkiej okładce, rzekł-byś, w siermiędze. Treść teologiczno-moralna, jak wiele innych. Książka ta stanowi *unicat*, jest jedynym, dotychczas znanym egzemplarzem. Dosłowny tytuł w pisowni oryginalnej przytaczam: *Now Różnych Przypadków z Pełni Doktorowi theologii Moralnej zjawiony to jest: Kazusy Ruskiemu Duchowieństwu przez O. Leona Kiszkę Bazyljanu spisane y do druku podane r. 1693*. W drukarni Kolegium Lubelskiego S. J. Dedykowane Innocencyuszowi Winnickiemu, episcopowi Przemysłskiemu, str. 324. Praca ta traktuje o nauce Sakramentów świętych i przykazaniach.

Tegoż samego autora znajduję jeszcze jedną książkę; są to tłumaczenia z ruskiego języka na polski: *Kazania y homilie Męża Bożego Nieśmiertelney Sławy y Pamięci Hipacyusza Pocieia*, Metropolity Kiiowskiego, Hallickiego, y całej Rusi, biskupa Włodzimierskiego i Brzeskiego. Ogłoszone r. P. 1714, „typis Monasterij Supraslensis P. P. Basilianorum“. Dedykowane Ludwikowi Konstantemu Pocieiowi, kasztelanowi wileńskiemu i hetmanowi wielkiemu W. X. L.

Rycina podaje nam „wizerunek prawdziwego Męża Bożego, Hipacyusza Pocieia“.

Tłomacz tych kazań, ks. Leon Kiszka, uczony teolog, był później następcą na stolicy biskupiej po Pocieiu, zmarł we Włodzimierzu 1728 roku.

W otoczeniu oryginalnych rysunków Dürera, rozwieszonych na ścianie, na rzeźbionym pulpicie spoczywa książka - manuskrypt. Podług oceny rzeczoznawców paryskich, manuskrypt ten pochodzi z XV wieku. Kompletny egzemplarz, pisany starannie na pergaminie ozdobnemi literami i z rycinami, bogato złoconemi i artystycznie kolorowanemi. Zdumiewająca żywość kolorów błękitnego i zielonego, a złoconie, jakby dopiero wczoraj rysunki opuściła ręka artysty. Książka rozpoczyna się kalendarzem, wykazem Świętych i Ewangieliami, i sta-

nowi modlitewnik kościelny; sama przez się, jako starożytność, przedstawia znaczną wartość materyalną.

Na tem jednak nie wyczerpujemy starożytnych druków w przybocznej bibliotecze ks. biskupa. W tak zacnej kompanii nie spotkaliśmy dotychczas druku berdyczowskiego, a to miasteczko słynne nie tylko z bałagulów, ale i z druków, należących dzisiaj do bardzo rzadkich. Jest więc i Berdyczów. Duża księga *in folio*, drukowana w 1780 roku w drukarni „Fortecy Najświętszej Maryi Panny“, nosi tytuł: *Koronacja cudownego obrazu N. M. P. w Chełmskiej katedrze obrządku greckiego od samego początku wiary chrześcijańskiej w krajach naszych nabożnie chowanego y od prawowiernych za cudowny zawsze mianego odprawiona Roku 1765 d. 15 miesiąca września*. Całość dzieli się na trzy części. W pierwszej przedrukowana książka ks. Jakóba Suszy¹⁾, która w 1684 roku wyszła z pod prasy drukarni Akademii Zamoyskiej, pod tytułem: „Phenix tertiatio redivivus, albo obraz starożytny chełmski Panny y Matki Przenajświętszey“, dedykowane pierwotnie najjaśniejszemu i najpotężniejszemu monarsze, Janowi III, kiedy po odsieczy wiedeńskiej istotnie w podziw wprawił Europę i przysporzył sławy orężowi polskiemu. Część druga opisuje uroczystość koronacji obrazu, część trzecia zawiera kazania różnych mówców, wypowiedziane podczas całej oktawy.

Liczne ryciny, ilustrujące to dzieło, przedstawiają: 1. Widok ogólny miasta (długi na ćwierć łokcia) 2. Facyatę katedry chełmskiej obrządku greckiego. 3. Fajerwerk, puszczony przed kościołem w dzień koronacji dnia 15 września 1765 roku. 4. Bramę tryumfalną przed pałacem starościńskim, ozdobioną herbem domu Rzewuskich. 5. Bramę tryumfalną przed cmentarzem kościelnym, ozdobioną herbami Potockich. 6. Obraz Naiświętszej Maryi Panny Chełmskiej w kościele księży Bazylianów. 7. Ubranie facyaty katedralnej podczas koronacji.

Ks. Elger Jerzy, Jezuita, rodem Łotysz, urodzony w 1585 roku, nauczyciel wymowy i długoletni kaznodzieja w Dynaburgu, wydał w Wilnie w 1672 roku, już jako starzec 87-letni, w tłumaczeniu na *łotyski* język, Ewangelie na wszystkie niedziele i święta. Część druga, zawierająca śpiewy kościelne, ukazała się w roku następnym (1673), już po śmierci ks. Elgera. Książka ta, będąca rzadkością bibliograficzną, a stanowiąca jedną z pierwszych, jeśli nie najpierwszą książkę, w skromnej literaturze łotyskiej, znajduje się w bibliotece księdza biskupa.

Do starych i ładnych rzeczy zaliczyć można druk polski gockiemii czcionkami odbity w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka w Krakowie. Są to *Ewa-*

¹⁾ Susza Jakób Jan, biskup chełmski grecko-unicki, urodzony w 1610 roku w Mińsku, zmarły w 1687 roku, generał Bazylianów, odznaczał się świętobliwością.

nielie, przez ks. Grodzickiego S. J. wydane w roku 1692, i tegoż autora rzecz: *O straszhwym sądzie Pańskim* z 1603 roku. Ładnym okazem drukarskim jest wydrukowana u Jana Szarffenbergera w Krakowie w 1611 r., w tłumaczeniu polskim przez ks. Szymona Wysockiego, praca w oryginale po hiszpańsku napisana przez ks. Franciszka Ariosa S. J., i nosząca tytuł: *Zdroj wody żywey abo ćwiczenie wielce świętobliwe o przytomności Bożey*. Ks. Wysocki, jezuita, urodzony na Pokuciu w 1542 roku, był przez czas pewien kaznodzieją królewskim po Skardze. Wydał wiele dzieł tłumaczonych, odznaczających się czystością języka, należy więc do kategorii *wzorowych* tłumaczy. Umarł w Krakowie w 1622 roku.

Jeszcze o kilku książkach starych wspomnę; stanowią one rodzinną pamiątkę Szembeków, bo, obok tytułu, znajduje się herb i dedykacja. Jedna z nich nosi tytuł: *Obrót całego roku kazaniami niedzielniemi ku wieczności skierowany*, przez ks. Rajmunda Czaszyńskiego, dominikana, wydana w Warszawie w roku 1745, a dedykowana Krzysztofowi Antoniemu na Słupowie Szembekowi, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Królestwa Polskiego i Wielkiego Księstwa Litewskiego prymasowi. Biskup ten w młodych latach zajmował się sprawami publicznymi i posłował do różnych dworów europejskich.

Druga książka, wydana u Franciszka Cezarego w Krakowie 1701 roku, nosi tytuł: *Regulae Iuris* przez Stanisława Łochowskiego ¹⁾, ofiarowana jest „Janowi a Słupów Szembek, referendarzowi Królestwa Polskiego. Jan Szembek, kanclerz koronny za Augusta II, pierwszy zaczął używać tytułu hrabiowskiego.

Książka trzecia, wydanie Andrzejowczyka w 1632 roku, nosi tytuł: *Droga do nieba abo dwanaście znaków przejrzenia do nieba*—przez o. Hieronima Drexelliusa, tłumaczenie z łacińskiego języka na polski przez księdza tegoż zgromadzenia przy kościele świętych Piotra i Pawła w Krakowie. Tłumacz nazwiska swego nie położył. Książka ta jest znaczone: „z biblioteki Krystyny Szembekówny grafiny“, i widocznie przez nią ulubiona była, bo wewnątrz w kilku miejscach, na marginesie własnoręcznie dawną pisownią skreślone jest życzenie, aby się nie wiodło temu, kto ukradnie tę książkę; dewiza, o ile oryginalna, o tyle okazała się skuteczną.

Kiedy mowa o pamiątkach, należy wspomnieć o obrazie Chrystusa w cierniowej koronie Guido Reniego. Obraz ten znajdował się w galerji Augusta II, o czem świadczy na ramach złożonych pomieszczony u dołu monogram: A. R. i korona królewska, u góry zaś herby koronne saskie i pol-

¹⁾ Łochowski Stanisław, prawnik, pisarz grodzki opoczyński, autor wielu dzieł prawnych w języku łacińskim, zmarł w 1653 roku.

skie. Obraz pierwotnie dostał się do hr. Čosel, znanej za panowania Augusta II-go, a przez jedną z jej córek po kądzieli przeszedł do rodziny Szembeków.

Do tego łańcucha wspomnień, stanowiącego z nami i z chwilą bieżącą wspólną całość, połączoną skutkami i odległością czasu, należy dorzucić przypomnienie, że dnia 8 września roku 1717 ks. Jan Szembek, biskup chełmski, koronował obraz cudowny Najświętszej Maryi Panny Częstochowskiej. Powoli zbliża się dwuchsetna rocznica i budzi się pragnienie, aby do tego aktu w tej samej świątyni, w obecności tego samego ludu stanął i biskup. noszący to samo nazwisko. Ad multos annos, ad multos annos!

MIECZYSLAW OFFMAŃSKI.

PIŚMIENNICTWO.

Maryan Dubiecki: „Karol Prozor. Monografia opracowana na podstawie źródeł archiwalnych“, Kraków, 1897.

Von Boguslawski: „85 Jahre preussischer Regierungspolitik in Posen und Westpreussen von 1815 bis 1900“. „Geschichtliche Skizze“, 1901.

Biografię historyczną o Karolu Prozorze poprzedził autor wiadomością o całej rodzinie, która się wywodziła z państwa Moskiewskiego od rodu Prozorowskich. Mitra książęca, zdobiąca szczyt tarczy herbowej Prozorów, pozostała jedynym śladem Rurykowskiego pochodzenia, tytułu bowiem książęcego w Polsce nie używali oni wcale. Indygenat polskiego szlachcica starczył im za wszystko. Od pierwszego osiadłego w Polsce Prozora, Prokopa, w XVI wieku, do początku XVII wieku patrzano na ośm pokoleń tego rodu. Przedstawicielem ósmego pokolenia był Józef Prozor, wojewoda witebski, ojciec Karola, ostatniego w. oboźnego w Wielkiem Księstwie Litewskiem. Karol Prozor, chlubnie zapisujący swe imię w rocznikach czynów obywatelskich, posiadał niepospolitego ojca. Wojewoda witebski, to postać górująca nad owoczesnym tłumem możniejszej szlachty. Światło i kierunek króla Stanisława Leszczyńskiego oddziaływały skutecznie na Józefa Prozora i król Leszczyński był dla niego źródłem dobrych natchnień i patriotycznych czynów.

Karol Prozor, ożeniouy z ks. Szujską, wystąpił wcześniej na widownię publiczną. Dwudziestoosmioletni młodzieniec zostaje marszałkiem trybunału litewskiego. Pod laską jednak Karola Prozora nie stłumiała sprawiedliwości przemoc. Niepodległość przekonań, wysokie pojęcie o cnocie obywatelskiej, o sprawiedliwości, którą ponad wszystkie względy umiał podnieść, cechowały jego postępowanie. Powszechnie chwalono bezstronność i prawość Prozora, a gdy w jego trybunale przegrał sprawę wykrętną Karol Radziwiłł, którą od lat wielu prowadził zwycięsko z niezamożnym ziemianinem, starostą Górskim, pochwałą Prozora nie było końca

i przekonano się, że i u nas sprawiedliwość stać może ponad przewagą ludzi głośniego imienia, oraz olbrzymiej fortuny.

Sejm czteroletni rzadko kiedy widzi Karola Prozora w murach stolicy, nie zasiada on wcale na ławach ówczesnych obrad, lecz przebywa na wsi, w dalekich Chojnikach, gdzie liczni korespondenci wciąż go zawiadamiają o treści toczących się wówczas obrad sejmowych. Charakterystyczną jest rzeczą, iż w roku 1790, gdy radzono o nowej reformie zarządu i losy ludu wiejskiego zaczęły coraz większą ilość przyjaciół zdobywać, nie ustawały polowania na zbiegłych włościan. Szukano tych, którzy opuścili siedziby, chroniąc się przed uciskiem, i nie tylko własnych poddanych pilnie odszukiwano, ale zarazem wyszukiwano i cudzych poddanych, i trudniono się ich sprowadzaniem, czyniąc w ten sposób usługę sąsiadom i znajomym. Jeśli jednak wówczas niewiele spokoju zażywał wieśniak, to i los szlachty w dworach i zaściankach nie był o wiele pomyślniejszym. Właśnie w roku 1790 uformowały się kupy swawolne i przebiegały Mińszczyznę, kierowane dłonią p. Zawiszy, którego dnie zimowe i mroźne nie powstrzymywały od zbrojnych wypraw sąsiedzkich, kończących się zawsze krzywdą i swawolą.

Karol Prozor, jakkolwiek na pozór usunięty od głównego ogniska ruchu umysłowego, należał do najbardziej posuniętych zwolenników reformy, i od chwili ogłoszenia ustawy 3 maja stał się gorliwym jej rzecznikiem i obrońcą. Dom jego był ogniskiem wielkiej manifestacji na rzecz nowej konstytucji. Szlachta kilku powiatów, z Kijowskiego i Mińskiego województwa, gromadnie zjechała, zaproszona przez niego do Chojnik, aby uroczyście obchodzić ustanowienie nowej konstytucji. Owruć i Mozyrz poszły za jego przykładem, wysyłając rodzaj adresu do króla, aby wyrazić swe ukontentowanie z uchwał ustawy majowej, a nawet w Kowieńskim, gdzie Kossakowscy wichrzyli, opozycja nie mogła zapobiedz przysiędze na rzecz nowej konstytucji

Nie mogąc w Wilnie powziąć poważniejszych wiadomości o stanie ogólnym spraw krajowych, Prozor udał się do Warszawy, ale tam nie w porę zorganizować się nie dało, a cofająca się główna armia polska odejmowała ziemiaństwu chęć do poważniejszej akcji. Warszawę opuścił Prozor razem z Niemcewiczem i Weyssenhoffem, ale gdy ci udali się za granicę, Prozor udał się do Królewca, dokąd go wzywały sprawy majątkowe. Z Królewca zamierzał nawet udać się do Londynu na dłuższy pobyt, i w tym celu począł się uczyć po angielsku, ale w dwa miesiące po owej dobrowolnej emigracji przystąpił do konfederacji Targowickiej. Akces, lakonicznie zredagowany, nie został przez konfederację przyjęty, i Prozor musiał podpisać cy-

rograf, bardziej obszerny i umotywowany, który brzmiał, jak następuje: „Dla słabości zdrowia mego, a poratowania onegoż będąc oddalony za granicą, a chcąc pełnić posłuszeństwo prawa w obowiązkach obywatela, za doszłą mnie wiadomością, chcąc osobiście to uczynić, poprzedzam tymczasem akcesowym rewersem moim, który do akt najbliższych chcę mieć podanym, iż ja przystępuję całkowicie do generalnej Konfederacyi wolnych obojga narodów, i we wszystkim do aktu tejsze Konfederacyi Targowickiej łączę się i przystępuję”.

Powróciwszy do kraju, Prozor zastał wszędzie rozwieleniającą się prywatę. Korzystały z zamętu różne małe duchy, aby poddać swych osobistych nieprzyjaciół pod brzemień nacisku, wywieranego przez generalność Konfederacyi. Dość było mieć mały proces, choćby o garść zboża, lub kawał bagna, by owe małe duchy rzuciły kamieniem potwarzy na swych osobistych nieprzyjaciół, by stawały wobec generalności w Grodnie z przypomnieniem, że ich przeciwnik popierał konstytucję majową. Rozpoczęły się też bezprawia i nadużycia różnorodne osób wpływowych w Generalności Targowickiej, które tak nieraz wszelką miarę przewyższały, że władze wojskowe rosyjskie zniewolone były poskramiać ten zapal adherentów Targowicy, oraz ludzi, pragnących swe prywatne sprawy i rachunki załatwiać pod flagą konfederacyi.

Wśród tego rodzaju okoliczności, ludzie ruchliwszego umysłu nie mogli siedzieć spokojnie, a więc Karol Prozor, w parę miesięcy zaledwie po powrocie z Królewca, wszedł do robót konspiracyjnych. Od niego właściwie poszła inicjatywa ruchu, chociaż powstała ona w wielu umysłach jednocześnie. Prozor w Chojnikach rozwinął główną agitację, a dopomagał mu Ignacy Działyński w Kijowszczyźnie i Mińszczyźnie. Termin wybuchu wyznaczony został w styczniu i lutym 1793 roku, ale wkrótce odroczone go do końca lata, czy też na jesień tegoż roku. Ukrywanie się dłuższe z całą spiskową robotą stało się tem trudniejszym, iż nastąpił drugi rozbiór kraju. Chojniki i cała Kijowszczyzna dostały się pod władę państwa rosyjskiego, a przysięgi i homagia uroczyste w ciągu kwietnia i maja miały być w województwach przyłączonych złożone. Kto zaś nie chciał się poddać rozkazom nowej władzy, mógł się wyprzedać w ciągu lat trzech i wynieść się z kraju. Po odbytych homagiach, sprawa spisku wzrosła. Kasa spiskowych robót znacznie urosła na zjeździe Berdyczowskim, a w mieszkaniach agentów konspiracyi bawiono się lucznie, aby samą skrytą pracę zamaskować.

Zanim jednak ruch wybuchnął, wojska nieprzyjacielskie zajęły Chojniki. Prozor z Kosińskim zdołali zaledwie dosięść wierzchołków i zniknąć w lasach. Wieśniacy, dokładnie z miejscowością obeznani,

stali się dla nich doskonałymi przewodnikami. Nieprzyjaciel tropił ich mimo to w najnieodostępniejszych kryjówkach, zabrał im nawet konie, choć ich samych, ukrytych o kilkaset kroków, nie zdołał dopatrzeć.

W pierwszych też dniach tułaczki po leśnych uroczyskach, doszła ich z poza puszczy wiadomość o rozbrojeniach i o wymarszu pułków polskich ku Bugowi. Tym sposobem wszelka podstawa działań powstańczych na Ukrainie stanowczo i nieodwołalnie upadała. Prozor nie mógł się wydostać z lasów prędej, jak po sześciu tygodniach, ponieważ wszędzie szukano go i pilnowano. Wymknął się nareszcie za pomocą jednego urzędnika, który go przewiózł przebranego za furmana, i po tysiącnych niebezpieczeństwach połączył się nareszcie z wojskiem polskim.

Dnia 18 lipca naczelnik zamianował Prozora zastępcą w Radzie najwyższej narodowej i pełnomocnikiem na Litwie, przy wszystkich dywizjach wojsk Wielkiego Księstwa Litewskiego. Ta nominacja dała początek legendzie, iż Kościuszko uczynił go swoim zastępcą, to jest niejako dyktatorem na Litwie. Zapomniano, że wyrazem „zastępca“ określano wówczas Komisarzy Rządu, i że takich zastępców było bardzo wielu. Godność też zastępcy, jakkolwiek była wysoka, ale w każdym razie daleka od wszelkiej dyktatury. Przed upadkiem Wilna Prozor wciąż tam przebywał, trudniąc się sprawami swego urzędu. Wpada i do obozów, na krótko wszakże. Nazywano go najwyższym pełnomocnikiem najwyższego naczelnika, a w rzeczywistości zatrudniał się nie wysokimi, ale drobnymi sprawami. Na tydzień przed upadkiem Wilna, powołano Prozora z dwoma Grabowskimi, generałem i komendantem miasta, na posiedzenie deputacyi centralnej, w sprawie ciągłych zażaleń, jakie dochodziły z prowincyi na wojskowych, zabierających gwałtem podwozy i przywłaszczających sobie niekiedy konie i wozy. Po straceniu Wilna wszystko upada, rozprzega się i z trudnością armie litewskie utrzymują się na swych stanowiskach.

Jeśli od chwili objęcia dowództwa przez Mokronowskiego czyniono mało na polu walki, to w zarządzie cywilnym wzmagała się coraz bardziej panika, która wreszcie ogarnęła tłumy. Pozycja Prozora stawała się coraz trudniejsza. Przebywał on w obozach, ale że one ku Grodnu i Brześciowi cofały się, więc i on za nimi się posuwał. Przez to cała Litwa została odsloniona dla wojsk nieprzyjacielskich, które też kraj zalewały bez żadnego oporu. Deputacya centralna prowadziła również żywot koczowniczy i uwiadamiiała pełnomocnika, dokąd się ma zamiar przenieść. We dwa dni po upadku Wilna, donosi ona pełnomocnikowi, iż rezyduje w Kownie, ale jest pozbawiona

wszelkich wskazówek o dalszych zamiarach i planach, nie wie, gdzie są obozy, gdzie wojsko, dokąd ma pisać, które powiaty mają być zasłonięte przed nieprzyjacielem, i w końcu dodaje, że wszystkie zapasy, posiadane w Kownie, i ona sama, zostawione są ślepemu losowi.

Deputacya centralna, przybywszy do Grodna, ze zdziwieniem dostrzeżę, iż kilku jej członków pozostało w Kownie, i z miejsca owego pobytu chce owa część rządzić, jak gdyby była całością. Pod przewodnictwem Tyzenhausa, część owa przywłaszczyła sobie władzę i poczęła wydawać odezwy do wojska. Rozdwojenie powyższe spotęgowało jedynie trudności deputacyi centralnej, której rozkazom zaczął się nawet lud wiejski opierać w ostatniej chwili. Po upadku Warszawy, Prozor, wraz z innymi, uszedł za granicę. Zatrzymawszy się parę tygodni w Jarosławiu, Prozor udał się do Paryża, lecz tam zabawił krótko i spotkał się z przyjaciółmi w Wenecyi. Ówczesne obietnice Francyi republikańskiej budziły wszędzie coraz to większe złudzenia. Prozor również wraz z innymi ludził się i pozostał na emigracyi w nadziei podniesienia upadłej sprawy. W ciągu roku 1795 rozpraszają się emigranci. Jedni ciągną do Drezna, inni do Florencyi, inni wreszcie do Paryża. Przedewszystkiem jednak Paryż stał się największym ogniskiem emigracyi, i tam najliczniejsze powstawały pomysły, oraz najśmielsze przedsięwzięcia. Prozor do każdego z nich dokładał ręki, wspierał powagą swego imienia i nieskazitelnością uczuć.

Kiedy w jesieni 1795 roku wysyłała emigracya do Konstantynopola Michała Ogińskiego, Prozor brał bardzo czynny udział w tej sprawie, a gdy w pierwszych dniach 1796 roku utworzona została w Paryżu pewnego rodzaju reprezentacya interesów Polski, nosząca nazwę deputacyi, w liczbie pięciu jej członków widziano Prozora. Deputacya powołana została do steru za wiedzą rządu francuskiego, głosami wszystkich emigrantów, i ministerjum francuskie oświadczyło, że w kwestyach, dotyczących się Polski, tylko z Deputacją pragnie mieć stosunki i ją uważa za legalną reprezentantkę polskich interesów. W końcu stycznia 1796 roku Prozor osiedlił się znowu w Paryżu, i wtedy-to powstała plotka, posądżająca Prozora o ubieganie się o względy Józefiny Beauharnais. Tymczasem samo zestawienie dat obala całą ową legendę, albowiem Prozor mógł poznać Józefinę najwyżej na trzy, lub cztery tygodnie przed jej powtórnyim ślubem.

W paryskim więc emigracyjnem gronie, pod osłoną francuskiej wolności, powstała myśl zawiązania legionów polskich. Należy

się ona przedewszystkiem Wybickiemu i Prozorowi, którzy ją ściślej sformułowali, a Wybicki skreślił notę dla doręczenia jej Dyrektoryatowi. Skoro Dyrektoryat odpowiedział przychylnie na rzeczzone przedstawienie, radość była powszechna, ale również i golizna, która nie pozwalała udać się ani Dąbrowskiemu, ani innym na miejsce przeznaczenia. Brak wszelkich środków pieniężnych omal że nie obalił całego projektu wytworzenia siły wojennej poza krajem. Dar Dziewanowskiego (1,000 dukatów), przesłany w ostatniej chwili, ocalił całe przedsięwzięcie. Ku końcowi roku 1786, Dąbrowski przybywa do Lombardyi, gdzie go generał Bonaparte upoważnia do wytworzenia legionu polskiego we Włoszech, i dnia 20 stycznia 1797 roku z Medyolanu wydaje odezwę w czterech językach, wzywającą młodzież polską pod broń.

Wstąpienie na tron rossyjski cesarza Aleksandra I przyniosło Karolowi Prozorowi amnestyę. Powrócił do kraju w roku 1802 po dziewięcioletniej nieobecności. Od tej pory aż do roku 1812 pozostaje on zdala od wypadków życia publicznego, gdyż proste komunikowanie się z wpływowemi osobistościami Księstwa Warszawskiego mogło go narazić na podejrzenia i przykrości. W roku 1812 Prozor zostaje w Smoleńsku mianowany przez Napoleona członkiem rządu tymczasowego Litwy, z wyznaczeniem mu teki ministra skarbu. Obowiązki swe mógł on dopiero objąć w październiku i pełnił je gorliwie przez dwa miesiące, to jest aż do ostatecznego upadku władzy Napoleona na Litwie. Dzień 10 grudnia był ostatnim dniem istnienia rządu tymczasowego Litwy; w tym dniu Prozor wraz z innymi opuścił Wilno. W lutym 1813 roku Prozor z wieloma członkami rządu tymczasowego znalazł się w Krakowie, dokąd zdołano jeszcze sprowadzić kasę skarbu litewskiego. Z Krakowa podążył Prozor na powtórą emigracyę, z której jednakowoż rychło do kraju powrócił.

Monografia p. Dubieckiego, Karolowi Prozorowi poświęcona, zawiera wiele interesujących szczegółów, odnoszących się do epoki, nierozświeślonej należycie przez dziejopisarzy. Autor czerpał swe wiadomości przeważnie z archiwum domowego rodziny Prozorów, które, jak się od niego dowiadujemy, zostało antykwarzom sprzedane. Dobrze więc przynajmniej, że owo archiwum przed rozproszeniem się jego po rozmaitych zbiorach zdołał autor wyzyskać; tym sposobem bowiem nie jeden szczegół od zapomnienia uchronił. Sposób przedstawienia historycznych wypadków, jaki w pracy p. Dubieckiego spotykamy, razi czytelnika chaotycznością układu i zbyt częstem przeplataniem opowieści swojemi indywidualnemi poglądami i sądami o ówczesnych

wypadkach. Również główna postać monografii, to jest Karol Prozor, przeistoczony został przez autora w olbrzymi posąg obywatelskich zasług i otoczony pochwalczym dymem uwielbień i zachwyków. Nie ulega żadnej wątpliwości, iż Karol Prozor był czynnym obywatelem lecz to jeszcze nie powód, aby tracić w pochwałach odpowiedni spokój i miarę. W każdym razie należy pamiętać, że w owej dobie spotykamy się z wieloma postaciami hartowniejszemi w przeciwnościach, dzielniejszemi w czynie, aniżeli Karol Prozor. Trzeba więc dla nich pozostawić choć jedną odznakę w uznaniu i pochwałach.

Autor pochodzi z rodziny polskiej, przynajmniej sam się do tego przyznaje, twierdząc, że przodkowie jego w dobie reakcyi katolickiej zmuszeni byli opuścić Rzeczpospolitą. Prócz tego generał-lejtenant, von Boguslawski, jest znanym i cenionym pisarzem w dziedzinie wojskowości. Studya jego nad znaczeniem wojny wogóle, zarówno, jak i nad przyszłą wojną, odznaczają się nie tylko powściągliwością rozumowania i bogatą fachową wiedzą, ale zdradzają ogólnejsze wykształcenie i wytrawny sąd, z którym się nawet mężowie stanu liczyć powinni. W roku bieżącym generał Boguslawski, pozazdrościł wawrzychów generałowi Grolmannowi i wystąpił z broszurą, godzącą w serce narodowości polskiej, gwoli zadośćuczynieniu gorącym pragnieniom haka-tystów.

Kreśląc dzieje polityki rządowej pruskiej w poznańskim od 1815 do 1900 r., generał Boguslawski, traktuje czytelnika niemieckiego samemi ogólnikami, dawno znanymi, a zaczerpniętymi jedynie z namiętych prac niemieckich. Nawet niemieckie studya, umiarkowane w sądach swoich o Polakach, pozostały mu obcemi lub rozmyślnie pominiętymi, a czytelnik, pragnący poznać się dokładniej z pruską polityką rządową w Poznańskim i Prusach zachodnich, na-daremnie szukał-by informacyi w broszurze Boguslawskiego. Z nie-licznych znanych sobie studyów, a przedewszystkiem z dziejów Treitschkego, Boguslawski powybierał sobie same cienie i całą ponurą historyozofię, zwróconą przeciwko Polakom. Jedynie więc Flottwell i ci, co pragnęli wytępienia ducha polskiego, mieli zdrowy pogląd na przewodnią politykę pruską i jej ostateczne cele. Wszyscy zaś, co nie wyznawali hasła „germanisiren“, byli w błędzie i oddawali się gorączkowym wizjom bez względu na to, kim byli: liberelami z 1848 r., Fryderykiem Wilhelmem IV, czy Caprivim.

Ustępy poświęcone stosunkom społecznym w Poznańskim są w pracy Boguslawskiego równie powierzchownemi, jak i dzieje poli-

tyczne tej dzielnicy. To, co czytamy o szlachcie polskiej, jak dotychczas mieszka pod słomianym dachem, w izbie nie wiele różniącej się od chłopskiej, budzi w nas poważne wątpliwości, a to co czytamy o polskim chłopie dowodzi, że autor nie zapoznał się z żadną poważną pracą niemiecką, traktującą o chłopie poznańskim, a przedewszystkiem z cenną książką Klebsa. O mieszczaństwie w Poznańskim powtarza Bogusławski za hakatystami znane zwrotki i przyznaje, że w ostatnich dziesiątkach lat rozwinął się krzepki i patryotyczny stan mieszczański w Poznańskim. Rozpoczął on boykotowanie na wielką skalę przemysłu niemieckiego i wytworzył kupiectwo i rękodzielnictwo polskie. Niemcy nie potrafili w swoim czasie naśladować Polaków, to jest odpowiedzieć boykotem na boykot. Owszem, miękkość charakteru niemieckiego zaszkodziła ich narodowej sprawie. Niemcy rozmawiali ze swymi robotnikami po polsku i darzyli ich przychylnością z tego względu, iż praca ich była tańszą.

Dzięki pieczołowitości rządu i ruskiego dobrobyt zaczął się rozpowszechniać i wśród ludności wiejskiej w Poznańskim. W miarę jednak wzrostu dobrobytu powiększała się wśród Polaków skłonność do polonizowania kolonistów niemieckich. Stało się to np. z Bambergami osiadłymi niedaleko Poznania. Autor patrzył na to otwartymi oczyma, jak w r. 1855 przybyli z Bambergu koloniści mówili wyłącznie po niemiecku, a później około roku 1875 zostali prawie zupełnie spolonizowani. A więc parę tysięcy Niemców utraciło własne narodowe poczucie przed bramami stolicy poznańskiej, twierdzy pierwszorzędnej i w oczach niejako państwa i Kościoła. Do polonizacji Niemców dopomagała wyborna szkoła, która przez długi czas była pod nadzorem katolickiego duchowieństwa. Dzięki też niemieckiej ospałości, niekonsekwencji i skłonności do paktyzowania z ultramontanizmem niemiecki język został rdzennie usunięty z wsi zupełnie niemieckich lub co najwyżej zupełnie w tajemnicy nauczany; stał się jednak ten cud przy pomocy Kościoła katolickiego i Bamberdzy, tak samo jak inni koloniści niemieccy, dlatego zapomnieli języka rodzinnego, że byli katolikami.

Do dzieła polonizacji Niemców dopomagała wiele agitacja prasy i stowarzyszeń polskich. Agitacja powyższa zohydziła wszystko, co tylko było niemieckiem. Jedynie tylko stan oficerski pruski używał pewnego poważania wśród Polaków i popisywali się oni dość chętnie tytułem oficera pruskiej landwery. Zresztą nienawiść swą do niemieczyzny posuwali Polacy tak daleko, że razu pewnego w Kempem duchowny katolicki zerwał pruskiemu rezerwiście narodową kokardę. O kulturkampfie w Prusach i w Poznańskim umie Pogu-

slawski opowiedzieć także same jedynie ogólniki, pozostawiając na uboczu poważne dzieła niemieckie, które walkę ową szczegółowo i przedmiotowo przedstawiły. Zato dzieło kolonizacji niemieckiej, zainicjowane z takim rozmachem przez Bismarcka, pozyskało w zupełności jego uznanie, tylko go martwi brak konsekwencji w wykonaniu tak chwalebnej myśli, oraz niedostateczny rezultat, albowiem w niektórych latach przeszło więcej ziemi w polskie, aniżeli w niemieckie ręce.

Szkole w Poznańskim poświęca Bogasławski obszerniejszy rozdział, z ubolewaniem wspominając owe czasy, w których Kościół uważał szkołę za swoją i sobie podległą instytucję. Zmienność polityki rządowej w powyższym kierunku pogarszała jedynie stan rzeczy. Na wszelkie ograniczania wpływów polskich w szkole odpowiadali Polacy zaciętą skłonnością do polonizowania niemieckich dzieci i dopuszczali się w powyższym kierunku niezwykłych nadużyć. Dwujęzyczny system nauczania w szkole nadawał się jeszcze dla polskiej propagandy i dopiero po roku 1863 poczęto powoli wprowadzać język niemiecki jako wykładowy. Na Górnym Szląsku naukę języka polskiego zaprowadził właściwie jeden z radców szkolnych z Poznania, pomimo, że władze szkolne wyrażały poważne wątpliwości przeciwko powyższej koncesji w Berlinie. Wbrew wszelkim protestom i ostrzeżeniom, administracya oświaty przyjęła zasadniczo język polski (Hoch polnisch), nie tylko na Górnym Szląsku, ale i wśród Kaszubów. W r. 1872 zostało wydanem nowe prawo o nadzorze szkolnym, które wszelkiego rodzaju inspekcye szkolne powierzyło urzędowi cywilnym. Prawo powyższe natrafiło na jaknajsilniejszy opór ze strony duchownych inspektorów. Prócz tego prawo z 1872 r. nakazało wykład religii traktować na równi z wykładem innych przedmiotów, to jest po niemiecku, a dzieci niemieckie potrzebowały upoważnienia inspektora okręgowego, ażeby się móżd uczyć po polsku. O ucisku polszczyzny nie mogło być mowy, albowiem pozostawiono nadal naukę języka polskiego, jako specjalnego przedmiotu.

Wszystko w rozwoju szkolnictwa w poznańskim szło należycie, dopóki nie nadeszła era Capriviego, która ogłosiła zasadę, że trochę mniej lub więcej francuskiego w Metz, lub polskiego w Poznaniu jest dla polityki pruskiej zupełnie obojętnem. Stronnictwo dworskie z Kościelskim na czele pozyskało sobie względy rządu paru dogodnemi głosowaniami, ale my, Niemcy, w masie 58 milionów, nie możemy na to pozwolić, aby naszych braci potraktowali Polacy tak, jak Rusinów galicyjskich. Mianowanie d-ra Stablewskiego na stanowisko arcybiskupa gnieźnieńskiego, z którym się łączy dawna godność pry-

masa i między-króla, wydaje się Bogusławskiemu bardzo niewłaściwym. Następstwem, a raczej owocem ery Capriviego było cofnięcie się pierwiastku niemieckiego w Poznańskim na korzyść elementu polskiego. Polski zaś czynnik rozwinął się głównie w stanie trzecim, który, tak jak i inne, terroryzowany jest przez polską prasę, używającą w celach agitacyjnych gwałtownego i pospolitego aż do gminności języka.

Z kolei rzeczy opowiada Bogusławski o agitacji polskiej przeciwko stowarzyszeniom wojskowym (*Kriegerverein*), dalej o sprawie wyborczej Kresińskiej, w której arcybiskup Stablewski dowiódł, że w gruncie rzeczy jest najzupełniej nielojalnym względem państwa pruskiego. Wieńczy wszystko zarzut Bogusławskiego, uczyniony agitacji polskiej, że zdołała nawet spolonizować żydów poznańskich i zachodnio-pruskich, owych żydów, którzy byli pariami dawnej rzeczypospolitej i doznali łaskawej opieki rządu pruskiego. Wystawivszy w przerażającym świetle niebezpieczeństwo, zagrażające Niemcom ze strony Polonizmu, Bogusławski podnosi zasługę obywatelską założycieli związku marchii wschodnich, czyli związku hakatystów. Wśród Polaków tkwi nieustannie myśl o zbrojnych powstaniach, podniecana nieustannie przez stowarzyszenia gimnastyczne, czyli przez t. zw. Sokołów. Pragnęli oni przytem bardzo konsekwentnie spolszczyć niemieckich katolików tym sposobem, że nie dopuszczali języka niemieckiego do służby Bożej. W dodatku polska agitacja ogarnia obecnie nietylko Poznańskie, ale zalewa Górny Szląsk i Prusy wschodnie, pomimo, że na Szląsku i we Wschodnich Prusach grunt dla agitacji o tyle niepodatny, że wszyscy czują się wiernymi poddanymi króla pruskiego.

Polskim obiezytasom i wogóle napływowi polskiemu robotników do Niemiec, zarówno jak i polskiej demokracji socyalnej, poświęcił również Bogusławski uwagę, ale podał cyfry statystyczne nieściśle, a czasami zupełnie mylne, dołączivszy do tego rozumowanie płytkie i dyletanckie. Kończy autor uwagami o anarchii polskiej, o tem, że Polacy sami są winni, że ich państwo upadło, i wzywa Niemców, aby wystąpili jednolicie do walki z polonizmem we wszystkich sferach życia społecznego. Rząd obowiązany jest wesprzeć owe dążenia niemieckiej ludności, a przedewszystkiem zapobiedz temu na przyszłość, ażeby arcybiskupem gnieźnieńskim został Polak. Na tem stanowisku trzeba umieścić Niemca, i to Niemca zdecydowanego oraz energicznego. Myśl zniesienia fortyfikacji miasta Poznania podniesiona jest także przez Bogusławskiego, a jego broszura zakończona życzeniem, aby polityka rządowa w walce z polonizmem nie była chwiejną, i szła nieustraszenie torami, wskazanemi przez Bismarcka.

Broszura generała Bogusławskiego czyni na polskim czytelniku bardzo przykre wrażenie, daleko boleśnieszsze, aniżeli niegdyś czynić mogła broszura generała Grolmanna. Grolmann bowiem był Niemcem, posiwiałym w bojach z Napoleonem, który widział Polaków walczących i to często ze skutkiem z pruskiemi wojskami. Von Bogusławski, pochodzi ze szlachty polskiej i jedynym motywem jego nienawiści do Polaków jest jego własne zaprzaństwo. Gdy Grolmann wskazuje rządowi środki do wytepienia Polaków, von Bogusławski nawołuje do walki eksterminacyjnej całe społeczeństwo niemieckie, podburzając je przeciw Polakom fałszywą i naiwną w swej obłudzie denuncyacją. Zbijanie dowodów generała Bogusławskiego było-by jedynie stratą czasu, albowiem autor, jak większa część fanatyków politycznych, żadnych dowodów nie przedstawił na poparcie swych haseł. Rady też, jakimi w powyższej broszurze zasilił Bogusławski rząd i społeczeństwo niemieckie, płyną z zakazonego nienawiścią i tendencją ducha.

A. R.

Emde: Symfonia „Do niej“. Warszawa 1900.

Autor wstydliwie ukrywający się pod kryptonimem e m - d e, zakończył swą sonetową symfonię „Do niej“ wspaniałym akordem: „Zaklinam cię, o boska, w Jedne Wielkie Piękno“. Zaklinam „przez twoją wielką dobroć i p o d ł e (?) kochanie, i przez Bóg żywy, przez świat i ducha niewinność... przez gwiazdy, księżyc pełny“ (broń Boże nie na nowiu lub w kwadrze), przez burze, pioruny i wreszcie „Syna Boga żywego przez Zmartwychpowstanie“. „Ona“ to „talizman Ducha“, to nieświadome wcielenie piękności, przez nią dusza świata „do Piękna oddycha“. Nastroiwszy swą lutnię na ton tak uroczysty wolno było p. Emde wziąć za epigraf słowa („Próżno brzask walczył z ślepej nocy siłą“) z tego wstępu P r z e d ś w i t u, w którym Beatrycze zbiega do otchłani, by rozświecić przed poetą ścieżki jego; a że u Krasńskiego „coraz p o d ł e j na tej ziemi było“, więc i u p. Emde znalazło się „podłe kochanie“. Tak się rodzi natchnienie. Domyślamy się już w wieszczu filozofa. Istotnie, dowiemy się np. od niego, że „sam Bóg Niebieski się z miłości rodzi. Cały wszechświat z t y c h d a n y c h swych poddanych płodzi...“ Wszystkich miłość społeczna do niebiosów wwdzi, Tylko na ziemi ona w całej pełni mglista“, a „choć się wiją listki od o n e j gorąca, to przecież dopiero rozwijają światy“. Metafizyka miłości istotnie dość „mglista“, po-

zostawmy ją tedy na uboczu, posłuchajmy raczej, jaki wyraz poeta nadaje bezpośrednim swym zachwytom z powodu „niej“. Otóż właśnie, „kiedy chcesz spojrzeć na nią, nie znajdziesz wyrazu; By ją porównać z dziełem (? jakim? czyjem?), nie znajdziesz obrazu (!), bo zaćmi, lub jednością linie poroztrąca“... Wogóle, nie mówiąc już o „obrazie“, którego poeta nie znajdzie, jego dykcya jest tak wprost dziecinna, jego cały tok myśli tak młodociany, że śmiesznością byłoby zastanawiać się dłużej nad „symfonią“ jego. Ale, co gorsza, w tych niezręcznych a pretensjonalnych wierszykach niepodobna doszukać się choćby isierki prawdziwego talentu. „Płyn głosie, powiada autor na zakończenie, niech cię ludzie ubiorą w sukienkę, Ja bo nie mam odwagi, możeś ty nieprawy? A jeśli cię zrozumie ten Naród ciekawy, To mu zaśpiewam inną i dłuższą piosenkę“. Z takich zamiarów trudno wywróżyć dla autora coś więcej, oprócz rozczarowań.

A. DROGOSZEWSKI.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Naprzód jako pogłoska, potem jako fakt konkretny, poparty komunikatem redakcyi „Ateneum“ — doszła nas wiadomość, że pismo to z d. 1 lipca r. b., przestaje wychodzić.

Miesięcznik to dobrze i poważnie zasłużony naszemu piśmiennictwu naukowemu i dlatego strata, jaką pociąga za sobą jego ubytek, ma znaczenie szersze, niżby to się na pozór zdawać mogło. Kto zna trudności wydawnicze, związane z egzystencyą tego rodzaju czasopism, a zna je niewątpliwie cała nasza inteligencya, komu nie są dalej znane tajemnice ksiąg buchalteryjnych naszych wydawnictw poważnych, które przy braku odpowiedniego zastępu prenumeratorów nie mogą nigdy utrzymać się same, ale potrzebują opieki ludzi możnych, kto wreszcie próbował kiedy z rozprawą o charakterze naukowym kołatać do pism zamożnych poczytnych, ale obliczonych tylko na potrzeby czytelnika „przeciętnego“, nie wybiegającego myślą poza obręb dziejów dnia jednego — ten snadnie oceni, że z wyjściem ostatniego zeszytu „Ateneum“, powstaje u nas luka, której tak łatwo zapłacić się nie da, szczerba, która się okazać może bardzo dotkliwą dla naszego ruchu umysłowego.

Nie znamy powodów, które rozstrzygnęły o tak nagłem i nieodwołalnem postanowieniu wydawców, musiały one jednak być wielkiej wagi, skoro postanowienie to zapadło. Nie mamy też prawa domagać się wyjaśnienia pobudek, które kierowały właścicielami pisma — jest to bowiem rzecz prywatna.

Przez długi szereg lat istnienia „Ateneum“ położyło zasługi znaczne. Z istnieniem jego wiązały się nazwiska najwybitniejszych u nas przedstawicieli nauki, literatury i sztuki. S. p. Stosław Łaguna, ś. p. Trejdosiewicz, prof. Piotr Chmielowski, a obok nich wiele imion, więcej lub mniej znanych w rozmaitych dziedzinach pracy umysłowej, czy to na polu historii, czy to w dziedzinie nauk społecznych, ekonomii, socyologii itd., czy w dziedzinie sztuki (poezya, powieścio-

pisarstwo) i krytyki (artystyczne i literackie), zapisało się na kartach tego wydawnictwa.

Niejedna z umieszczonych tam rozpraw i prac większych ujrzała następnie światło dzienne w odbitce i rozeszła się szeroko, wiele z nich jednak utonęło w rocznikach pisma, które, bez przesady rzecz można, są skarbcem prawdziwym pod względem naukowym i literackim. Przyszłemu historykowi naszego ruchu umysłowego ostatniej ćwierci wieku XIX oddadzą one kiedyś usługę i jako materiał bezpośredni dadzą jedyną pewną podstawę do wniosków i uogólnień krytycznych.

Z żalem też szczerym i niemalym żegnamy „Ateneum“ i jego obecną redakcyę, która tyle pracy i dobrej woli w ostatnich dwu latach w pismo włożyła, starając się obniżony chwilowo jego poziom i zachwianą powagę podnieść do dawnej wyżyny, i usiłując w miarę możliwości pogłębiać i rozszerzać program pisma. Świadectwem tej pracy, świadectwem wymownem jest ostatni zeszyt wydawnictwa, objętości kilkudziesięciu arkuszy druku.

Ta „Księga pamiątkowa“, imponująca rozmiarami i doborem treści, zamyka okres poważnej pracy umysłowej pokolenia, które schodzi z pola, które jednak umiało nie tylko samo pracować, ale i do pracy tej zachęcać młodszych.

Dla „Biblioteki Warszawskiej“ „Ateneum“ współzawodnikiem nie było nigdy, było tylko towarzyszem pracy i, jako taki, zyskało sobie szczerę poważanie. Obecnie tracimy tego towarzysza i tracimy z prawdziwym życzeniem: „aby nie na długo!“

Lipiec to miesiąc wakacyi i miesiąc gorliwej, wytężonej pracy komitetu Towarzystwa kolonii letnich.

I w tym roku, jak lat poprzednich, sporą już ilość dzieci wyprawiono na odpoczynek, gdzie wśród łąk zielonych, wśród pól rozkolypanych zbożem rozmaitem, pod cieniem drzew leśnych niejedne wątle płuca nabierają zdrowia, niejedna blada twarzyczka anemicznego dziecka Warszawy barwi się rumieńcem, niejedne oczy po raz pierwszy w życiu z podziwem patrzą się na cuda natury.

I w tym roku jednak, jak lat poprzednich, mimo wysiłków ze strony komitetu i powoli, ale stale, wzrastającej ofiarności ogółu na cel popularny już w społeczeństwie naszym, brak funduszków paraliżuje dobrą wolę Zarządu. Zawsze kandydatów jest więcej, niż miejsc wolnych, więcej, niż środków na utrzymanie dziatwy. Pieniądzy potrzeba, pieniądze ciągle i dużo.

Pragnąc rozszerzyć zakres swego działania, w r. b. Towarzystwo, tytułem inowacyi, zaprowadziło, obok kolonii bezpłatnych, jeszcze t. zw. kolonie „półpłatne“, przeznaczone dla dzieci rodziców niezamożnych, pracujących w zakładach przemysłowych, handlowych i kolejowych. Rodzice tej kategorii za „skromną“ opłatą 6 rubli miesięcznie mogą wysyłać dzieci swe na wieś, bez obawy, że współzawodniczą z jeszcze biedniejszymi od siebie. Opłatę nazwaliśmy skromną, gdyż nie sięga ona nawet połowy kosztów utrzymania jednego dziecka na kolonii, przez czas czterech tygodni. Koszt ten, według obliczeń komitetu, wraz z ogólnymi kosztami instytucyi, które w rachubę przyjęte być muszą, stanowi w przecięciu po rubli 15 z kopiejkami na jednostkę.

Myśl i zasadę tej inowacyi uznać należy za szczęśliwą, i społecznie, i ekonomicznie.

Cóż jednak się okazało?

Oto w praktyce zabrakło kandydatów na tego rodzaju kolonie. Towarzystwo urządziło i przygotowało wzorowe pomieszczenie dla 360 dzieci tej kategorii, tymczasem w chwili, kiedy to piszemy, na odnośnej liście Towarzystwa figuruje 180 kandydatów t. j. zaledwie połowa tej liczby, jaką Towarzystwo przez lato na rzeczoną kolonię wysłać zamierzało.

Dla czego się tak dzieje, trudno rozstrzygnąć. Mamy jednak przed sobą dwie alternatywy: albo rodzice niezamożni, pracujący w zakładach przemysłowych, kolejowych i handlowych, są tak biedni, że na wydatek 6-ciu rubli zdobyć się nie mogą, albo też z dobrodziejstwa kolonii letnich korzystać nie chcą, z rozmaitych, im tylko bliżej znanych, powodów. I jedno, i drugie przypuszczenie ma w sobie pewną dozę słuszności. Oto, zwykły herold w tego rodzaju sprawach, „Kuryer Warszawski“, wzywa do składek, wskazując na potrzebę 210 rubli na posłanie 35 dzieci. Są to więc dzieci takich rodziców, którzy sami zapłacić nie mogą, albo nie chcą, i muszą, albo wołają, uciekać się do miłosierdzia.

W drugim kierunku przemówił p. Z. Morzkowski w „Gazecie Polskiej“, kładąc w artykule swoim nacisk na „fałszywą wstydlivość“ i przypisując jej w znacznej mierze siłę owego hamulca dla ludzi niezamożnych w korzystaniu z filantropii. Niewątpliwie i to odgrywa swoją rolę, chociaż w pewnym tylko stopniu i ogólnie traktowane być nie może.

Najkompetentniejsze jest tu zdanie dra Markiewicza, który, jako główny organizator, twórca i kierownik instytucyi, zna dobrze publiczność, korzystającą z usług kolonii letnich i zna stopnie jej dumy, tak fałszywej, jak i uzasadnionej. Otóż doktor Markiewicz

w swojej replice na artykuł p. Morzkowskiego źródło złego widzi gdzieindziej.

„Chodzi tu w istocie — mówi on — nie o fałszywą wstydlivość, bynajmniej nie licującą z postępowaniem sfer wspomnianych w całym wychowaniu dzieci, ale chodzi o pewną rutyniczną ociążałość, o pewne zabobony towarzyskie, jednym słowem o pewne wady społeczne, które niezawodnie czas zwalczy. W roku bieżącym na kolonię półpłatną wyprawimy 150—180 dzieci, w roku przyszłym pojedzie dwa razy tyle, a później przyjdzie smutna konieczność odrzucania zgłaszających się kandydatów dla braku miejsca, jak się to z tysiącami dzieci powtarza co rok na koloniach bezpłatnych“

Tyle dr. Markiewicz, prezes komitetu. Nam się zdaje jednak, że obok pewnych wad społecznych“, podkreślonych przez niego, postawić należy ignorancję tej publiczności, której półpłatne kolonie dotyczą.

Rzadko, lub wcale nie czytają one dzienników, a tylko tą drogą wiadomość o półpłatnych koloniach mogła się do nich dostać. Ponieważ w danym wypadku zasady prawnej: „nieświadomość szkodę przynosi,“ stosować nie można, więc na przyszłość było-by bardzo pożądanem, aby Towarzystwo do zakładów handlowych, przemysłowych i kolejowych rozsyłało specjalne okólniki, aby przełożeni i zarządy tych instytucji komunikowały je swoim podwładnym i oficyalistom i starały się ułatwiać im, czy to drogą zaliczek na pensje, strącanych w miesięcznych ratach rublowych lub nawet pół-rublowych, czy drogą wsparć i zapomóg bezzwrotnych, korzystanie z kolonii półpłatnych, które, jak to zaznaczyliśmy wyżej, i społecznie, i ekonomicznie szczęśliwie zostały pomyślane.

A tymczasem—dla kolonii bezpłatnych potrzeba pieniędzy ciągle i dużo pieniędzy.

Od pewnego czasu w publicystyce warszawskiej spotykać, można coraz częściej zarzuty, skierowane przeciw społeczeństwu naszemu, jako zbyt rozmiłowanemu w sztukach pięknych, w poezji zwłaszcza, literaturze wogóle i muzyce, a nieczulemu wcale na zagadnienia nauki, a stąd nieumiejącemu wcale oceniać pracy uczonych. Kiedyś, w jednej z kronik swoich, zwracał na to uwagę Bolesław Prus, co zresztą zupełnie z jego utylitaryzmem społecznym jest zgodne. Obecnie mamy przed sobą głos w tej sprawie p. Erazma Majewskiego, redaktora i wydawcy „Wisły“ i „Światowita“. Jest to głos uczonego, który z zamiłowaniem archeologa bada pierwotną kulturę polską

i słowiańską i radby do tych badań wciągnąć jak najliczniejsze koło współpracowników.

P. Majewski pisze w ten sposób: „Nauka nasza, pozbawiona ognisk, skupiających gdzieindziej i podniecających działalność jednostek, przeżywa ciężkie chwile. Skazana na wegetację w ciasnych granicach inicjatywy prywatnej i pracy w odosobnieniu, pozostaje w warunkach wprost przeciwnych społecznym potrzebom jej rozwoju; ale tak żyć musi. Nie może ona szukać ani adeptów, ani podnieity, ani łącznika z szerszym kołem inteligentnym za pomocą prasy. Ogółu bowiem tego nie zajmują dziś, jak niegdyś, rzeczy nauki czystej; praca jednych nie wywołuje sił nowych w szranki wiedzy oderwanej. Jeżeli kiedyś warunki pracy naukowej zmieniają się, a i ogół wykształcony, smakujący dziś w literaturze pięknej i rozestetyzowany, a co najwyżej zatopiony w naukach społecznych i stosowanych do celów praktycznych, zacznie żyć pełniejszym życiem umysłowym, wtedy przyjdzie czas na interesowanie się pracami ze wszelkich, dziś niepopularnych, dziedzin nauki; wtedy teni ów, zachęcony przykładem, lub porwany urokiem nauki czystej, sam się pod najmilszy sobie sztandar wiedzy zaciągnie. W warunkach obecnych jednak oddziaływanie na nasz ogół, zarówno drogą prasy, jak i wszelkimi innymi—byłoby pracą Danaid. Pracujmy, jak możemy i jak umiemy—nie dla dzisiaj, ale dla jutra nauki naszej“.

Wszystko to jest prawda i jest jakby przedłużeniem skargi tej „Wszczęświata“, którą notowaliśmy na tem miejscu niedawno. Nie wydaje nam się jedno tylko w rozumowaniu p. Majewskiego trafne—smakowanie w literaturze pięknej i rozestetyzowanie ogółu wykształconego. Tak nie jest.

Jest u nas specjalny rodzaj estetyki, „salonowej“, jakby ją nazywać należało, rodzaj, który uprawia się w rozmowach, i który jest tylko sojusznikiem flirtu. Jest to estetyka terminów i nazwisk, w której obok Boticellego stoi Rosa Bonheur z Szekspirem, Przybyszewski, Munch Viegeland, Maeterlinck obok Chateaubrianda, Taine'a, prerafaelitów, Ruskina z Tetmajerem, Langem, Niemojewskim i t. d. Jest miche - mache najrozmaitszych frazesów, wyszarpanych nie z rozpraw, nie z poważnych prac naukowych, ale z artykułów pobieżnych, felietonów, frazesów podśluchanych, skradzionych bliźniemu, przeniecowanych i wypolerowanych we własnej kuźni stylowej. Myślenia estetycznego, głębszego wnikania w zagadnienia estetyki, badań poważnych—niema. Wie się tylko o tem, co jest en vogue, „o czem mówią“. Jest się albo przeciwnikiem nowych prądów w sztuce i odrzuca się a limine wszystko, co z temi prądami idzie, albo jest się ich ślepym, niekrytycznym zwolennikiem, uwielbia się „coś“, cze-

go się nie czuje i co nawet jest obojętne. Słowem—jest się tylko „au courant“, nic więcej.

„Rozmiłowanie w literaturze“ ogranicza się zwykle czytaniem kilku autorów ulubionych, takich zresztą, których nie czytać nie można, będąc Polakiem i będąc wykształconym. Ogół jednak ludzi wykształconych wcale nie zna literatury ojczystej tak, jakby tego od „miłośników“ wymagać należało. Ogół, rozmiłowany w literaturze i w poezyi, poza autorami żyjącymi widział-by jeszcze blask imion nietylko pierwszorzędnej wielkości. Poza „obowiązkowem“ czytaniem Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Syrokomli, Pola, Zaleskiego, czytałby on i szukał myśli niecodziennych w utworach: Berwińskiego, Sowińskiego i Norwida, a choćby Wasilewskiego lub zapomnianych już dziś zupełnie Garczyńskiego i Henryka Jabłońskiego. Gdyby ogół naprawdę smakował w literaturze pięknej, to smakowanie to odczuli-by przedewszystkiem wydawcy: niejedna rzecz piękna była-by dziś po latach kilkudziesięciu rozchwytywana na targu księgarskim ponownie. Nikt jednak nie wyda Berwińskiego, Sowińskiego, ani Norwida, bo mu się to „nie opłaci“, bo tego ani kupować, ani czytać nie będą. A przecież rzeczy nowe, wyłącznie tylko nowe, stemplem dnia opatrzone, do smakowania nie wystarczają. Przecież poza kilku talentami miary pierwszorzędnej mamy bardzo mało talentów prawdziwych, szczerych, wzbijających się ponad szary poziom wymagań przeciętnego czytelnika. Dość rozejrzeć się w dorobku wydawniczym jednego roku, porachować, ile w nim wychodzi dobrych książek, powieści, poezyi, dramatów, rozpraw krytycznych, ile miernych. Tych ostatnich zawsze dziesięć, co najmniej, razy więcej.

To samo jest z muzyką, to samo z malarstwem, rzeźbą, architekturą.

Nie o rozestetyzowanie, ale o zupełny brak smaku, o zanik zmysłu estetycznego raczej posądzić-by nas można.

Mniejsza z tem, że niema u nas wcale architektury, bo, prawdę mówiąc, niema jej obecnie nigdzie, ale jakież jest nasz stosunek do malarstwa, do muzyki? Nie umiemy ani patrzeć, ani słuchać: na opery uczęszczamy tylko dla śpiewaków, nie dla muzyki, na obrazie i rzeźbie szukamy przedewszystkiem kartki z napisem objaśniającym, szukamy nazwiska artysty i ceny „dzieła sztuki“. Ta cena zwłaszcza daje nam rękojmię jego wartości. I to jest rozestetyzowanie.

Zaprawdę, prędzej znalazł-by p. Majewski w Warszawie setkę ludzi, zajmujących się w ciszy domowej archeologią, współczujących mu w jego pracy i zabiegach, prędzej znalazł-by drugą setkę samotnych myślicieli, którzy zasypiają z Kantem pod poduszką i przetra-

wiają najzawilsze systematy filozoficzne, prędkiej, powtarzamy znalazł-by takich, niż setkę ludzi naprawdę estetycznie wykształconych i patrzących na Piękno nie przez pryzmat szkół, sekt, flirtu, ale ze stanowiska duszy, wyzwalającej się z nizin ku rzeczom trwałym i wiecznym.

Źle jest w Warszawie współczesnej z nauką, ale źle jest i ze sztuką, z „literaturą piękną“. Niema w niej obecnie atmosfery naukowej, ale niema także atmosfery artystycznej. I zupełnie to samo, co mówi p. Majewski o nauce, mogą powiedzieć bez zastrzeżeń i ludzie miłujący piękno i służbie jego oddani, ci nieliczni ludzie wśród wykształconego ogółu: „Pracujemy jak możemy i jak umiemy, nie dla dzisiaj, ale dla jutra sztuki naszej.“

Znamienna dzisiaj dla Warszawy powierzchowność we wszystkim jednakowo odbiła się na stosunkach naukowych i artystycznych: i w jednym, i drugim kierunku niema upodobań żywszych, niema oddania się ideałom, niema pracy wytrwałej, skierowanej ku ich osiągnięciu. Wielkie miasto ze swoim nerwowem, szybkim życiem, zmieniającem się codziennie, jak szkiełka w kalejdoskopie, nie sprzyja nauce, podcina skrzydła sztuce. Jesteśmy też w dobie, kiedy człowiek wykształcony o dziele naukowem informuje się z recenzji dziennikarskiej, a wrażeń artystycznych szuka w odcinku pisma prenumerowanego, lub idzie po nie na operetkę albo farsę.

Czy jednak oddziaływanie na nasz ogół „zarówno drogą prasy, jak i wszelkimi innymi drogami“ było-by naprawdę „pracą Darnaid“?..

O tem wątpimy, albowiem i dziś są wyjątki, które nietyłe stwierdzają regułę, ile przeciw niej protestują.

Od prezydium warszawstego Towarzystwa higienicznego otrzymaliśmy pismo następujące:

„Koło higienistów, złożone z lekarzy, inżynierów i techników powzięło myśl zajęcia się sprawą uzdrowotnienia, czyli asenizacji miast małych wogóle, a w szczególności sprawą ich kanalizacyi. Po wyczerpujących rozprawach nad tym przedmiotem, jakie się toczyły zarówno w łonie warszawskiego stowarzyszenia techników, jako i na posiedzeniach wydziału „hygieny miast i mieszkań“ istniejącego przy warszawkiem Towarzystwie higienicznym, wystosowaną została do Rady Towarzystwa odezwa, odpowiednemi motywami opatrzona, a przez wspomniane koło higienistów opracowana.

„Rada warszawskiego Towarzystwa higienicznego, uznając całą doniosłość poruszanej sprawy dla zdrowia ogółu, postanowiła udać się do osób, inteligencją kraju stanowiących, z najuprzejmniejszą prośbą, aby zechciały w sposób możliwie dokładny udzielić odpowiedzi na pytania, załączonym przy piśmie kwestyonaryuszem objęte, i poparły usiłowania powyższe światłą swą radą, oraz uwagami, jakie kwestyonaryusz ten nasunąć może*.

Kwestyonaryusz, sporządzony przez inżynierów: Drzewieckiego i Sokala, a ostatecznie zredagowany i zaakceptowany przez komisję a d h o c złożoną z lekarzy-hygienistów d-rów: Dobrzyckiego, Polaka, Tchórznickiego i inżynierów: Knaufa, Mateckiego i Sokala, zawiera trzydzieści sześć pytań, ułożonych umiejętnie i obejmujących dość szeroki zakres.

Ważniejsze punkty kwestyonaryusza tego dotyczą danych topograficznych co do położenia miasta (czy leży na górze, w nizinie lub też na równinie), ilości mieszkańców według ostatniego spisu, w o d y, a mianowicie: czy ludność czerpie wodę do picia z rzeki, stawu, lub jeziora, a jeżeli nie, to w jaki sposób zaopatruje się w nią, czy ze studzien, i jakiej głębokości są te studnie? Jaki jest koszt sprowadzenia wody naprzykład do szpitala, szkół, gmachów rządowych i t. d.? Czy są chociażby przybliżone dane o ilości wody zużytej, czy były robione badania wody, czy analizy istnieją i jeżeli są zachowane, to prośba o ich kopię. Czy mieszkańcy odczuwają brak dobrej wody w ilościach odpowiednich? Czy podczas pożaru nie zabrakło kiedy wody do skutecznego ratunku? Czy i kiedy były robione projekty dostarczenia miastu wody? Na czym projekty te polegały? Kto je proponował? Jak daleko posunięto starania? Jakie przeszkody utrudniły urzeczywistnienie projektu? Co było-by pożądanem do spełnienia na tem polu? Jaka jest śmiertelność w mieście, szczególnie na tyfus? Czy miasto posiada kanały, w jakiej części, jak stare, z jakiego materiału zbudowane, z drzewa, kamienia, cegły, czy z rur kamionkowych? Czy miasto jest prawidłowo zabrukowane? Czy istnieją w niem prawidłowo zabrukowane rynsztoki o spadkach odpowiednich, służące nietylko dla wód atmosferycznych, lecz przyjmujące również wody brudne z domów? Co się dzieje ze ściekami odpływającemi z kanałów, rowów lub rynsztunków? Czy mieszkańcy miasta odczuwają potrzebę zmian w sposobie usuwania wód brudnych, dotąd zastosowanym? Czy i kiedy były jakiegolwiek projekty, sporządzane w kwestyi usuwania wód brudnych? Na czym polegały? Kto je przedstawiał? Jak daleko sprawa została posuniętą? Na jakie przeszkody natrafiono? Co było-by pożądanem do dokonania na tem polu?

To ostatnie pytanie daje mieszkańcom miast prowincjonalnych ogromne pole do wypowiedania swoich życzeń, podczas kiedy z większością najważniejszych pytań będą oni musieli załatwić się krótko nakreśleniem w odpowiedniej rubryce jednego wyrazu: *nie*. Z wyjątkiem miast gubernialnych niema u nas bowiem miasteczka w całym chyba kraju, gdzie-by mówiono na seryo o kanalizacji, o wodociągach, o badaniu wody, o higienicznem odprowadzaniu ścieków, o tych wszystkich wogóle rzeczach, które zaledwie od niedawna datują się w Warszawie, pozostawiającej i tak wiele jeszcze do życzenia pod względem higieny.

Rubryki, przeznaczone na odpowiedzi, w przewidywaniu widocznie licznych a krótkich przeczeń, są też bardzo szczupłe, a na pytanie, umieszczone w każdym dziale: „co było-by pożądanem do spełnienia na tem polu?“, nastęrcza się także zwięzła odpowiedź: „*wszystko*“.

Niestety, *wszystko* jeszcze jest pożądane, i kwestyonyaryusz, po party nawet najlepszą wolą i przychylnie przez inteligencyę prowincjonalną przyjęty, nie rzuci nowego światła na smutny stan naszych miast i miasteczek, tak dobrze znany każdemu, kto o nie kiedykolwiek zawadzał.

Tem nie mniej polecamy kwestyonyaryusz uwadze ogółu, bo każdy ruch w tym kierunku, nawet czysto teoretyczny, przybliży niewątpliwie chwilę naprawy stosunków i zrodzić z siebie może praktyczny i pozytywny program działania.

Stary szpital Dzieciątka Jezus na placu Wareckim przestaje istnieć. Odbywają się właśnie przenosiny chorych do nowego gmachu, transport mamek i dzieci do nowego gmachu wychowawczego.

Stajemy wobec faktu, w historii rozwoju naszego miasta niepoślednie zajmującego miejsce, — pisze dr Gałeczki w siódmym zeszyście „Zdrowia“, poświęconym wyłącznie sprawom nowego szpitala. — Oto na placach, niegdyś do księży misyonarzy należących, a powszechnie zwanych folwarkiem świętokrzyskim, stanął szereg obszernych gmachów, nie odznaczających się, co prawda, bogactwem form architektonicznych, a wskutek tego posępnych nieco, lecz wewnątrz urządzonych zgodnie z nowoczesnemi wymaganiami higieny. Do tych gmachów przeniesie się szpital Dzieciątka Jezus wraz ze znajdującym się przy nim domem wychowawczym dla podrzutków. Dotychczas budowle, mieszczące obiedwie te instytucje o legiendowym niemal początku, posiadające blisko półtorawiekową poważną tradycyę, wkrótce,

z wyjątkiem kościoła, istnieć przestaną, a miejsce, gdzie one stały, pokryją gmachy nowożytnie.

Pierwotne budowle domu podrzutków założone zostały przez przybyłego z Francji ks. Gabryela Baudouina, misjonarza, który włożył w to ukochane przez siebie dzieło całe życie, pełne cierpliwych a wytrwałych zabiegów, mających na celu uzyskanie drogą ofiar i składek publicznych funduszu, potrzebnego do utrzymania i stopniowego rozszerzenia poważnej a potrzebnej instytucji. Obraz, przedstawiający podobiznę ks. założyciela na tle pierwszych budynków domu niemowląt i szpitala, zawieszony w kancelaryi szpitalnej pośród portretów dobrodziejów szpitala, nosi na sobie dwie daty: rok 1761, czyli rok założenia instytucji, i rok 1762, to jest datę konsekracji zbudowanego przy niej kościoła. Znajdujący się na tym obrazie napis głosi, że „szpital objął chorych i ubogich wraz z obsługą ich osób tysiąc“, i że „niemowląt u mamek po wsiach było wówczas 1,900. Wszystko to opatrność Boska opłaca“. W roku 1768 założyciel zmarł, a nad instytucją, po nim pozostałą, przeszły czasy, i burze ślady swoje na niej pozostawiły. Chcących zapoznać się bliżej z historią zakładów, o których mowa, odesłamy do obszernej monografii, napisanej przez J. Bartoszewicza, a ogłoszonej w „Bibliotece umiejętności lekarskich“ w tomie pierwszym, z roku 1872, tutaj zaś zaznaczamy tylko, że z czasem zmienił się stosunek wzajemny założonych przez ks. Baudouina instytucji. Rzecz główna, to jest dom wychowawczy niemowląt, zszedł na plan drugi, a szpital, początkowo przedmiot podrzędnego znaczenia, wysunął się siłą faktów na plan pierwszy.

Z biegiem czasu budynki domu wychowawczego „Dzieciątka Jezus“ i przyłączone następnie do tegoż domu: szpital, kliniki uniwersyteckie i instytut anatomiczny, znalazły się, wskutek szybkiego wzrostu Warszawy, w najgęściej zaludnionej części miasta; przytem wznoszone stopniowo budynki nie odpowiadały, zarówno ze względu na brak miejsca, jak i ze względu na przesiąknięcie murów w ciągu stu kilkudziesięciu lat zarazkami chorobotwórczymi, nowoczesnym wymaganiom medycyny i higieny. Wobec tego, przeniesienie istniejącego w tak nieodpowiednich warunkach szpitala na inne miejsce stało się potrzebą nagłą, i powodowana tem Rada miejska dobroczynności publicznej weszła w roku 1891 w porozumienie z inżynierem Devarsem, przedstawicielem kapitalistów francuskich, proponując mu oddanie zajmowanych przez szpital placów między ulicami: Świętokrzyską, Marszałkowską, Zgoda, Przeskok, Szpitalną i placem Wareckim, w zamian za zbudowanie odpowiedniego pomieszczenia dla szpitala i domu wychowawczego na placach, danych przez Radę dobroczynności. Jednocześnie wyznaczoną została komisya, która zaję-

ła się wypracowaniem planów i kosztorysów nowego szpitala, domu wychowawczego i klinik uniwersyteckich. Ponieważ za place szpitalne inżynier Devars zobowiązał się zapłacić 1,475,000 rubli, komisya starała się, ażeby wydatki na wzniesienie nowych budynków nie przekroczyły tej sumy, i wskutek tego pierwotne kosztorysy, przewyższające znacznie tę sumę, zmniejszono do rozporządzalnego przez Radę dobroczynności kapitału. Między zakreślonymi przez komisję robotami znalazł się jeden tylko pawilon dla pomieszczenia domu wychowawczego na tej zasadzie, że w owym czasie toczyła się korespondencya z władzami gubernialnymi o urządzeniu w każdym mieście gubernialnem domów dla podrztków, w Warszawie przeto istniał-by dom taki wyłącznie dla tego miasta i gubernii warszawskiej.

Ponieważ kliniki uniwersyteckie miały być wzniesione z fundusów ministeryum oświaty, przeznaczona więc na nie w kosztorysie suma, wynosząca około 228,000 rubli, miała być użyta na koszty wewnętrznego urządzenia nowego szpitala i domu wychowawczego. Tym sposobem Rada dobroczynności publicznej była w możności, nie posiadając żadnych funduszy na budowę nowego szpitala, w zamian za sprzedaż placów, położonych w środku miasta, zadosyćuczynić gwałtownej potrzebie usunięcia z najludniejszej dzielnicy starych, nieodpowiadających nowym wymaganiom, budynków szpitalnych. Projekt ten w dniu 5 czerwca 1895 roku uzyskał zatwierdzenie. Tymczasem odnośnie Towarzystwo do nabycia placów i budowy nowego szpitala nie zawiązało się, i sprawa cała była-by odłożoną na czas nieograniczony, gdyby magistrat miasta Warszawy, pragnąc urzeczywistnić rozpoczęte przez Radę dobroczynności dzieło, nie wystąpił do władzy wyższej z projektem upoważnienia go do nabycia placów na warunkach już zatwierdzonych, zobowiązując się z pozostających do rozporządzenia magistratu funduszy wypłacić Radzie dobroczynności zaraz 650,000 rubli, a następnie w styczniu 1897, 8 i 9-go roku po 275,000 rubli.

Na zasadzie Najwyżej zatwierdzonego w dniu 23 maja 1896 roku zdania Rady państwa, magistrat nabył place po-szpitalne w celu rozparcelowania i częściowej sprzedaży onych, a budowę nowego szpitala polecono zająć się Radzie miejskiej dobroczynności publicznej pod bezpośrednim kierunkiem i nadzorem p. generał-gubernatora warszawskiego.

W ten sposób sprawa weszła na tory realne.

Kwestya wyboru miejsca pod szpital wywołała w swoim czasie ożywioną dyskusyę publiczną na szpaltach dzienników warszawskich, w której brali udział doktorzy: Stanisław Markiewicz, Józef Po-

lak, Józef Zawadzki, inżynier Sokal i inni. Wszystkie głosy publiczne oświadczyły jednoznacznie, że do budowy nowego szpitala nie nadaje się ani folwark Świętokrzyski, ani plac po-wystawowy, który jednocześnie projektowano, a to ze względu na bliskość miasta, za jedynie zaś odpowiednie miejsce uważano folwark Rakowiec pod Warszawą, własność Rady dobroczynności publicznej. Pomimo to jednak uchwałą ostateczną wybrany został folwark Świętokrzyski.

Na tych-to gruntach, przedstawiających płaszczyznę o bardzo nieznacznym podniesieniu ku rogatom Jerozolimskim, stanął nowy szpital.

Typ ogólny układu jego budowli nazwać należy, według utartej nomenklatury szpitalnej, p a w i l o n o w y m. Szpital mieści się całkowicie na działce pierwszej gruntów folwarku, zawartej między czterema ulicami: Nowogrodzką, Teodora, Wspólną i Żelazną. Długość tego placu wynosi 190 sążni, a szerokości 88. Drugi plac o powierzchni 3,270 sążni kwadratowych zostawiono na założenie w przyszłości skweru, na trzecim zaś placu trójkątnym, o bokach 175 sążni i 162 sążni, oraz o podstawie 72 sążni, zbudowano Instytut Położniczy i Dom wychowawczy. Na placu pierwszym pawilony szpitalne umieszczono dwoma szeregami, z których jeden zupełnie zapełniony od strony ulicy Nowogrodzkiej, drugi zaś od Wspólnej, między VI pawilonem szpitalnym, a zabudowaniami gospodarczymi ma miejsce puste, przeznaczone w przyszłości na dwa nowe pawilony dla chorych. Dom administracji szpitalnej wraz z kaplicami pomieszczono od strony ulicy Żelaznej. Budynki gospodarcze, mieszczące kuchnię, pralnię, lodownię, kotły parowe i maszyny, jak również budynek ze składami, — zajmują prawie środek placu szpitalnego od strony ulicy Wspólnej.

Trzy pawilony klinik uniwersyteckich wraz z audytoryami i gabinetami naukowymi zbudowane są na skraju placu przy zbiegu ulic Teodora i Nowogrodzkiej. Znaczących rozmiarów pawilon anatomiczny z odpowiednimi laboratoriami i audytoryami wzniesiono kosztem uniwersytetu przy rogu ulic Teodora i Wspólnej.

Rozkład wewnętrzny tych wszystkich budowli formowany jest na wzorach nowszych szpitali zagranicznych, jak Friedrichshain, Am Urban (w Berlinie), lub Hamburg-Eppendorf. Potrzeby miejscowe starano się jednak uwzględniać specjalnie. Względny natury materialnej nie pozwoliły atoli na oddzielny centralny dom do operacji chirurgicznych, na samoistny budynek kąpielowy z oddziałami leczniczymi i wreszcie na wyłączenie ze środowiska szpitalnego pomieszczenia dla całego personelu opiekującego się i dozoruującego chorych.

Ogółem wszystkich budynków nowy szpital posiada dwadzieścia dwa, wliczając w to kaplicę katolicką i kaplicę prawosławną.

Na specjalną uwagę wśród nich zasługują pomieszczenia klinik uniwersyteckich.

Dla klinik: terapeutycznej, chirurgicznej, dyagnostycznej i ocznej zbudowano gmach, zwrócony frontem do ulicy Nowogrodzkiej, a składający się z dwóch pawilonów i korpusu łączącego.

Klinika chirurgiczna zajmuje część prawą korpusu łączącego i część prawego pawilonu. Klinika dyagnostyczna pomieszczona została w pawilonie, będącym jakby przedłużeniem kliniki ocznej, częścią na parterze, częścią na piętrze. Klinika oczna mieści się w tymże pawilonie, klinika terapeutyczna — w lewej części korpusu łączącego.

Instytut położniczy postawiony został frontem do ulicy Starynkiewicza, dom wychowawczy dla starszych dzieci stoi od ulicy Nowogrodzkiej, a dom wychowawczy dla małych dzieci przy zbiegu ulic Nowogrodzkiej i Koszykowej.

Najpiękniej przedstawia się wykonany dopiero obecnie gmach Instytutu anatomo - patologicznego, zbudowany w stylu odrodzenia włoskiego. Wejście główne do Instytutu prowadzi z rogu ulic Teodora i Wspólnej przez przysionek do głównej klatki schodowej, która niejako dzieli cały gmach na dwie części: jedną od ulicy Wspólnej, dłuższą, w której rozlokowano pomieszczenia dla katedry anatomii opisowej i medycyny sądowej, i drugą — od ulicy Teodora, w której pomieszczono katedry anatomii patologicznej i chirurgii operacyjnej. Sam narożnik gmachu, wywyższony nad pawilony od obu ulic, zajęty przez wejście, westibul i klatkę schodową, zawiera na pierwszym piętrze wielkie audytoryum, urządzone amfiteatralnie i oświetlone, oprócz okien w górnych częściach ścian tego piętra, wielkim oknem, skonstruowanym w suficie i wyniesionem nad dach. Amfiteatralne audytoryum za pomocą windy skomunikowane jest bezpośrednio z trupiarnią anatomii patologicznej, skąd, przez podziemny kanał, materiały naukowe może być dostarczany na wykłady wprost na stół sekcyjny, bez konieczności przenoszenia go po gmachu.

Nowy instytut nie tylko posiadać będzie pod względem przestrzeni i objętości odpowiednią, a nawet z pewnym wyrachowaniem na przyszłość, zapasową obszerność, ale nadto zaopatrzone zostanie we wszelkie urządzenia techniczne, będące ostatnim wyrazem nauki. Będzie on zatem mechanicznie wentylowany, centralnie parą o niskim ciśnieniu ogrzany, elektrycznością oświetlony; elektryczność będzie w nim zarazem służyła za siłę do przesuwania wentylatorów, tłoczących do gmachu świeże powietrze, ogrzewane, lub nieogrzewane, sto-

sownie do pory roku. W audytorium amfiteatralnem urządzony będzie mechanizm, oświetlany elektrycznością, który ma służyć do ukazywania obrazów nikuących no ekranie podczas wykładów.

W suterrenach przy trupiarni medycyny sądowej urządzoną zostanie niewielka chłodnica do przechowywania ciał w niskiej temperaturze (około + 4) dla zapobiegania ich rozkładowi.

W prawym końcu gmachu od ulicy Teodora, w suterrenowej jego części, mieścić się będzie kaplica, rodzaj morgi, przeznaczonej do składania ciał przed pogrzebem i do wystawiania ich na widok publiczny, o ile ciało dostarczonego nieboszczyka potrzebować będzie rozpoznania jego osobistości. Projektowanem było, aby i tę kaplicę, na wzór morgi paryskiej, oraz wszystkie trupiarnie ochładzać aparatami i ochraniać składane w nich ciała od psucia się; jednakże, wobec kosztu podobnej instalacji (przeszło 36,000 rubli), okazało się koniecznem te piękne i pożyteczne projekty uchylić.

Z tego krótkiego przeglądu budynków i urządzeń szpitala, do których należą i oświetlenie elektryczne, ogrzewanie centralne, wentylacye, wzorowa kanalizacja, wodociągi i drenaż, kuchnie parowe, piekarnia, pralnia i komora dezynfekcyjna — widać, że nowy szpital odpowie zupełnie wymaganiom higieny.

Nie odpowie on tylko potrzebom miasta, które, rosnąc ciągle, w niedługim czasie będzie potrzebowało co najmniej 1,500 nowych łózek dla swoich chorych.

System oszczędności i ograniczania kosztów bez żadnych względów na przyszłość — i tutaj zaznaczył się ujemnie.

P. S. W „Kronice“ kwietniowej do notatki naszej o konkursie, ogłoszonym przez Redakcyę „Biblioteki dzieł chrześcijańskich“, zakradła się pomyłka, którą niniejszem prostujemy. Przedmiotem pracy konkursowej ma być mianowicie Synod prowincjonalny gnieźnieński z roku 1528, odbyty w Piotrkowie pod przewodnictwem prymasa Wężyka, a więc ostatni z szeregu synodów piotrkowskich, nie zaś pierwszy, jak to mylnie podano.

Wiadomości bibliograficzne.

— Komitet Akademii Umiejętności w Krakowie donosi:

Na ostatniem posiedzeniu Komisji historii sztuki, przewodniczący przedstawił nadesłany przez p. Worobiewa opis drewnianego kościoła w Jelonkach, w powiecie Ostrowskim, gubernii Łomżyńskiej, pochodzącego prawdopodobnie z XVI wieku. Pan J. Pałacowski podał wiadomość o interesującym obrazie w kaplicy św. Miłosierdzia oo. Kamedułów na Bielanach. Wartość artystyczna obrazu jest niezwykła.

Profesor M. Sokołowski zdał sprawę ze swoich studyów nad zamkiem w Kraśniku, w powiecie Janowskim. Zamek, dawna rezydencja rodu Tenczyńskich. Kościół w Kraśniku jest budową późnogotycką, zawiera wiele cennych zabytków sztuki, zwłaszcza w nagrobkach, przeważnie rodu Tenczyńskich.

Taż Komisya donosi dalej:

Sprawozdanie z posiedzenia lwowskiego Grona Komisji historii sztuki: Żywą dyskusję wywołała alabastrowa statuetka Matki Boskiej w kościele oo. Dominikanów we Lwowie. Pan L. Lepszy wystąpił z krytyką zapatrywania profesora Antoniewicza co do pochodzenia tego zabytku ze szkoły Wita Stwosza. Profesor Sokołowski popiera zdanie p. Lepszego i zbija przypuszczenie, jakoby technika tego dzieła była snycerską i zwraca uwagę na posążek Matki Boskiej Jackowej w Przemyślu. Podnosi przytem fakt, że alabastru używano w wiekach średnich.

Sekretarz odczytał referat p. K. Mokłowskiego o domach drewnianych z podcieniami. W dyskusji zabrali głos pp.: Chmiel, Wyspiański, Puszet i Ulanowski.

P. Mokłowski nadesłał Komisji nadto liczne fotografie zabytków Galicyi wschodniej

P. Kieszkowski przedstawił materyały, zaczerpnięte z archiwów, a odnoszące się do artystycznego ruchu na dworze biskupa Tomickiego. Na szczególną uwagę zasługują wiadomości o budowie kaplicy świętego Tomasza kantuarijskiego i o kracie brązowej, wykonanej w Norymberdze u Hansa Vischera.

P. J. Muczkowski zwrócił uwagę na figurę drewnianą kaplicy zmarłych w kościele Bożego Ciała, z drugiej połowy XV wieku pochodzącą.

Przewodniczący przedstawił pracę E. Świeykowskiego o Dukli, w której autor opisuje zabytki tej magnackiej rezydencji XVIII wieku, i daje obraz artystycznego ruchu na wielkopańskim dworze tej epoki. W końcu przewodniczący podał udzieloną sobie przez p. Fr. Chłapowskiego wiadomość o obrazie w Kazimierzu, przedstawiającym Najświętszą Maryję Pannę z Janem Lubrańskim, klęczącym u jej stóp, jako donatorem.

P. Cz. Jankowski nadesłał fotografie ruin zamku w Liwie, a nadto fotografię z bardzo interesującego nagrobka Stanisława Pileckiego w kolegiacie w Pilicy. Grobowiec pochodzi z XVI wieku.

W końcu jednomyślnie na współpracownika Komisji wybrano p. St. Ceregę, artystę malarza.

Dnia 1 lipca bieżącego roku odbyło się posiedzenie Wydziału matematyczno-przyrodniczego krakowskiej Akademii Umiejętności. Członek Kostanecki referował o pracy p. M. Przesmyckiego pod tytułem: „O paru rodzajach pierwotniaków, pasorzytujących na wrotkach“; członek Browicz przedstawił swoją pracę: „O pochodzeniu substancji skrobiowatej“; a członek Marchlewski wraz z p. J. Sosnowskim: „O Kumerofenazynach“ część II; członek Janczewski przedstawia pracę, pod tytułem: „Mieszkańce porzeczek“, a członek Rostański referował o pracy p. Droby, pod tytułem: „O grzybie, wywołującym gruźlicę“; członek Cybulski przedstawił pracę p. Sosnowskiego pod tytułem: „Badanie nad oporem nerwów. I. Mierzenie oporu metodą elektrocentryczną“.

Znaczną część posiedzenia administracyjnego zajął następnie gruntowny i wyczerpujący referat członka Władysława Natansona, przewodniczącego Komisji bibliograficznej Wydziału, o jej sprawach. Dyskusję nad tym przedmiotem z powodu spóźnionej pory ukończono na następnym posiedzeniu administracyjnym, które się odbyło dnia 4 lipca bieżącego roku.

Następujące wydawnictwa opuściły prasę ostatnimi czasy:

— „Światowit“, rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany staraniem Erazma Majewskiego. Tom III, 1901.

— Dzieje Węgier w zarysie, skreślił J. F. Gajsler, z zapomogi Kasy imienia d-ra Mianowskiego, tom drugi.

— „Chimera“, miesięcznik, zeszyt za marzec bieżącego roku.

— „Juliusz Słowacki, jego życie i dzieła“ — przez A. Małeckiego. Wydanie trzecie, poprawione i rozszerzone. Lwów, u Gubrynowicza i Schmidta, 1901.

— „Dr Wł. Wisłocki“, notatka bibliograficzna, napisał H. Ułaszyn. Kraków, nakładem Gebethnera i S-ki.

— W. James: „W obronie wiary“, z angielskiego przetłómaczył W. Kosiakiewicz. Wydanie „Przeglądu Filozoficznego“.

— „Zarys społecznej historii państwa polskiego“, napisał d-r Kazimierz Gorzycki. Lwów, księgarnia polska. Warszawa, Wende et Comp.

— Sprawozdanie dziewiętnaste z czynności Komitetu Zarządzającego Kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowym imienia d-ra Mianowskiego za rok 1900.

— Przewodnik po Lublinie i jego okolicach, z dodaniem planu miasta, opracował na podstawie danych źródłowych Witold Cholewiński, nakładem własnym.

— Dickens: „Powieść o dwóch miastach“, przekład Hajoty (Rogozińskiej) w „Bibliotece dzieł wyborowych“.

— „Kredowe koło“, sztuka chińska, przez Li-King-Tao, przetłómaczył Alfred Szczepański. Lwów, 1901.

— „Rybka“, praktyczne ćwiczenie nauki o piękności. Z pozostałych papierów starego profesora przepisał Alfred Szczepański w roku 1900. Humoreska. Drukarnia Narodowa. Kraków.

— Z teki samouka. Tom pierwszy, „Państwo Amazońskie w VI wieku swego rozwoju“. (Utopia możliwa). Warszawa, nakładem autora, rok 1901.

— „Złote runo“, dramat, oraz „Goście“, epilog dramatyczny — przez Stanisława Przybyszewskiego. Lwów, nakładem księgarni polskiej, 1901.

— Zeszyt 173 „Słownika geograficznego“, zawierający dopełnienia od wyrazu „Chorążyski“ do „Demitrow“.

— „Ekonomista“, zeszyty: kwiecień, czerwiec bieżącego roku,

— „Trubadurowie“ — T. J. Choński. „Biblioteka dzieł wyborowych“.

— „Nowy szpital Dzieciątka Jezus“. Monografia w opracowaniu panów: Gałęckiego, Dziekońskiego, Kopia, Klarnera, Kudera, Jabłońskiego i Rotmila — pod redakcją d-ra Janowskiego. Warszawa, 1901.

— Martini Cromeri Polonia sive de situ, populis, moribus, magistratibus et Republica Regni Polonici libri duo 1578. Wydał dr W. Czermak. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, rok 1901.

— Jodici Ludovici Decii, De Sigismundi Regis Temporibus Liber 1521; wyd. dr W. Czermak. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności, 1901, r.

— „Szkice astronomiczne“ przez Tisseranda, byłego dyrektora obserwatorium paryskiego, przełożył M. H. Horwitz. Warszawa, 1901.

— Historii literatury powszechnej w monografiach J. Ad. Święckiego. Tom drugi (wydawnictwo „Biblioteki dzieł wyborowych“), zawierający literaturę chińską i japońską.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca

ADAM hr. KRASIŃSKI.

POGLĄD NA ŚWIAT

MIESIĘCZNIK,

poświęcony zagadnieniom wykształcenia, czytelnictwa
i wyrobienia ideowego;

pod kierunkiem literackim

W. M. Kozłowskiego,

zawiera:

- 1) Artykuły zasadnicze, poświęcone zagadnieniom doby bieżącej.
- 2) Sprawozdanie z ruchu umysłowego współczesnego w szeregu artykułów aktualnych.
- 3) Programy czytelnictwa i studjów w rozmaitych zakresach.
- 4) Korespondencje z czytelnikami.
- 5) Sprawozdania z nowych książek i bibliografję w obcych językach

Cena rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50.

Adres: w Krakowie — **Stachowskiego 82**. Filja administracji w Warszawie — **Erywańska 12** W. P. Adam Mickiewicz w Banku Rarwicza (osobiście od 3 – 6 po poł.)

W r. 1901 rozpocznie się wydawnictwo *Biblioteki Samouków* od następujących działów: Freeman, *Historja Europy*; Jebb, *Historja literatury greckiej*; W. M. Kozłowski, *Literatura powszechna*, tegoż *Historja filozofji* i t. d.

Cena *Biblioteki Samouków* będzie tak uregulowana, aby ułatwić jej nabycie prenumeratorom.

Biblioteka Warszawska

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom
i sprawom społecznym.

rocznica z rokiem 1901—szym sześćdziesiąty pierwszy rok swojej działalności naukowo-literackiej
i wychodzi w zeszytach
najmniej dwunasto-arkuszowych.

Zreorganizowawszy wydawnictwo „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“, Redakcyja i w dalszym ciągu dokładać będzie usiłowań, polegających na starannym doborze poważnych prac naukowych, wytwornych dzieł literackich i artykułów, do potrzeb dzisiejszych zastosowanych. Coraz liczniejszy zastęp współpracowników zapewnia dalszy rozwój pismu, a znacznie w ciągu ostatnich dziewięciu lat zwiększona liczba prenumeratorów daje otuchę Redakcyi, że jej usilne starania znajdują w szerszych jeszcze kręgach czytelników życzliwe poparcie.

PROGRAM „**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“

zawiera następujące działy:

- I. **Filozofia.** Rozbiór systemów i kierunków badań filozoficznych.
- II. **Historya.** Dzieje powszechnie i własne
- III. **Kwestye społeczne, prawne i ekonomiczne.**
- IV. **Studia z nauk przyrodniczych.**
- V. **Studia pedagogiczne i lingwistyczne.**
- VI. **Literatura.** Utwory oryginalne wierszem i prozą.
- VII. **Studia literackie.**
- VIII. **Krytyka** utworów piśmiennictwa polskiego i zagranicznego. — Przeglądy literatury belletrystycznej i rozbiory dzieł naukowych.
- IX. **Studia artystyczne, oceny dzieł sztuki.**
- X. **Kronika zagraniczna** o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym).
- XI. **Kronika miesięczna.**
- XII. **Wiadomości bibliograficzne.**

Warunki prenumeraty

„**BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ**“:

W guberniach całego Państwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego: Rocznie rubli **10**, półrocznie rubli **5**. **W Warszawie** Rocznie rubli **9**, półrocznie rubli **4** kopiejek **50**, kwartalnie rubli **2** kopiejek **25**. Cena pojedynczego zeszytu rub. **1**.

Prenumeratorów zamiejscowych upraszamy o przysyłanie wprost do **Redakcyi „BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ“**, ulica **Warecka Nr 14**, gdyż to zapewnia najlepiej akurata ekspedycję pisma.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie w Państwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiej“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapelniające jedną stronę formatu „Biblioteki Warszawskiej“, rubli **5**. Za ogłoszenie, zapelniające pół strony, rubli **3**, i za ogłoszenie, zapelniające $\frac{1}{4}$ formatu, rubli **2**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Июля 1901 г.

W drukarni Józefa Sikorskiego Warecka 14.